tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 35 (1181)
22-28.08.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Bogdan Góralczyk
To może być bardzo długa wojna

Jak przywrócić Odrę do życia

Afganistan – rok pod rządami talibów

Wracamy do katastrofy pod Szczekocinami

HORROR W TAXI

APLIKACJA GWAŁTU

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
35 >
9 771509 311201

epressa.pl 28ebe4ac71

CISZA ZABIJA
GWIAZDA SERIALU SQUID GAME W FILMIE
PÓŁNOC
W DOBRYCH KINACH
W ROLACH GŁÓWNYCH JIN KI-JOO WI HA-JUN PARK HOON GIL HAE-YEON KIM HYE-YOON
CJ ENM PRZEDSTAWIA PRODUKCJĘ PEPPERMINT&COMPANY WYPRODUKOWANO PRZEZ KIM HYUN-WOO KOPRODUKCJA JEONG YONG-WOOK
REŻYSERIA KWON OH-SEUNG SCENARIUSZ KWON OH-SEUNG ZDJĘCIA CHA TAEK-GYUN(C.G.K.) OŚWIETLENIE LEE JE-WOO
KIEROWNICTWO PRODUKCJI LEE BYUNG-JUN (NEXT STUDIOS) MONTAŻ LEE GANG-HEE MUZYKA HWANG SANG-JUN UDŹWIĘKOWIENIE JUNG HYUN-SOO(K.P.A.)
EFEKTY DŹWIĘKOWE SUNG YOON-YONG LEE IN-GYU KOSTIUMY CHOI EUI-YOUNG MAKE UP & HAIR KIM HYUN-JUNG KASKADERZY JEON JAE-HYUNG
EFEKTY SPECJALNE LEE DONG-HO SCENOGRAFIA PEE DAE-SUNG POST PRODUKCJA CHOI JIN-SEOP KOLOR NOH BYOUNG-WOOK
KIEROWNIK PLANU SEO KWANG-HWAN ASYSTENT REŻYSERA DAE-HEE AGENT SPRZEDAŻY FINECUT
©2021 PEPPERMINT&COMPANY & CJ ENM ALL RIGHTS RESERVED
filmosfera
IRKA

Robert Walenciak

PiS sprawnego państwa nie zbuduje

Okres wakacyjny przez lata przebiegał w dość powtarzalny sposób. Gdy świat polityki udawał się na odpoczynek, Jarosław Kaczyński zaskakiwał wszystkich jakąś wrzutką, nieoczekiwaną inicjatywą. Tym razem zdarzyło się coś innego – to szef PiS, zmęczony „objazdem po kraju", udał się na ładowanie akumulatorów, a w tym czasie wybuchła wielka katastrofa ekologiczna, zatrucie Odry. Podkreślam – jest to największa katastrofa ekologiczna w III RP. Warto mieć tę świadomość, bo jeśli ktoś wiedzę czerpie z TVP Info, pomyśli, że to detal, trochę ryb się potruło w zasadzie nie wiadomo dlaczego.

Przyjmijmy więc do wiadomości, że to nie detal. Powinniśmy też przyjąć do wiadomości drugą oczywistość – Jarosław Kaczyński nie ma już siły, by narzucać Polsce swoją narrację. Próbował, kierując armaty propagandowe na Niemcy, ale na razie słabo mu to wychodzi.

Jest jeszcze trzeci element całej sprawy. Wszyscy zastanawiamy się, jak to możliwe, że Odra umierała całymi tygodniami, dziesiątki ton martwych ryb były wyciągane z rzeki, a ludzie PiS, odpowiedzialni za wody, za środowisko, wojewodowie, udawali, że nic się nie dzieje. I że nie mieli nam nic do powiedzenia, poza krzykami propagandowymi, że opozycja, że Niemcy itd. Odpowiedź na to pytanie jest prosta – bo oni nie mają nic do zaoferowania Polsce. Na kumplach z partii, różnych krewnych i znajomych sprawnego państwa się nie zbuduje. A takie właśnie państwo stworzyło PiS. Przerobiło III RP, też przecież nie najsprawniejszą, na państwo partyjne, w którym wola szefa partii jest ważniejsza niż zapisy prawa, normy postępowania, zasady awansów. Na państwo piramidę, w którym wódz decyduje o obsadzie najważniejszych stanowisk, potem mniejsi wodzowie o stanowiskach kolejnych, ci o następnych – i tak to idzie w dół. Kompetencje, wykształcenie, doświadczenie? A któż o to pyta? W efekcie 90% Polaków w takim państwie nie ma szans, to obywatele drugiej kategorii.

Takie państwo każdego dnia widzimy w działaniu. Czy raczej w niedziałaniu. Choć dodajmy, że pewne rzeczy funkcjonują w nim sprawnie – to comiesięczne przelewy i przetargi na samochody służbowe.

Afera z zatruciem Odry była więc z tego punktu widzenia nieuchronna. Nieudacznicy i lenie zawsze będą powodować kłopoty. Dziś mamy Odrę, jutro pewnie wybuchnie jakaś inna afera, pojutrze kolejna… I też będzie to zamiatane pod dywan. Przy okrzykach, że wrogowie źle życzą Polsce.

Ludzie od Kaczyńskiego uwierzyli, że państwo to PiS. A my?

BĄKOWSKI

Przegląd
PRENUMERATA POCZTOWA
Masz problem ze znalezieniem PRZEGLĄDU w kiosku?
Zamów prenumeratę pocztową na IV kwartał w cenie 72,80 zł
Jeden egzemplarz w prenumeracie tylko 5,60 zł!
Zamówienia można składać do 25 sierpnia 2022 r. we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy albo drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

W NUMERZE

KRAJ

8 **Aplikacja gwałtu**
Niesprawdzeni kierowcy wożą pasażerów

14 **Odra – krajobraz po katastrofie**
Kto przywróci rzekę do życia

36 **Jak porucznik z Olsztyna schwytał zbrodniarza wojennego**

40 **Całe tory były we krwi**
Katastrofa pod Szczekocinami

ZAGRANICA

12 **Za szybami taksówki ze smartfona**
Uber potwierdza przestępstwa

18 **Czas nowej zimnej wojny**
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem

22 **Byle jak, ale stabilnie**
Afganistan pod rządami talibów

26 **Rekin znów żeruje**
Korespondencja z Włoch

HISTORIA

30 **Powstanie – rozdział wciąż otwarty**

31 **Niezagojona rana Osmańczyka**
O powstańczej beznadziei

32 **Internowanie „czerwonych" Hiszpanów**
Republikanie w obozach

OPINIE

44 **Piotr Kimla**
Puszenie się

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY

46 **Związki zawodowe a migracja w Polsce**

KULTURA

48 **Mówię, więc jestem**
– rozmowa z Lidią Dudą

51 **Qulturalia**

52 **Pocałunek śmierci**
Dmitrij Wrubel między dwoma światami

66 **Odszkolnić!**

ZDROWIE

54 **Powrót wstydliwych schorzeń**
Choroby weneryczne w natarciu

PSYCHOLOGIA

58 **Kłamstwa, w które wierzymy**
Ludzie lubią być oszukiwani

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Robert Walenciak**
PiS sprawnego państwa nie zbuduje

17 **Roman Kurkiewicz**
Albo algi, albo śmierć

25 **Andrzej Szahaj**
Turbokapitalizm i epidemia chamstwa

35 **Tomasz Jastrun**
Atomowa wieś

39 **Wojciech Kuczok**
Śnięte, a niepojęte

53 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Odrze, na pożegnanie

12
ZAGRANICA

ZA SZYBAMI TAKSÓWKI ZE SMARTFONA

Uber potwierdza przestępstwa

22
ZAGRANICA

BYLE JAK, ALE STABILNIE

Afganistan pod rządami talibów

58
PSYCHOLOGIA

KŁAMSTWA, W KTÓRE WIERZYMY

Ludzie lubią być oszukiwani

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28ebe4ac71

Grubi do bicia

Na marginesie artykułu „Grubi do bicia" (PRZEGLĄD nr 33), współczując osobom chorym na otyłość, chciałbym przypomnieć, że przyczyną otyłości jest przewlekłe przyjmowanie z pokarmem większej ilości kalorii, niż się ich spala. Tylko tyle. Ten nadmiar jest następnie magazynowany w tkance tłuszczowej. Obliczenie zarówno dziennego zużycia kalorii, jak również ilości oraz rodzaju pożywienia, które dostarczy tyle, a nie więcej kalorii, to zadanie na poziomie arytmetyki ze szkoły podstawowej. Zresztą nie trzeba liczyć. Wystarczy, gdy się zauważy zwiększenie masy ciała o 1-2 kg, coś odjąć od wcześniej przyjmowanego pożywienia. O ile mi wiadomo, nikt tych ludzi (z wyjątkiem nieszczęsnych dzieci tuczonych przez mamusie) przymusowo nie przekarmia. Robią to sami i sami robią sobie krzywdę. Leczyć to trudno, ale można zapobiegać, nie dopuszczając do wykształcenia u siebie złych nawyków żywieniowych. Do wymienionych w artykule wielu powodów medycznych trzeba dodać polityczny. W poprzednim systemie to zjawisko nie występowało na zauważalną skalę.

prof. Wiesław W. Jędrzejczak

•

Obżarstwo to nałóg. Taki jak picie alkoholu, narkotyki czy nikotyna. Różnica jest taka, że jeść trzeba. Żeby wyleczyć się z nałogu, potrzebna jest pomoc. Alkoholik, narkoman, nawet palacz mogą liczyć na jakąś pomoc lekarską. Leczenie zaburzeń odżywiania leży i kwiczy. A nawet jak ktoś pilnuje diety, jest aktywny fizycznie, to niekoniecznie jest szczupły, szczególnie w późniejszych latach życia. Ale syty głodnego nie zrozumie.

Joanna Rowińska

Dyscyplinarka za wywiad dla PRZEGLĄDU

Ludzie u nas nie mają znaczenia, choćby byli to znakomici fachowcy. Szczyt nastał, kiedy do władzy doszli Tusk i jego sojusznicy. Ileż osób odeszło w tym czasie z wymiaru sprawiedliwości czy służb mundurowych! Zaczęto przyjmować ludzi po znajomości. Dzieła zniszczenia dopełniło PiS. Błaszczak wyrzuca prawie 4 tys. oficerów – a byli to znakomici fachowcy – tylko dlatego, że pierwsze gwiazdki oficerskie dostali za socjalizmu. Wielu z nich dobijało pięćdziesiątki. W innych służbach działo się podobnie. Dzisiaj trzeba walczyć na wszystkich frontach, aby w końcu to działało na zasadach demokracji. Pani prokurator, powodzenia!

Andrzej Kościański

Władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy

Fakt, że PiS chce tylko władzy, jest ewidentny. Na Platformę nie zagłosuję. PO przez lata szła ręka w rękę z PiS, to nie jest żadne centrum, a teraz partię Tuska reklamuje się jak środki myjące czy piwo. A ja propagandzie-reklamie nie ufam, co dotyczy również PiS. Oba te prawicowe ugrupowania psuły państwo. Szanse Lewicy na wygraną są rzeczywiście niewielkie z braku wyrazistego przywództwa i przez nieumiejętność połączenia sił, ale na odsunięcie partii Kaczyńskiego już spore. Wiele zależy od tego, jak zagłosują młodzi wyborcy.

Ewa Wesołowska

ZDJĘCIE TYGODNIA

Bociany wkrótce odlecą do ciepłych krajów. Rozpoczęły się sejmiki, podczas których ptaki gromadzą się w stada nawet po 50 osobników. Żerują przez kilka dni na łąkach, przygotowując się do długiego lotu.

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

eprasa.pl 28ebe4ac71

Inflacja znowu większa. W lipcu osiągnęła **15,6%** i była najwyższa od marca 1997 r.

•

Po 10 latach śledztwa **prokuratura Ziobry** umorzyła postępowanie prowadzone przeciwko **Jolancie i Aleksandrowi Kwaśniewskim** w sprawie nieruchomości w Kazimierzu Dolnym. **Mariusz Kamiński** jako były szef CBA posłużył się prowokacją ujawnioną później przez ówczesnego agenta Tomasza Kaczmarka. W państwie prawa Kamiński za długą listę działań przestępczych musi ponieść odpowiedzialność karną **(„Nie")**.

•

W ciągu trzech miesięcy wojny na Ukrainie Polacy wydali z prywatnych portfeli na pomoc uchodźcom 10 mld zł, z pieniędzy publicznych poszło 16 mld zł. 3% mieszkańców największych miast przyjęło 526 tys. Ukraińców pod swój dach (najwięcej, ponad 100 tys., w Warszawie i we Wrocławiu). Większość znalazła schronienie u mieszkających w Polsce Ukraińców **(Polski Instytut Ekonomiczny)**.

•

Małgorzata Tracz, liderka Zielonych, posłanka KO, jako pierwsza 3 sierpnia złożyła interpelację w sprawie zanieczyszczenia dolnośląskiego odcinka Odry, na podstawie informacji **Andrzeja Świętacha,** prezesa okręgu Polskiego Związku Wędkarskiego we Wrocławiu. Odpowiedzi na tę interpelację nie dostała.

•

Wicepremier **Piotr Gliński**, powołując **Bronisława Wildsteina** do rady muzeum Polin, pokazał środowiskom skupionym wokół tej instytucji gest Kozakiewicza. **Prof. Hartmana**, który skrytykował tę decyzję, **Dawid Wildstein** (syn) nazwał antysemitą i chamem, którym powinna się zająć jego macierzysta uczelnia, czyli Uniwersytet Jagielloński. Jak widać, wśród Żydów też nie brakuje głupków. I donosicieli.

•

Okazuje się, że biuro podróży **U Brata Józefa**, którego właścicielem jest Jarosław Miłkowski, nie ma wymaganego prawnie wpisu do rejestru organizatorów turystyki. W katastrofie autokaru w Chorwacji zginęło 13 osób pielgrzymujących do Medjugorje.

•

Wiemy, co było przyczyną awarii bloku 910 MW elektrowni Jaworzno. W węglu sprowadzonym z Indochin były kamienie, stalowe pręty, śruby, gwoździe, żwir i opony. Ciekawe, ile dojna zmiana zapłaciła za ten chłam.

•

NIK wystąpiła do prokuratury w sprawie niedopełnienia obowiązków w związku z finansowaniem całości inwestycji w elektrowni Ostrołęka. Zmarnowano prawie 1,3 mld zł, bo budowa została wstrzymana.

•

Wydział Cywilny Sądu Okręgowego w Warszawie, który miał usprawnić rozpatrywanie spraw frankowych, został de facto zablokowany liczbą pozwów. Aktualnie zarejestrowanych jest prawie 31 tys. spraw. Przy obecnym zatrudnieniu zajmie to sędziom około pięciu-sześciu lat.

•

Państwowa firma Energa od końca 2015 r. miała 11 prezesów, Polska Grupa Zbrojeniowa siedmiu, a Alior Bank pięciu od 2017 r. Karuzela kadrowa kręci się coraz szybciej i obejmuje wszystkie spółki skarbu państwa.

PRZEBŁYSKI

Nawrocki głęboko wierzy

Minął rok panowania Karola Nawrockiego w IPN. Efekty? Przykręcanie śruby pracownikom i wielki pociąg do mediów. Prezes kocha kamery, występy i wywiady. Nazywają go „Obalaczem", bo jedyne, co mu się udało, to gnębienie lokalnych samorządów, by burzyły pomniki ze starego systemu. W zamian mogą sobie postawić pomnik Lecha Kaczyńskiego albo jakiegoś „wyklętego". Nadawałby się Józef Franczak „Laluś", który ukrywał się do 1963 r. „Laluś" w każdym powiecie jako cel Nawrockiego.

Bo innych sukcesów brak. Na Ukrainę ludzi z IPN ciągle nie wpuszczają. Co prezes Nawrocki opisuje w zadziwiający sposób: „Głęboko wierzę, że nasi ukraińscy bracia dojrzeją do decyzji pozwalającej polskim badaczom na powrót do pracy".

Pomysłowy zwiastun

Mina człowieka pewnego siebie. Garnitury modne. Koszule i krawaty eleganckie. Widać, że modelowi ze zdjęć dobrze się wiedzie. No bo, jak mówi lud, gdy się jest prezesem, to się ma. A Marcin Zarzecki prezesem jest. I to narodowym. Bo rządzi Polską Fundacją Narodową. Nie słyszeliście? To wstyd.

Bo to dla was, drodzy czytelnicy, Zarzecki realizuje pionierski projekt „Zwiastun". Cel jest ambitny. Promocja Polski wśród żołnierzy NATO. Niestety, trzeba będzie się naharować. Ileż to wyjazdów! Lanczów, koktajli, wizyt i rewizyt. Złaknieni wiedzy o historii Polski żołnierze z całego świata czekają na prezesa Zarzeckiego i jego uroczą ekipę. Zanim zwiastuni do nich dojadą, proponujemy wysłać wojakom tygodnik „Sieci". Na czterech stronach (chyba reklamowych) prezes Z. chwali się sukcesami i pokazuje światu swoje oblicze. Na czterech zdjęciach. Żeby wizerunek się utrwalił.

W Opolu jak na Sycylii

Tygodnik „Nie" nie odpuszcza temu szkodnikowi. Andrzej Sikorski przypomniał, jak w wyborach samorządowych w 2014 r. Patryk Jaki poparł kandydaturę Arkadiusza Wiśniewskiego, byłego działacza PO, na prezydenta Opola. Zawarli deal, o którym Jaki mówił, że „to była gra, której nie powstydziłby się Frank Underwood". Podzielili łupy. Janusz Kowalski (ten, ten) został wiceprezydentem Opola, a tatusia Patryka, czyli Ireneusza Jakiego, ulokowali w spółce miejskiej Wodociągi i Kanalizacja. Jako (!) prezesa! Po latach tatusia zawieszono za mobbing, więc młody Jaki i prezydent Wiśniewski widowiskowo się pożarli. A Wiśniewski zaczął krytykować PiS i udawać bezpartyjnego samorządowca. Ludu Opola, ile razy mogą cię wy… wieść w pole?

FOT. POLITOLOGIA.UNI.OPOLE.PL, YOUTUBE.PL (2), ARCHIWUM

eprasa.pl 28ebe4ac71

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

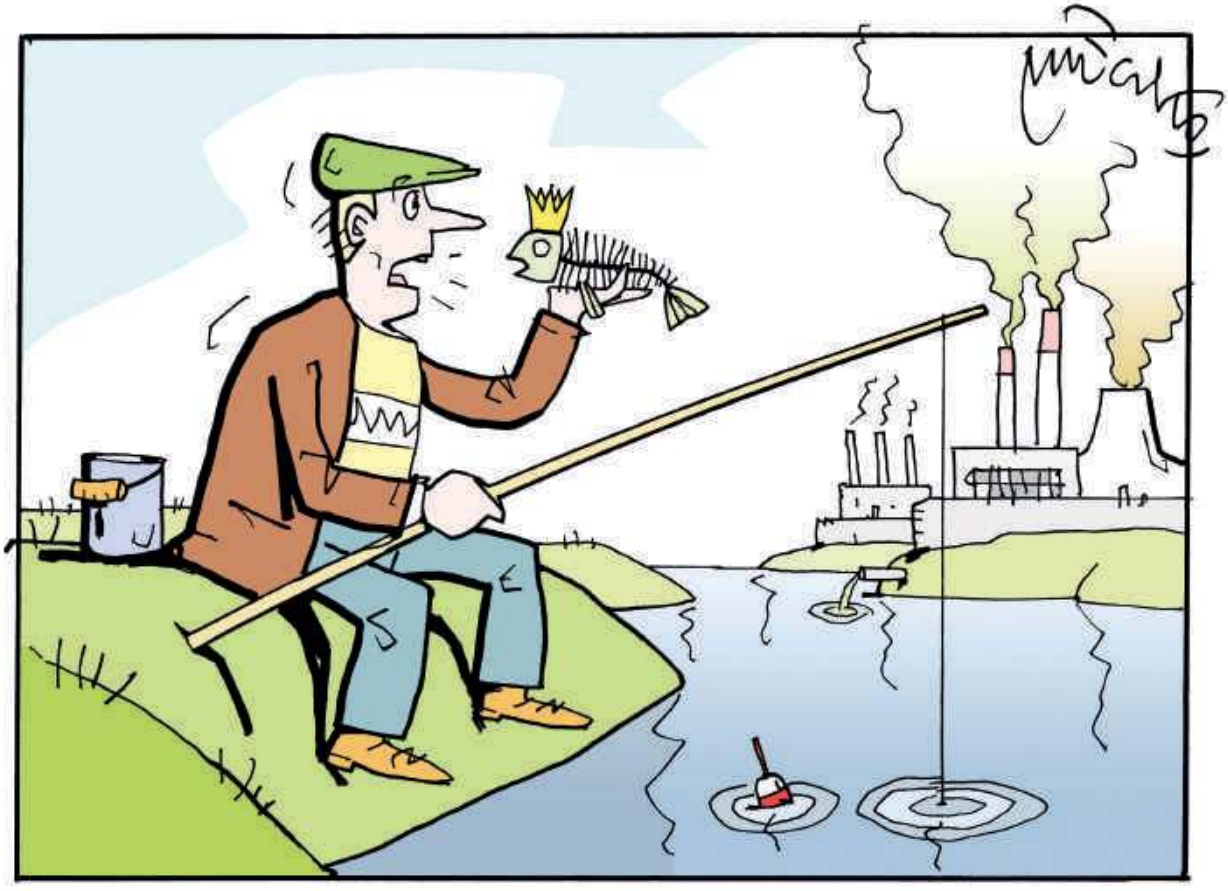

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Co zostało z ideałów Sierpnia '80?

DR BARBARA LABUDA,
aktywistka, działaczka opozycji w czasach PRL

Ideałem Solidarności, ujętym w samej nazwie związku, było bezinteresowne, oparte na szacunku i empatii współdziałanie różnych grup dla dobra ogółu. W polskiej polityce, zwłaszcza w ostatnich latach, zostało ono wyparte przez przeciwieństwo tamtych marzeń: egoizmy społeczne, szczucie jednych na drugich, wzgardę dla potrzeb i działań obywateli, bogacenie się spryciarzy kosztem słabszych. W swoją karykaturę zamienił się także mój dawny związek zawodowy, który nie bronił np. pracowników Poczty Polskiej, gdy ich zmuszano, by organizowali wybory. Ideał wspólnotowego działania na rzecz innych jest za to nadal silny w postawach i sercach wielu zwykłych ludzi, dobrowolnie angażujących się w takie szlachetne sprawy jak obrona pokrzywdzonych przez system, walka o instytucje demokratyczne z prawdziwego zdarzenia czy o powszechny dostęp do światłej edukacji, ratowanie naszych wspólnych rzek i lasów, pomoc uchodźcom wojennym. Daje mi to nadzieję, gdy myślę o przyszłości Polski.

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog, Akademia WSB

Na pewno głębokie przekonanie, że zbiorowa walka o sprawy – nazwijmy to górnolotnie – ludu jest ważna i może przynosić efekty. To z niego wypływają poszczególne przypadki mobilizacji naszego społeczeństwa; podejrzewam, że gdyby Solidarność przegrała, wśród Polaków dominowałby marazm i trudno byłoby w nich wzbudzić wiarę, że wspólne działania mogą cokolwiek dać. Tymczasem jest to dość łatwe, czego dowodzi nasza reakcja na masową migrację z Ukrainy. To rzecz jasna pośredni, długotrwały efekt społeczny Sierpnia; nie chcę mówić o żadnych efektach politycznych, bo te są, delikatnie mówiąc, raczej mierne.

DR GRZEGORZ PIOTROWSKI,
antropolog kultury, socjolog, Europejskie Centrum Solidarności

Spadkiem po Sierpniu jest to, że jeśli trzeba się zorganizować, jesteśmy w stanie to zrobić. Bardzo dobrze pokazały to wydarzenia po 24 lutego, gdy, jak było trzeba, Polacy zjednoczyli się przeciwko Rosji Putina oraz wokół pomocy Ukraińcom. Wydaje mi się, że ten potencjał jedności jest najważniejszym, co zostało z ideałów Sierpnia. Jednocześnie, jeśli przyjrzymy się tablicom z 21 postulatami, to większość można nadal podnosić, bo są jak najbardziej aktualne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 28ebe4ac71

Aplikacja gwałtu

Przewóz osób mogą wykonywać ludzie bez uprawnień i badań psychologicznych, nieznający naszego języka ani przepisów. O ich konfliktach z prawem nic nie wiadomo

Andrzej Dryszel

Gwałcili i gwałcą nadal. Nie udaje się skutecznie zapobiegać atakom, do jakich dochodzi w samochodach na aplikację. Kierowca Ubera, Gruzin (29 lat, żona, dwoje dzieci), który w lipcu w Warszawie zmusił swoją pasażerkę do „poddania się innej czynności seksualnej", uciekł do Gdańska i stamtąd próbował odlecieć do Kutaisi. Zatrzymano go na pokładzie samolotu, został aresztowany, do niczego się nie przyznał.

Gruzin naturalnie miał świadomość, czego się dopuścił, chciał więc szybko opuścić Polskę. Również przybysze z innych państw, którzy w naszym kraju w taksówkach na aplikację gwałcą i molestują młode kobiety, rozumieją, że popełniają przestępstwo. Podaje to w wątpliwość sens szkoleń dla kierowców, rozpoczętych w Polsce przez Ubera i Bolta po ujawnieniu na początku tego roku fali napaści na kobiety.

Na tych szkoleniach kierowcom ze Wschodu czy Południa tłumaczy się, że nie należy dotykać ciała pasażerek, chwytać ich, obejmować, głaskać, oraz że krótka spódnica i dekolt nie oznaczają, iż młoda Polka wsiadająca samotnie nocą do auta na aplikację marzy o przeżyciu erotycznej przygody z kierowcą z Gruzji, Tadżykistanu, Algierii czy Turkmenistanu. Oni o tym wszystkim dobrze wiedzą, więc może dlatego efekt owych szkoleń wydaje się, delikatnie mówiąc, niewielki.

To właśnie przedstawiciele wspomnianych nacji są, przynajmniej w Warszawie, notowani wśród samochodowych agresorów seksualnych. Oczywiście Uberem czy Boltem jeżdżą i jeździli także inni cudzoziemcy.

– Kiedy w taksówkach na aplikację pracowało jeszcze wielu obywateli Ukrainy, nie dochodziło raczej do takich zdarzeń. Gdy do Polski napłynęli mieszkańcy dalej położonych krajów i przejęli od nich te przewozy, coraz częściej zaczęło się robić niebezpiecznie. Nigdy nie korzystałam z taksówki na aplikację – mówi prok. Katarzyna Skrzeczkowska z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga.

Jak na wyprawę wojenną

Napastnicy nadal robią swoje. W lipcu ustalono, że w stolicy średnio raz w tygodniu zdarza się przypadek gwałtu lub molestowania przez kierowcę taksówki na aplikację. Jak jest w innych dużych polskich miastach – dokładnie nie wiadomo. Ale jasne jest, że ujawnione zdarzenia, jak zwykle w przestępstwach tego rodzaju, stanowią wierzchołek góry lodowej.

Jej rozmiary ukazują się stopniowo. W San Francisco 550 poszkodowanych kobiet wniosło pozew zbiorowy przeciw Uberowi, zeznania 150 kolejnych są weryfikowane (więcej na s. 12-13). Trudno przypuścić, by z jakiegoś powodu sytuacja w Polsce była znacząco lepsza.

– Informacje o przestępstwach w taksówkach na aplikację są przesyłane do prokuratury okręgowej oraz regionalnej, bada się skalę takich zdarzeń. Te postępowania są utrudnione, bo zwykle mamy do czynienia z obcokrajowcami, weryfikowanie ich tożsamości nastręcza problemy, potrzebni są tłumacze z różnych języków. Pytanie, kto ma tłumaczyć, jeśli chodzi np. o obywatela Tadżykistanu lub jakiegoś sąsiedniego kraju – zwraca uwagę prok. Katarzyna Skrzeczkowska.

Uber deklaruje, że bardzo zależy mu na bezpieczeństwie pasażerów i chce je wzmocnić, z drugiej strony szef tej firmy, Dara Khosrowshahi, Irańczyk mieszkający w USA, zapowiedział zdecydowane cięcie kosztów. To zaś nie sprzyja inwestowaniu w nowe funkcje i procedury.

W każdym razie szefowie Ubera zdają sobie sprawę, jak poważnym wyzwaniem może być podróż ich taksówką na aplikację. Dlatego na stronie internetowej firmy apelują do potencjalnych pasażerów:

„Poinformuj bliskich, gdzie jesteś. Wybierz w aplikacji zaufane kontakty i ustaw przypomnienia o udostępnianiu im szczegółów przejazdu.

Weryfikuj swoje przejazdy z użyciem kodu PIN, aby upewnić się, czy wsiadasz do właściwego samochodu z właściwym kierowcą.

Zanim wejdziesz do samochodu, poświęć chwilę, aby dokładnie sprawdzić w aplikacji informacje o kierowcy.

Przed rozpoczęciem przejazdu pasażer powinien sprawdzić numer rejestracyjny, markę i model samochodu oraz zdjęcie i imię

Zanim wsiądziesz do taksówki:

1. Poinformuj bliskich, gdzie jesteś.
2. Zweryfikuj swój przejazd z użyciem kodu PIN, aby upewnić się, czy wsiadasz do właściwego samochodu z właściwym kierowcą.
3. Dokładnie sprawdź w aplikacji informacje o kierowcy.
4. Sprawdź numer rejestracyjny, markę i model samochodu oraz zdjęcie i imię kierowcy.

eprasa.pl 28ebe4ac71

Uber wydawał miliony dolarów na reklamę. Ale z mediów społecznościowych wyłaniało się zupełnie inne jego oblicze.

kierowcy (nazwiska już nie można sprawdzić – przyp. aut.).

Szybko uzyskaj pomoc. Wezwij służby ratunkowe bezpośrednio z aplikacji, gdziekolwiek jesteś”.

Te zalecenia dla pasażerów przypominają trochę przygotowania do niebezpiecznej wyprawy wojennej, a nie do przejazdu przez miasto. Ich skuteczność jest zaś ograniczona, bo w przeciwieństwie do korporacji taksówkowych nie można do Ubera zadzwonić, gdy dzieje się coś złego. W takich sytuacjach należy użyć tzw. przycisku alarmowego w aplikacji, ona zaś wyświetli lokalizację samochodu, którą pasażerka powinna podać, gdy zadzwoni na 112 albo 997 (o ile zdąży). Jest to jakaś szansa na ratunek, gdy już dojdzie do niebezpiecznej sytuacji – ale nie daje żadnej gwarancji, że zagrożenie nie wystąpi.

Do Bolta telefon kontaktowy wprawdzie jest, lecz tylko i wyłącznie dla użytkowników hulajnóg elektrycznych. Na stronie internetowej Bolta nie umieszczono informacji związanych z bezpieczeństwem pasażerów, co jednak nie znaczy, że podróżowanie za pośrednictwem tej firmy jest bezpieczniejsze. Warszawskie statystyki pokazują, że przypadki agresji seksualnej rozkładają się mniej więcej po równo na obu przewoźników.

Przedstawiciele Bolta także zalecają, żeby pasażer sprawdził, czy rzeczywiście przyjechał po niego samochód mający takie numery rejestracyjne, jak podano, oraz czy wygląd kierowcy zgadza się z jego zdjęciem w aplikacji.

Ponadto Uber oraz Bolt mają prawo zażądać, by w celu weryfikacji ten, kto siedzi za kółkiem, przesłał swoje zdjęcie do firmy, gdzie zostanie porównane ze zdjęciem widniejącym w dokumentacji. To rozwiązanie mogłoby być bardzo przydatne do sprawdzania tożsamości, jeśli wreszcie zacznie być regularnie, często i konsekwentnie stosowane wobec każdego kierowcy.

Nic o nich nie wiadomo

Jednym ze źródeł zagrożenia dla pasażerek jest właśnie anonimowość kierowców prowadzących taksówki na aplikację. Uber, Bolt czy Free Now zabraniają, by przewozy wykonywał ktoś inny niż właściciel profilu wyświetlanego w aplikacji dla pasażerów – ale to częsty proceder, bo w ten sposób na jednym aucie może zarabiać kilku. Kontrole ze strony firm są zaś iluzoryczne.

– Istnieją firmy słupy, które ściśle współpracują z Uberem czy Boltem i zatrudniają kierowców, ale formalnie nie zajmują się przewozami osobowymi. Zatrudniają kogoś na jedną dwudziestą etatu, a faktycznie taksówką na aplikację jeździ jeszcze nielegalnie dziewięciu niezarejestrowanych. Jak coś złego się zdarzy, okazuje się, że w dokumentach firmy sprawca nie figuruje. Ci ludzie nie znają naszego prawa ani topografii miast, polegają wyłącznie na GPS, którego wskazania nie zawsze umieją prawidłowo odczytać. Jeśli nie będzie się ich identyfikować, nie da się zatrzymać fali gwałtów – mówi Tadeusz Stasiów, prezes Samorządnego Związku Zawodowego Taksówkarzy RP.

W Warszawie średnio raz w tygodniu zdarza się przypadek gwałtu lub molestowania przez kierowcę taksówki na aplikację. To wierzchołek góry lodowej.

Prezes związku taksówkarzy, co zrozumiałe, nie jest zachwycony konkurencją ze strony samochodów na aplikację, które na początku swojej ekspansji stosowały dumpingowe stawki, kierowcy nie musieli zdawać egzaminów ze znajomości miasta, płacili mniejsze OC niż regularni taksówkarze, a ich dochody były trudne do opodatkowania.

eprasa.pl 28ebe4ac71

– Gdy taksówki na aplikację wchodziły na polski rynek, klienci dostawali bonusy do sumy 40-50 zł, a ceny przejazdów początkowo były obniżane. Dotychczas z Uberem i Boltem nie zrobiono żadnego porządku, przeciwnie, dano im zielone światło na te nieprawidłowości, które znamy. Oni natomiast opowiadają, jacy są uczciwi i jak walczą z problemami. To pobożne życzenia niemające nic wspólnego z prawdą – dodaje Tadeusz Stasiów.

Porządek z taksówkami na aplikację miała zrobić nowelizacja ustawy o transporcie drogowym, która zaczęła w pełni obowiązywać 1 stycznia 2021 r. W rzeczywistości była ona wyrazem wielkiej życzliwości rządu PiS dla interesów Ubera, Bolta i innych podobnych firm. Pisowską nowelizację ustawy można uznać za grzech założycielski tych patologii, które dziś występują w działalności podmiotów organizujących przewozy na aplikację.

Nowelizacja w teorii miała stanowić odpowiedź na oczekiwania zawodowych taksówkarzy, którzy narzekali, że oni muszą uzyskiwać licencję i zdawać egzamin z topografii miasta, w którym chcą pracować – a kierowcy Ubera czy Bolta nie. Pisowska większość parlamentarna uchwaliła więc, że w ogóle dla nikogo, również dla taksówkarzy, nie można przeprowadzać egzaminów ze znajomości miast oraz miejscowych przepisów.

Było to oczywistym ukłonem w stronę firm organizujących przewozy na aplikację. Od tej pory mogły one zawierać umowy z kierowcami amatorami, niemającymi pojęcia o mieście, po którym jeżdżą, ani o regułach w nim obowiązujących (np., że trzeba się zatrzymać, gdy pieszy podchodzi do przejścia). Tę wiedzę miał im zastąpić GPS.

Formalnie rzecz biorąc, już przed nowelizacją egzamin z topografii miasta nie był obowiązkowy, ale rady miast powyżej 100 tys. mieszkańców miały prawo go utrzymać – i na ogół korzystały z takiej możliwości. Ekipa rządząca, w ramach zwalczania samorządów i wspierania firm organizujących przewozy na aplikację, całkowicie zniosła jednak możliwość przeprowadzania takich egzaminów przez władze miast.

Przybysze z innych krajów, którzy mają jeździć w Polsce taksówkami na aplikację, nie muszą też nawiązywać jakiegokolwiek kontaktu z urzędami i osobiście ubiegać się o licencję na przewóz osób. Zamiast nich o licencję występuje firma lub osoba, która będzie z nimi współpracować. Taki przedsiębiorca do wniosku o licencję dołącza oświadczenie następującej treści (w formularzach bywają różnice, zależnie od miasta): „Ja, niżej podpisany(a), oświadczam, że kierowcy, których zatrudniam, spełniają (lub zatrudnię i będą spełniać) wymagania określone w art. 39a ust. 1 pkt 1-4 ustawy o transporcie drogowym. Jednocześnie oświadczam, że w stosunku do zatrudnionych kierowców, a także innych osób niezatrudnionych przeze mnie, lecz wykonujących osobiście przewóz na moją rzecz, nie wydano prawomocnego orzeczenia zakazującego wykonywanie zawodu kierowcy".

Te wymagania art. 39a, jakie ma spełniać osoba wykonująca przewozy, to ukończenie 18 lat, posiadanie prawa jazdy oraz brak przeciwwskazań zdrowotnych i psychologicznych do wykonywania pracy kierowcy. Tyle że wystarczy jedynie oświadczenie, że tak właśnie jest, nie trzeba składać dokumentów, które to potwierdzają. Nie jest więc wymagane dostarczenie do urzędu kopii prawa jazdy przybysza z Gruzji czy Tadżykistanu bądź orzeczenia o braku u niego przeciwwskazań czy o jego stanie psychicznym.

– Dziś w Polsce pseudopracodawcy zatrudniają ludzi z Azji, którzy niejednokrotnie w ogóle nie mają prawa jazdy – oświadcza prezes Tadeusz Stasiów.

Przedsiębiorca składający wniosek o licencję musi natomiast dostarczyć polskie zaświadczenie o niekaralności przybysza mającego prowadzić auto z aplikacją. Jeśli przyjechał on do Polski niedawno, to oczywiste, że w papierach będzie czysty jak łza. A co ma na sumieniu w innych krajach? O to już nikt nie pyta.

– Świadectwo niekaralności dostają kilka dni po przyjeździe do Polski, więc naturalnie u nas zawsze są niekarani – dodaje Tadeusz Stasiów.

W rezultacie w wyniku pisowskiej nowelizacji ustawy o transporcie drogowym przewóz osób samochodami osobowymi mogą w praktyce wykonywać ludzie bez żadnych uprawnień, niewiadomego stanu psychicznego, o których przeszłości i ewentualnych konfliktach z prawem brakuje wiedzy, nieznający naszego języka, norm, przepisów drogowych, topografii żadnego polskiego miasta, o kulturze i obyczajach już nie mówiąc.

Jednym ze źródeł zagrożenia dla pasażerek jest anonimowość kierowców. Kontrole ze strony firm są iluzoryczne.

Mniej ufać, więcej kontrolować

Wyeliminowanie wszystkich wymienionych tu nieprawidłowości nie da oczywiście gwarancji, że kierowcy na aplikację Ubera czy Bolta przestaną molestować i gwałcić pasażerki. Zostałoby jednak stworzone nieco gęstsze sito, ułatwiające oddzielenie ludzi uczciwych od zwykłych przestępców i zboczeńców.

Dziś coraz wyraźniej widać, jak fatalne skutki przyniosło rozluźnienie przepisów regulujących przewóz ludzi samochodami osobowymi. Stołeczna prokuratura regionalna zwraca więc uwagę na pilną potrzebę podjęcia działań prewencyjnych, bo organy ścigania zaczynają czynności dopiero wtedy, gdy przestępstwo zostanie już popełnione.

Zdaniem prezesa Samorządnego Związku Zawodowego Taksówkarzy RP należałoby zacząć od odwrócenia skutków niefortunnej nowelizacji ustawy o transporcie drogowym. – Jeśli Polak chce zostać taksówkarzem we Francji, w Anglii czy w USA, musi znać język oraz topografię miasta, w którym będzie pracować. W Anglii kurs na taksówkarza trwa dwa lata. U nas nowelizacja

eprasa.pl 28ebe4ac71

ustawy o transporcie drogowym zniosła obowiązek zdania egzaminu ze znajomości topografii miasta oraz przepisów miejscowych. Czy nie można do tego wrócić? – pyta Tadeusz Stasiów. Zwraca też uwagę, że nie powinno być tak, aby kierowcy wożący ludzi nie znali czasami nawet słowa po polsku.

Niestety, wydaje się, że spowodowanie, aby kierowcy Ubera czy Bolta mówili trochę po polsku, jest niezwykle trudnym zadaniem. Żadne przepisy tego nie nakazują. A skoro koślawe prawo wprowadzone przez PiS (ustawa o zapewnieniu kadr medycznych) nie wymaga, aby nawet lekarz obcokrajowiec znał polski w stopniu komunikatywnym, to co dopiero mówić o kierowcy samochodu na aplikację?

Podobny kłopot jest z innymi rozwiązaniami, które należałoby zastosować – polskie prawo ich nie wymaga. Z pewnością byłoby pożądane, aby każdy cudzoziemiec, który chce wozić ludzi i nie ma prawa jazdy z Polski lub innego kraju Unii Europejskiej, zdał w naszym kraju egzamin ze znajomości polskich przepisów i umiejętności prowadzenia samochodu.

Powinien on także przedstawić aktualne zaświadczenie o niekaralności ze swojego ojczystego kraju oraz z kraju, w którym przebywał przez dłuższy czas (np. przez rok) bezpośrednio przed przyjazdem do Polski. Ale nie tylko. Konieczna byłaby również informacja o ewentualnych postępowaniach karnych prowadzonych wobec niego i jeszcze niezakończonych.

Bardzo ważne jest wprowadzenie obowiązku posiadania aktualnego, wiarygodnego, przeprowadzonego w Polsce badania psychologicznego, potwierdzającego brak przeciwwskazań do przewożenia ludzi samochodem osobowym.

Oczywisty wydaje się też powrót do obowiązkowych egzaminów z topografii miasta.

Uber, Bolt i inne firmy organizujące przewozy na aplikację powinny także powszechnie wdrożyć rozwiązania, które regularnie (najlepiej codziennie) będą weryfikować tożsamość prowadzącego samochód – i alarmować, jeśli okaże się, że za kierownicą siedzi nie ta osoba, która powinna. Być może oprócz obowiązku wysłania aktualnego zdjęcia do firmy przydatne byłoby podawanie uprawnionemu kierowcy określonego hasła, zmienianego często, ale w nieregularnych odstępach czasu, które musiałby on wstukiwać – trochę tak jak na froncie.

Wiadomo więc, co warto zrobić, aby ograniczyć falę napaści na kobiety – ale wiadomo też, że ustawodawca nie zajmie się wprowadzeniem przepisów, które wdrożyłyby te rozwiązania. Obecna ekipa rządząca musiałaby najpierw przyznać, że dotychczasowe, firmowane przez nią prawo było złe – oraz stworzyć nowe, lepsze przepisy. A do tego niezbędna jest wola i pracowitość.

Naturalnie brak stosownych przepisów nie zabrania, aby Uber, Bolt i inni na własną rękę wprowadzili wobec swoich kierowców podobne i inne uregulowania służące bezpieczeństwu. Wymagałoby to jednak pracy koncepcyjnej, zmian organizacyjnych, no i wydatków – dużo większych niż przeprowadzanie kursów o tym, że nie wolno dotykać pasażerek. Firmy organizujące przewozy na aplikację nie podejmą więc takiego wysiłku.

Na razie pojawiły się dwie jaskółki zmian: Bolt wdrożył usługę „Kobiety dla kobiet", a Free Now „Dla niej". Zamówienie takiego przejazdu przez kobietę gwarantuje, że za kierownicą również będzie kobieta. Problem jednak w tym, że kierujących kobiet jest niewiele, więc w weekendowym szczycie ta usługa jest albo niedostępna, albo trzeba długo czekać.

Co pozostaje? Katarzyna Skrzeczkowska z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga radzi, by pasażerki zadbały o własne bezpieczeństwo: – Wiele z tych przestępstw jest popełnianych na kobietach będących pod wpływem alkoholu. Sprawcy wykorzystują ich bezradność. Nie mamy uprawnień, by sprawdzać każdego kierowcę Ubera, czy jest karany, czy nie. Nocą raczej nie chodzimy ulicami, o których wiemy, że są niebezpieczne, lub do parku, który nie jest monitorowany. Gdy więc jesteśmy pod wpływem alkoholu, korzystajmy ze zwykłych taksówek, a nie z przejazdów na aplikację. Warto też, żeby ktoś nas choćby odprowadził i zobaczył, jak wygląda kierowca.

Chyba jednak, niezależnie od stanu trzeźwości, byłoby dobrze, gdyby kobiety w Polsce w ogóle zrezygnowały z podróżowania samochodami na aplikację. Zamówienie taksówki przez telefon nie jest bardziej skomplikowane niż wezwanie samochodu Ubera czy Bolta. Różnica w cenie także nie wydaje się porażająca. A dla własnego bezpieczeństwa można wydać kilka złotych więcej.

Andrzej Dryszel

Kierowcy Ubera nie zawsze mają wystarczające umiejętności prowadzenia pojazdu. Ten wylądował na drzewie na rogu al. Jana Pawła II i Nowolipek w Warszawie w kwietniu 2021 r.

FOT. SEBASTIAN WIELECHOWSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS, TWITTER/G.A.P'S, ANNA GOŁASZEWSKA/EAST NEWS

eprasa.pl 28ebe4ac71

Za szybami taksówki ze smartfona

Uber oficjalnie przyznał, że w 2020 r. w taksówkach firmy doszło do niemal 1000 przestępstw na tle seksualnym

Marek Czarkowski

W 2009 r. kanadyjski programista Garrett Camp oraz amerykański inwestor Travis Kalanick założyli w Kalifornii firmę o nazwie Ubercab. Camp był niezadowolony z usług kalifornijskich korporacji taksówkowych. Skarżył się, że są drogie i nie dbają o klientów. Wpadł na pomysł stworzenia aplikacji, dzięki której można byłoby zamówić podwózkę, bezpośrednio kontaktując się z kierowcą, który niekoniecznie musiał być zawodowym taksówkarzem. To Camp, a nie Travis Kalanick, który później stanie się kontrowersyjną twarzą Ubera, wyłożył pierwsze 250 tys. dol. na rozkręcenie biznesu.

Cycki Travisa

Ubercab wystartował w połowie 2010 r. z zaledwie kilkunastoma samochodami. Motto firmy brzmiało: „Prywatny kierowca dla każdego". Po kilku miesiącach Agencja Transportu Miejskiego San Francisco ostrzegła zarząd spółki, że prowadzenie działalności taksówkarskiej bez posiadania licencji i odpowiednich zezwoleń jest naruszeniem obowiązujących przepisów, a za to grożą surowe kary.

Travis Kalanick polecił zmienić nazwę firmy z Ubercab na Uber i kontynuować działalność, nie przejmując się ostrzeżeniami urzędników. Wtedy po raz pierwszy pojawił się argument, że Uber to nie firma taksówkowa, lecz jedynie platforma IT, dzięki której osoba poszukująca podwózki może spotkać osobę oferującą taką usługę.

W latach 2011-2013 Kalanick i Camp bardzo skutecznie przekonywali inwestorów, że ich firma to świetny interes, i zgromadzili prawie 300 mln dol. Jednocześnie dbali, by ci, którzy powierzyli im swoje środki, zbytnio nie wnikali w bieżącą działalność. Gdy w roku 2013 Travis Kalanick, który był dyrektorem generalnym Ubera, przekonał (lub podkupił) inwestorów chcących wesprzeć konkurencyjną firmę Lyft, pojawiły się oskarżenia o bezwzględne traktowanie pracowników, kierowców i klientów. Lista zarzutów szybko rosła. Uber miał szpiegować konkurencję, a prywatni detektywi śledzić urzędników organów regulacyjnych. Media opisywały toksyczne relacje damsko-męskie i panującą w firmie atmosferę maczyzmu oraz mizoginii. Kierownictwo Ubera znane było z tego, że urządzało imprezy w lokalach ze striptizem. Nazwano je „Cyckami Travisa". Pojawiły się też oskarżenia o molestowanie seksualne, co w Stanach Zjednoczonych jest zabójcze i dla finansów firm, i dla menedżerów.

W 2017 r. powstał wewnętrzny raport opisujący przypadki molestowania seksualnego w Uberze, który trafił na biurka kierownictwa firmy. Podobno miał setki stron i zawierał krytyczną ocenę stylu pracy Travisa Kalanicka. Był to początek końca wszechmocnego bossa.

Kalanick najpierw wziął urlop. Następnie na żądanie akcjonariuszy zrezygnował ze stanowiska dyrektora generalnego, zachowując miejsce w radzie dyrektorów Ubera. Gdy jednak z tylnego siedzenia spróbował wpływać na bieżącą pracę spółki, członkowie jej ówczesnych władz zagrozili dymisjami.

Punktem kulminacyjnym konfliktu było złożenie w sierpniu 2017 r. przez fundusz inwestycyjny Benchmark Capital, czyli jednego z głównych udziałowców Ubera, pozwu sądowego przeciw Kalanickowi, w którym zarzucono mu m.in. oszustwa i naruszenie umowy. Rzecz była bez precedensu, gdyż w Kalifornii inwestor nie może bezpośrednio pozwać założyciela firmy. Sąd uznał racje adwokatów Kalanicka i skierował sprawę do arbitrażu. Lecz było to pyrrusowe zwycięstwo. Dla wszystkich w Dolinie Krzemowej stało się jasne, że w tym środowisku współzałożyciel Ubera nie ma czego szukać.

W grudniu 2019 r. Travis Kalanick ostatecznie wycofał się ze spółki. Za 2,5 mld dol. sprzedał 90% posiadanych akcji i założył fundusz inwestycyjny o nazwie 10100, który miał działać na rynkach chińskim i indyjskim, a swoją aktywność biznesową przeniósł poza Stany Zjednoczone.

Następcą Kalanicka został pochodzący z Iranu biznesmen Dara Khosrowshahi. Pod jego kierownictwem zaczęto budować wizerunek firmy przyjaznej klientom i szanującej pracowników. Zyskał on też zaufanie inwestorów i do dziś kieruje Uberem. Nie znaczy to, że wokół spółki przestały się piętrzyć kontrowersje. Wręcz przeciwnie. Dopiero teraz zaczęły wypadać trupy z szaf.

> Sąd w Berlinie uznał, że Uber nie gwarantuje odpowiedniego ubezpieczenia ani nie jest w stanie zweryfikować swoich kierowców.

Przemoc gwarantuje sukces

Działalność Ubera od początku budziła sprzeciw taksówkarzy. Do najpoważniejszego starcia doszło w 2015 r. we Francji, gdy na ulice Paryża, Nantes i Marsylii wyszły tysiące taksówkarzy protestujących przeciwko działalności firmy. W Marsylii policja zmuszona była pałować zbyt krewkich uczestników demonstracji.

eprasa.pl 28ebe4ac71

W efekcie pojawiły się głosy, że Uber dostanie zakaz działalności w tym kraju.

Jak wynika z dziennikarskiego śledztwa prowadzonego przez brytyjskiego „Guardiana" oraz Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych, spółka, którą kierował wówczas Travis Kalanick, podjęła wyzwanie i planowała przeznaczyć 90 mln dol. na public relations i lobbing. Z ujawnionych w lipcu br. dokumentów wynika, że jednemu z lobbystów Ubera, Markowi McGannowi, udało się dotrzeć do ówczesnego ministra gospodarki, a obecnie prezydenta Francji Emmanuela Macrona. Miał on „osobiście przyjrzeć się sprawie". Po rozmowie z lobbystą prefekt Marsylii cofnął swoją decyzję o zakazie działalności Ubera w tym mieście.

W równie krępującej sytuacji znalazła się była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Neelie Kroes, która w 2015 r. miała potajemnie lobbować w interesie Ubera u premiera Holandii Marka Ruttego oraz u wielu innych holenderskich polityków.

Sprawa była tak delikatna, że ówczesne kierownictwo Ubera zalecało daleko idącą ostrożność i dyskrecję w kontaktach z panią Kroes. Nie brakuje głosów, że jej postępowanie mogło naruszać obowiązujące w Unii zasady etyczne. Była wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej tłumaczyła się, że nie robiła nic złego, gdyż jako osoba odpowiedzialna za nowoczesne technologie i firmy działające w obszarze IT miała wręcz obowiązek prowadzenia rozmów na ten temat.

Inny fragment ujawnionej przez „Guardiana" korespondencji Travisa Kalanicka wskazuje, że w 2015 r. nie liczył się on z opiniami podległych mu menedżerów, ostrzegających, że wysłanie francuskich kierowców Ubera na protesty taksówkarzy może być dla nich groźne. „Wydaje mi się, że warto – pisał Kalanick. – Przemoc gwarantuje sukces".

Podobnie działo się w innych państwach. We wrześniu 2017 r. Uber stracił licencję przewozową w Londynie ze względu na bezpieczeństwo publiczne. Był to finał trwających od czerwca 2014 r. protestów kierowców słynnych londyńskich taksówek black cabs oraz członków Związku Licencjonowanych Kierowców Taxi.

Travis Kalanick, dyrektor generalny Ubera, twierdził, że „przemoc gwarantuje sukces".

Działalność Ubera w Berlinie została zakazana przez sąd, który uznał, że firma nie gwarantuje wymaganego przez prawo odpowiedniego ubezpieczenia ani nie jest w stanie zweryfikować pracujących dla niej kierowców. Lecz w innych niemieckich miastach – Monachium, Frankfurcie czy Hamburgu – korzystanie z aplikacji jest legalne.

W grudniu 2017 r. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej wydał wyrok w sprawie o sygnaturze C-434/15, w którym orzekł, że Uber świadczy usługi transportowe, a nie elektroniczne. Wydawało się wtedy, że może to mieć przełomowe znaczenie dla całego europejskiego rynku usług transportowych. Dziś wiemy, że tak nie jest. Uber nie zniknął z rynku, tylko do niego się dostosował. Pracują w nim licencjonowani taksówkarze. Na początku 2022 r. firma miała na całym świecie ponad 118 mln aktywnych użytkowników i generowała średnio 19 mln kursów dziennie. Jej wartość jest szacowana na 50 mld dol.

Ostatnio poważnym problemem stały się informacje o gwałtach i molestowaniu seksualnym pasażerek przez kierowców Ubera. W sądzie hrabstwa San Francisco kancelaria Slater Slater Schulman złożyła pozew zbiorowy w imieniu 550 kobiet, które były napastowane seksualnie, porywane i gwałcone lub w inny sposób atakowane. Stało się to niespełna dwa tygodnie po opublikowaniu przez Ubera raportu na temat bezpieczeństwa. Wynika z niego, że w 2020 r. doszło do 998 napaści na tle seksualnym, w tym 141 gwałtów. Firma zaznacza jednak, że w porównaniu do lat 2017-2018 liczba incydentów spadła o połowę.

Prawnicy kancelarii Slater Slater Schulman twierdzą, że od 2014 r. firma wiedziała, iż jej kierowcy dopuszczają się takich czynów, jednak przedkładała zyski nad bezpieczeństwo klientów, dlatego ukrywała informacje na ten temat. Do tej pory ta kancelaria złożyła 12 pozwów przeciwko Uberowi, łącznie ma ich być 25.

Spółka z kolei przekonuje, że w ostatnich latach wprowadziła zmiany mające wyeliminować podobne przypadki. Jedną z nich jest opcja nagrywania dźwięku z podróży, dostępna już w 14 krajach, w tym w Brazylii i Meksyku.

W mediach można się spotkać z poglądem, że agresja seksualna i przypadki gwałtów wynikają m.in. z tego, że kierowcami Ubera są często ubodzy i gorzej wykształceni imigranci. Fakt, że usługa jest tania, oznacza, że zarobek pracownika nie może być wysoki. Trzeba jednak przyznać, że większość klientów firmy docenia to, że za niewielkie pieniądze może skorzystać z podwózki. I w tym tkwi tajemnica sukcesu Ubera.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28ebe4ac71

Odra – krajobraz po katastrofie

W Polsce są naukowcy i praktycy, którzy wiedzą, jak przywrócić Odrę do życia. Tylko czy władze będą chciały skorzystać z ich wiedzy?

Marek Czarkowski

Na ekranach telewizorów oglądamy tony martwych ryb wyławianych z Odry koparkami. Oburzają nas idiotyczne wypowiedzi urzędników i polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy najpierw starali się zamieść sprawę pod dywan, by następnie, w obliczu dramatycznych faktów, przejść do działania wedle maksymy: „Pogłębiać dno i trzymać się koryta".

Od wyłowienia pierwszych martwych ryb z Odry minął miesiąc, a wysiłki prokuratury oraz innych tajnych i jawnych służb nawet na jotę nie przybliżyły nas do odpowiedzi na pytanie, kto odpowiada za ten dramat. Komendant główny policji wyznaczył milion złotych nagrody za pomoc w ustaleniu sprawcy, ale czy będzie przełom?

Tak czy inaczej, rzekę trzeba oczyścić i jak najszybciej przywrócić do stanu sprzed katastrofy. Rząd ani Wody Polskie, centralna instytucja, która zajmuje się naszymi rzekami, jeziorami, stawami, wałami przeciwpowodziowymi itp., nie są w stanie tego zrobić. A już cierpią mieszkańcy czterech województw – opolskiego, dolnośląskiego, lubuskiego i zachodniopomorskiego.

Problemy dotknęły właścicieli gospodarstw rybackich, które korzystają z wód rzeki, oraz położonych nad rzeką hoteli i restauracji, turystów i mieszkańców nadodrzańskich miast, miasteczek i wsi. Kto będzie chciał wypoczywać nad ściekiem, w którym kąpiel grozi poważnymi problemami dermatologicznymi? Kto będzie chciał jeść złowione w zatrutej wodzie ryby?

Rzeki jak ścieki

23 października 2015 r. w Poznaniu doszło do katastrofy ekologicznej, która zmieniła Wartę w martwy ściek. Ktoś wylał do rzeki trującą substancję. Wyłowiono wówczas ponad 20 ton martwych ryb, choć nie brakuje głosów, że straty były znacznie większe. W lutym br. – czyli po siedmiu latach – przed sądem w Poznaniu stanął Piotr M., współwłaściciel firmy Bros, produkującej preparaty zwalczające owady i gryzonie. Prokuratura zarzuca mu m.in., że w 2015 r. dopuścił do wylania do studzienki ściekowej w magazynie firmy przy ul. Bałtyckiej w Poznaniu trujących substancji, które następnie kanalizacją i kolektorem ściekowym popłynęły do Warty.

Bez względu na ostateczne rozstrzygnięcie proces będzie się toczył bardzo długo – to jedno jest pewne. W podobnych sprawach zawsze tak się dzieje. Oczywiście jeśli prokuraturze uda się ustalić podejrzanych i skierować akt oskarżenia do sądu.

Lista katastrof ekologicznych, do których doszło w ostatnich latach w Polsce, jest długa. Oto kilka przykładów.

W maju 2018 r. w Gdańsku w efekcie awarii w przepompowni ścieków do Motławy zaczęły spływać nieczystości z dużej części miasta, zamieniając rzekę w szambo. A stamtąd dostały się do Bałtyku.

W roku 2019 doszło do awarii kolektora doprowadzającego ścieki do oczyszczalni Czajka w Warszawie. Z tego powodu do Wisły przez dłuższy czas płynęły ścieki z niektórych dzielnic stolicy.

Rok później kolektor ponownie uległ uszkodzeniu i sytuacja ze zrzutem nieoczyszczonych fekaliów do królowej polskich rzek się powtórzyła. Szacuje się, że do Wisły trafiło łącznie ponad 10 mln m sześc. ścieków komunalnych.

Na początku lipca 2020 r. zanieczyszczona została Barycz na odcinku 60 km w okolicach Ostrowa Wielkopolskiego. Wyniki badań wskazywały na zatrucie bakteriami pochodzenia zwierzęcego, podejrzenia padły więc na okoliczne chlewnie i ubojnie, rolników gromadzących na polach nawozy sztuczne w pryzmach, które mogły zostać wymyte przez deszcze, a nawet oczyszczalnię ścieków z okolic Odolanowa.

Pod koniec lipca 2021 r. nieznany sprawca wlał do rzeki Leśnicy (dopływ Parsęty, koło Białogardu, Zachodniopomorskie) żrącą substancję chemiczną, która zniszczyła ekosystem na odcinku 10 km. Trucizna dotarła także do Gospodarstwa Rybackiego Dadoń w Żytelkowie. Otrutych zostało kilkadziesiąt ton ryb.

W grudniu tego samego roku ktoś ponownie wlał substancje chemiczne do tej rzeki i znów trzeba było zutylizować dziesiątki ton ryb.

W maju 2022 r. zaobserwowano śnięte ryby płynące Bzurą między Łowiczem a Sochaczewem. Nie ustalono, co było przyczyną zatrucia.

1 czerwca br. doszło do skażenia produktami ropopochodnymi Motławy. Akcja strażaków związana z tym wypadkiem trwała kilkanaście godzin. Z późniejszych analiz wody wynikało, że normy zostały przekroczone dziesięciokrotnie.

> Do Wód Polskich przeszła stosunkowo niewielka grupa doświadczonych pracowników starostw powiatowych i urzędów marszałkowskich.

eprasa.pl 28ebe4ac71

W Krajniku Dolnym (Zachodniopomorskie) tylko od 13 do 15 sierpnia wydobyto ok. 20 ton śniętych ryb.

Odpowiedź na pytanie, kto ponosi za to wszystko odpowiedzialność, jest ważna. Lecz jeszcze ważniejsza jest kwestia, co dalej.

Wodny moloch z posadami

W Polsce mało kto przejmuje się wodą, o czym dobrze wiedzieli liderzy Prawa i Sprawiedliwości. Gdy 1 stycznia 2018 r. na mocy sejmowej ustawy powołane zostało Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie, nikt nie protestował. Tak powstał moloch zatrudniający ok. 6 tys. pracowników, w tym krewnych i bliskich prominentnych polityków PiS. Wbrew szumnym zapowiedziom, że teraz będzie lepiej, chodziło o podporządkowanie sobie kolejnego obszaru, głównie aktywności samorządowej, i zaopiekowanie się dziesiątkami miliardów złotych, które Unia Europejska przeznacza na ekologię.

Więcej pikantnych szczegółów na temat Wód Polskich znajdziemy w raporcie Najwyższej Izby Kontroli z października 2020 r. To, co stało się z Odrą, w pełni potwierdziło wyrażone w nim obawy.

Kontrolerzy NIK stwierdzili, że do Wód Polskich przeszła stosunkowo niewielka grupa doświadczonych pracowników starostw powiatowych oraz urzędów marszałkowskich, co odbiło się na funkcjonowaniu instytucji. Wody Polskie w latach 2018-2019 nie zapewniły prawidłowego utrzymania i eksploatacji urządzeń wodnych będących własnością skarbu państwa ani należytego stanu technicznego obsługi i bezpieczeństwa budowli hydrotechnicznych.

A trzeba pamiętać, że pod względem zasobów wody nie jesteśmy najbogatszym krajem w Europie. Przeciętnie wynoszą one 60 mld m sześc., w porach suchych poziom ten może spaść poniżej 40 mld m sześc. Dla porównania zasoby Francji to 208 mld m sześc., a Niemiec – 188 mld m sześc.

Systematycznie powtarzające się letnie susze dodatkowo pogarszają jakość wody, która – zwłaszcza w małych zbiornikach – na skutek parowania zmienia się w pozbawioną tlenu zupę. Według Europejskiej Agencji Środowiska stan ekologiczny ponad połowy naszych wód powierzchniowych (rzek, jezior, małych zbiorników wodnych itp.) jest poniżej dobrego. Jedynie 11,5% polskich jezior może się poszczycić dobrym stanem wody. Z rzekami jest podobnie.

Oczyszczać, ale jak?

Naukowcy i ekolodzy twierdzą, że jeśli chcemy ograniczyć skutki suszy i mieć czystszą wodę, powinniśmy zatrzymywać ją tam, gdzie ona spadła – w bagnach, mokradłach, na terenach zalewowych, którym musimy przywrócić łączność z rzekami, te zaś nie powinny być zbyt uregulowane. Woda będzie miała wtedy szansę oczyścić się w sposób naturalny. Poza tym to jedyny sposób, by powstrzymać, a w przyszłości odwrócić, proces stepowienia kraju.

Musimy też poważnie zabrać się do rekultywacji, czyli naprawy ekosystemów rzek, jezior oraz innych zbiorników wodnych. Do wyboru są tu trzy metody: mechaniczna, chemiczna oraz biologiczna.

Pierwsza polega na prowadzeniu prac na zbiorniku wodnym z zastosowaniem maszyn budowlanych i ciężkiego sprzętu. Z jeziora spuszczana jest woda, a osady denne są wybierane przez koparki i spychacze, następnie zaś utylizowane. Mechaniczne metody oczyszczania należy stosować, gdy inne rozwiązania są nieskuteczne. Na przykład gdy osady denne są silnie zanieczyszczone chemicznie

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl 28ebe4ac71

lub substancjami zawierającymi metale ciężkie. Ta metoda jest najkosztowniejsza i wprowadza największe zmiany w środowisku naturalnym.

Metoda chemiczna opiera się na dozowaniu specjalnych substancji (koagulantów) w celu strącenia i inaktywacji biogenów w osadach dennych. Efekty jej zastosowania są widoczne już po kilku tygodniach. Woda w jeziorze, do którego wsypano kilka, a zdarza się, że nawet kilkanaście ton takich związków, staje się wyraźnie przejrzystsza. Słabością tej metody jest to, że nie likwiduje przyczyn zanieczyszczenia wody, a jedynie wytrąca niepożądane związki, które zalegają na dnie. Co gorsza, podobne zabiegi trzeba powtarzać co jakiś czas. Problemem jest też określenie długofalowych skutków stosowania środków chemicznych na ekosystem jeziora lub innego zbiornika wodnego. Od jakiegoś czasu trwają badania, które mają ustalić, czy – i na ile – ta metoda jest bezpieczna dla środowiska.

Nadzieja w bakteriach

W ostatnich latach największe nadzieje wiązane są z metodą biologiczną, która bazuje na wykorzystaniu żywych organizmów – bakterii, fitoplanktonu itp. Potrafią one skutecznie oczyszczać wodę w sposób naturalny. Przy czym koszt tej metody w porównaniu do innych wypada bardzo korzystnie. Powód jest prosty, mikroorganizmy kosztują niewiele, a ich możliwości budzą respekt. Przykładem może być Ideonella sakaiensis zamieniająca najpopularniejszy na świecie rodzaj plastiku, politereftalan etylenu (PET), z którego produkowane są butelki do napojów, w biodegradowalny plastik. Dlatego Ideonellę nazwano bakterią, która zjada plastik. Wystarczy 10 godzin, by dzięki niej tona plastikowych butelek uległa 90-procentowej biodegradacji.

W 2021 r. kanadyjscy naukowcy opublikowali badania, z których wynikało, że trzy rodzaje bakterii – *Paraperlucidibaca*, *Cycloclasticus* i *Zhongshania* – są w stanie rozkładać olej napędowy i komponenty ropy naftowej. Z kolei zespół europejskich badaczy odkodował genom podstawowej bakterii rozkładającej ropę naftową – *Alcanivorax borkumensis*. Uczeni mają nadzieję, że dogłębne poznanie biochemii mikroorganizmów pomoże w opracowaniu nowych, skutecznych i przyjaznych dla środowiska metod oczyszczania wód skażonych ropą naftową.

Polacy także mają czym się pochwalić. Spółka ACS Poland, będąca w istocie zespołem naukowców pracujących w różnych krajowych i zagranicznych ośrodkach badawczych, od lat rozwija biologiczną metodę oczyszczania i rekultywacji zbiorników wodnych, opracowaną w 2009 r. przez dr. inż. Marcina Sitarka. Do dziś udało im się oczyścić ponad 300 różnych zbiorników wodnych na terenie całego kraju. W tym zalew Muchawka w Siedlcach, zalew w Dojlidach, Jezioro Kozienickie, zalew Pasternik w Starachowicach i zalew w Ożannie koło Leżajska. – Jesteśmy w stanie nie tylko oczyścić jezioro, zalew czy inny zbiornik wodny, ale – co ważniejsze – potrafimy znacząco zredukować osady denne – opowiada mi prezes firmy Przemysław Karwowski. – Pracę wykonują specjalnie wyselekcjonowane i dobrane przez naszych badaczy mikroorganizmy. Naszym celem jest przywrócenie równowagi biologicznej w akwenach, którymi się zajmujemy. Wymaga to indywidualnego podejścia do każdego projektu, dlatego poddajemy szczegółowej analizie próbki wody, osadów dennych oraz inne parametry niezbędne do ustalenia wymaganej dawki mikroorganizmów, tak by uzyskać jak najlepsze efekty.

Prezes Karwowski uważa, że w związku z katastrofą ekologiczną, jaka dotknęła Odrę, rząd powinien zwrócić się do naukowców i ekspertów, którzy mają doświadczenie w oczyszczaniu rzek i zbiorników wodnych, by jak najszybciej zaproponowali skuteczne i najmniej zagrażające środowisku rozwiązania.

– W Polsce nie brakuje specjalistów, którzy będą w stanie przywrócić pierwotne funkcje ekosystemu tej rzeki. Fakt, że niemal 500-kilometrowy odcinek Odry został zniszczony, nie oznacza, że nic nie można zrobić. Jestem pewien, że rzekę da się przywrócić do życia w ciągu kilku lat, pod warunkiem że sięgniemy po sprawdzone w praktyce rozwiązania.

W ubiegłym tygodniu dr hab. Jacek Wróbel, profesor i rektor Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, powołał specjalną grupę naukowo-ekspercką w sprawie zatrutej Odry. W jej skład weszło 17 naukowców z różnych dziedzin, którzy gotowi są pomóc władzom samorządowym i centralnym, jeśli będą chciały skorzystać z ich wiedzy. To cenna inicjatywa, bo rząd nie wie, co dalej robić. Do kogo się zwrócić o radę i pomoc? I komu można w tej sprawie zaufać?

W życiu sztuką jest wyciąganie pozytywnych wniosków z negatywnych przesłanek. Oby ta tragedia sprawiła, że z większą powagą potraktujemy postulat, że o wodę w Polsce trzeba dbać. Bo nie jest ona nam dana na wieki w nieograniczonej ilości. Jeśli tego nie zrobimy, bez względu na to, kto będzie rządził, w końcu przyjdzie nam ją racjonować.

Jedynie 11,5% polskich jezior może się poszczycić dobrym stanem wody. Z rzekami jest podobnie.

Naukowcy ze spółki ACS Poland od lat rozwijają biologiczną metodę oczyszczania i rekultywacji zbiorników wodnych dr. inż. Marcina Sitarka. Do dziś oczyścili ponad 300 zbiorników wodnych.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Albo algi, albo śmierć

Lapsus polityka to w rutynowej, nudnawej codzienności raj dla felietonisty, to używka, to napęd złośliwotwórczy, perpetuum mobile szyderstw i drwin. Taki, weźmy, pierwszy przykład z tzw. brzegu: Duda Andrzej, prezydent, którego autorytet chronią przepisy prawne, bo szans, czasu i kompetencji, żeby go sobie samemu wyrobić, nie stało. I nie stanie. Przy okazji szkodliwego świętowania oręża palnął jak cepem w płot, komentując kryzys na granicy polsko-białoruskiej, i dziękował: polskim żołnierzom i funkcjonariuszom za ich postawę i obronę „mimo różnego rodzaju ataków różnych durniów i zdrajców, różnych ludzi nieodpowiedzialnych".

Tutaj opuszcza mnie wena żartobliwa i krotochwilna, mówimy o obrażaniu najbardziej niezwykłych osób naszego czasu, które zapisują się jasnymi zgłoskami w historycznym momencie klęski humanitarnej oraz upadku moralności i prawa państwa polskiego. Aktywistki na granicy ratują ludzkie życie i zdrowie, kiedy formacje podległe prezydentowi nagminnie łamią prawo i pozostają w stanie zbrodniczej recydywy, nie bacząc zresztą na kolejne wyroki polskich sądów, które jednoznacznie to nazywają w uzasadnieniach decyzji uniewinniających aktywistki – to kobiety głównie tam działają. Takie słowa w ustach Dudy tylko potwierdzają po raz kolejny i kolejny, że jest to osoba całkowicie nie na swoim miejscu, a mówiąc wprost, to przypadkowy bękart politycznych szarad Kaczyńskiego. Myślałem nawet o tym, żeby napisać coś w rodzaju „jak skutecznie obrazić i zelżyć prezydenta RP", ale uznałem, że nie ma co, szkoda atencji. Tu należy iść tropem wyznaczonym przez legendarną frazę Tuwima o endeku (a jest Duda w czystej formie spadkobiercą ONR i innych faszyzujących polskich poronień ideowych), gdzie Julian pisał:

Próżnoś repliki się spodziewał
Nie dam ci prztyczka ani klapsa.
Nie powiem nawet „Pies cię jebał",
bo to mezalians byłby dla psa.

W tym samym czasie oglądamy zbrodnię na Odrze, milczenie, matactwa, łgarstwa i wykręty władz, których instytucje, przejęte lub stworzone jak Wody Polskie, zajmują się wyłącznie tym, żeby uniknąć odpowiedzialności i zatuszować swoje dobrze opłacane, kumoterskie niekompetencje. A rzeka umiera, w niej tysiące ryb i innych stworzeń. Zniwelowano też całkowicie, najpewniej na lata, życie ludzi, którzy swój byt i pracę budowali na istnieniu żywej, płynącej Odry. Państwo polskie i jego tzw. służby – jakby nie istniały. Komendant policji obiecuje milion złotych temu, kto powie, któż odpowiada za tę zbrodnię. A to nie podlegli mu funkcjonariusze powinni teraz wykonać swoją robotę??? No ale jak tu swoich ścigać? Dał nam przykład wypadek bmw premier Szydło z cinquecento, jak tuszować mają i tuszują.

W tym samym czasie media publikują zestawienia „umilionerzenia" kasty politycznej PiS w wyniku przejęcia samomnożących się stanowisk i synekur w spółkach skarbu państwa. Mamy zatem dwa zjawiska: setki wysokopłatnych, niezwiązanych z umiejętnościami, kompetencjami, wiedzą ani doświadczeniem stanowisk otrzymanych wyłącznie po linii partyjnej, a równocześnie katastrofalne efekty takich nominacji i „niedziałań", chyba że wykręty i matactwa są wpisane do obowiązków zawodowych.

W całym tym cyrku wychodzi jeszcze na chwilę przed szereg nadposeł Kaczyński, chroniony przez setki policjantów, i nie znajduje ani jednego słowa, żeby się odnieść do dramatu Odry. Cud, że nie oskarżył Niemiec, to w jego imieniu zrobiła TVP.

Aktywistki na granicy ratują ludzkie życie i zdrowie, kiedy formacje podległe prezydentowi nagminnie łamią prawo i pozostają w stanie zbrodniczej recydywy.

Taki świat nie ma racji bytu, taki sposób sprawowania władzy jest nie tylko czystą kpiną z demokratycznych procedur i idei. To więcej – symptom radykalnego wyczerpania się takiej formuły sprawowania władzy, która wszystko, co robi, mając gęby pełne frazesów patriotycznych, polskościowych i katolickich, robi na swój prywatny użytek i bogacenie się. Nie wiem, jaki jest choć jeden argument, żeby taki system podtrzymywać przy życiu. No, może po to, żeby prof. Roszkowski miał okazję pociągnąć swoją wizję złego świata poza PiS i ponownie małym kosztem zarobić na zideologizowanym poza dopuszczalne i niedopuszczalne miary podręczniku.

Oglądamy właściwie spektakl, chociaż publiczny, to dostępny tylko dla wybranych. Większość z nas (obywateli tworu zwanego Rzecząpospolitą Polską) albo tego nie widzi, albo nie chce zrozumieć czy wyciągnąć wniosków. Jest Polska rozkawałkowana na setki drobnych światów, które kwitną jak te złote algi w zasolankowanej przez wody kopalniane Odrze, w suszy i sztucznie uregulowanej rzece. Ale algi mają się świetnie. A że reszta umiera? Było wybrać bycie algami.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Czas nowej zimnej wojny

Wielka szachownica na nowo. Rosyjski niedźwiedź na chińskim postronku

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK

Panie profesorze, rozmawialiśmy przed wybuchem wojny rosyjsko-ukraińskiej. Mówił pan wówczas, że gra Putina to gra o Rosję. A gra Bidena? O co on gra?

– Putin gra o Wielką Rosję albo o scalenie wszystkich ziem ruskich. Czyli chciałby odzyskania Białorusi, Ukrainy, części Kazachstanu itd. A o co gra Ameryka? Gra na wielu fortepianach. Po pierwsze, chce przypomnieć światu o swoim statusie hegemona, czyli państwa, które dotychczas dominowało i określało światowy ład i porządek. Po drugie, co akurat zbieżne jest po części z interesami polskimi, gra o osłabienie Rosji.

Dlaczego po części?

– Dlatego, że to może być bardzo długa gra i długa wojna, a wtedy obok osłabionej Rosji pojawi się osłabiona Polska. Tu nasze interesy i interesy amerykańskie nie są zbieżne. Trzeba zatem na to zważać. I trzeci element – Ameryka gra na rozbicie sojuszu czy też współpracy rosyjsko-chińskiej. Tak więc mamy w tej chwili rozwijającą się nową zimną wojnę.

Między Ameryką a Chinami?

– Między dwoma obozami, które nam się wyłaniają. Ten pierwszy to obóz wokół USA, szeroko rozumiany, liberalny Zachód z różnymi odpryskami, ale, ku zaskoczeniu Rosjan i Chińczyków, w miarę zjednoczony. Drugi obóz, który od wojny ukraińskiej zaczyna się wyłaniać, jest skupiony wokół Chin. Czyli mamy zderzenie. Z jednej strony liberalny, demokratyczny Zachód, a z drugiej bardziej skuteczne – zdaniem Chińczyków i Rosjan – systemy nieliberalne albo wręcz autokratyczne. I o to toczy się gra – która część świata będzie górą. Zwróćmy uwagę na cykl spotkań na szczycie od końca czerwca do początków lipca. W tym czasie mieliśmy spotkanie G7, czyli największych gospodarek świata zachodniego, szczyt grupy BRICS i szczyt NATO. Wszystko to pokazuje, że rozgrywka narasta.

Wizyta Nancy Pelosi na Tajwanie wskazuje, że Stany Zjednoczone zamierzają grać twardo. Czy to taktyka wykalkulowana na zimno? Czy USA zostały zaskoczone reakcją Chin?

– To ważna cezura. Obie strony wychodzą z kalkulacji wewnętrznych. Pelosi, konsekwentna w krytyce władz ChRL, chciała coś ugrać dla słabnących demokratów, a przy okazji powiedzieć Chinom: sprawdzam. Xi Jinping natomiast musi prężyć muskuły, być ostry – werbalnie i nie tylko – by nie pokazać własnym obywatelom, że jest słaby w sprawie traktowanej w ChRL jako kardynalna kwestia, na dodatek z zakresu polityki wewnętrznej. Do której niech inni, począwszy od USA, się nie mieszają.

Po tej wizycie mamy najgorszy stan stosunków bilateralnych USA-Chiny w ich historii i otwarty nowy front, obok Ukrainy – Tajwan. Nie oznacza to automatycznie wojny o wyspę, ale przymiarkę jej blokady czy izolacji właśnie widzieliśmy. To jest groźne, bo dotyczy dwóch najsilniejszych organizmów na globie.

Wyłania się duopol

A nie można zaryzykować tezy, że wyłania nam się nie duopol, lecz świat wielobiegunowy? Indie chyba nie są po stronie Chin.

eprasa.pl 28ebe4ac71

– Mówię, że duopol się wyłania, ale to nie znaczy, że jest już utrwalony. Spotkania grupy BRICS oraz G7 pokazały jak na dłoni, o co toczy się gra. Kluczowe są Indie – wszyscy chcą je pozyskać. One są w grupie BRICS. Ale premier Narendra Modi został też zaproszony na spotkanie G7.

Jedni i drudzy chcą przeciągnąć Indie na swoją stronę.

– Od dziesięcioleci zajmuję się obszarem Azji i Pacyfiku. A ostatnio zaczęliśmy mówić Indo-Pacyfik. Z jednego, zrozumiałego względu – o Indie tu chodzi. Czy będą bardziej z Zachodem, czy ze wschodzącymi rynkami. Indie są trzecim biegunem. I tym, co oni sami definiują jako *swing state*, czyli państwem wahadłowym, które bardzo dobrze współpracuje z Japonią albo ze Stanami Zjednoczonymi, ale jak trzeba, to pójdzie na inwestycje z Chinami, a broń kupi od Putina. Prorosyjskie relacje dotyczące wojny w Ukrainie są w mediach indyjskich bardzo wyraźne. Czyli z obecnej sytuacji może się wyłonić świat dwublokowy, ale i wielobiegunowy. Zwłaszcza że w grze są jeszcze dwa państwa.

Które?

– Jedno to Indonezja. Czyli czwarte najludniejsze państwo świata. Zachód chce przyciągnąć Indonezję i prezydent Joko Widodo był zaproszony na szczyt G7. Ale był też zaproszony na szczyt BRICS, jakżeby inaczej. No i Indonezja, pamiętajmy, jest w G20. Kolejny kraj to Argentyna. Ją też zaproszono na szczyt G7, ale BRICS to przebił, bo zaprosił ją nie tylko na swój szczyt, ale i do swego grona. Wykorzystuje się sytuację, że prawie cała Ameryka Łacińska jest albo neutralna, albo negatywnie nastawiona do liberalnego Zachodu. A Chiny bardzo mocno na kontynencie południowoamerykańskim inwestują. To są te obecne wielkie gry!

G7 kontra nowy, wschodzący świat?

– G7 to 750 mln mieszkańców. A BRICS, bez Argentyny, to jest prawie 3,5 mld ludzi. To pokazuje, jak wygląda świat i kształtujący się nowy układ sił.

Politycy to widzą?

– Niedawno Japonia straciła swojego najwybitniejszego polityka ostatnich dekad, Shinzō Abego. To on jest twórcą pojęcia Indo-Pacyfik. To on, widząc i rozumiejąc wzrost potęgi chińskiej lepiej niż ktokolwiek na świecie, szukał kontrpropozycji właśnie w Indiach. To Abe wyszedł już w 2007 r. z koncepcją Quad, czyli sojuszu wojskowego USA, Japonii, Australii i Indii właśnie. Jak to się rozwinie, zobaczymy. Japonia w nowym rozdaniu najlepiej rozumie zagrożenie ze strony Chin, dlatego bardzo, ale to bardzo popierała Tajwan. Stoi też najbliżej, jeszcze bliżej niż Polska, co trudno sobie wyobrazić, przy Stanach Zjednoczonych Ameryki. Zwracam uwagę, że na szczycie NATO zdarzyło się coś bezprecedensowego – i nie mówię tu o decyzji przyjęcia Szwecji i Finlandii. Otóż po raz pierwszy na szczyt NATO zaproszono przywódców Japonii i Korei Południowej. Co oznacza, że Sojusz ma interesy w regionie Azji i Pacyfiku.

Dwa słonie

Prezydent Putin powiedział niedawno, że kraje albo są niezależne, albo są koloniami. Ile więc z rosyjskiego punktu widzenia jest na świecie państw niezależnych? Kilka?

– Moim zdaniem nie ma państw stuprocentowo niezależnych. Bo tak naprawdę to rządzą nami wielkie koncerny. Jeśli Twitter potrafił zablokować prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa? Angela Merkel też raczej była w szponach wielkich firm transnarodowych, choć o pochodzeniu niemieckim, z niemieckimi nazwami. W tym sensie Chiny zdają się najbardziej suwerennym państwem, bo gdy Twitter zaatakował Trumpa, to natychmiast przywołały do porządku Alibabę, Tencent i inne swoje wielkie konglomeraty. Mao mówił, że partia rządzi lufą karabinu, a teraz partia rządzi kontami wielkich firm i Pekin przypomniał im miejsce w szeregu. Innymi słowy, suwerenów, takich prawdziwych, jest maksymalnie kilku, natomiast mamy zglobalizowane rynki, co zmienia zupełnie charakter obecnej nowej zimnej wojny.

Jak zmienia?

– Poprzednia zimna wojna nie miała dla USA konsekwencji ekonomicznych. Ona miała konsekwencje ekonomiczne, patrz gwiezdne wojny Ronalda Reagana, dla ZSRR. Ale przez ostatnie trzy dekady Chiny i Stany Zjednoczone tak się ze sobą powiązały, że teraz nie sposób tego rozplątać. Czego dowodem jest obecna wojna handlowa i celna z Chinami, którą USA rozpoczęły w marcu 2018 r. Statystyki pokazują, że więcej na tym tracą Stany, a nie Chiny. Teraz więc mówi się o deglobalizacji, że będziemy skracali łańcuchy dostaw, co zresztą uważam za słuszne. Z tym że jeśli to skracanie pójdzie za daleko, objawi się zjawisko zwane nacjonalizmem gospodarczym. I nastąpi podział globu na świat chiński i amerykański. Wtedy wszyscy bylibyśmy przegrani, bo – jak mówi się w Azji – gdy dwa słonie walczą, to trawa na pewno będzie zdeptana.

Indie wydają mi się państwem kluczowym. Mogą być w jednym bloku lub w drugim.

Ameryka chce przypomnieć światu o swoim statusie hegemona, czyli państwa, które dotychczas dominowało i określało światowy ład i porządek.

Prof. dr hab. Bogdan Góralczyk – politolog i sinolog, były ambasador w państwach Azji, wykładowca w Centrum Europejskim UW i jego były dyrektor. Autor tryptyku o Chinach: „Chiński feniks. Paradoksy wschodzącego mocarstwa", „Wielki Renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje", „Nowy Długi Marsz. Chiny ery Xi Jinpinga", oraz wywiadu rzeki „Świat Narodów Zagubionych".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 28ebe4ac71

– Kluczowe są Chiny. Natomiast Indie mają na ich tle kompleks. Bo przed reformami Deng Xiaopinga to one były bogatsze. A teraz mają gospodarkę osiem-dziesięć razy mniejszą niż chińska. W grupie BRICS same Chiny mają większy PKB i obroty handlowe niż czterej pozostali. Natomiast Indie postępują po swojemu. Premier Modi, co prawda nie w głównym przemówieniu, ale podczas spotkań z dziennikarzami, powiedział, że grupa BRICS nie jest od rozgrywania w celach politycznych, my mamy interesy gospodarcze. I sprowadził to do tego, że z Rosją trzeba robić interesy.

Te interesy rozumie jako pomaganie Rosji czy okazję, by wykorzystać jej kłopoty i zarobić na tanich surowcach?

– Hindusi na pewno zarabiają. Ich zakupy w Rosji, po wybuchu wojny w Ukrainie, wzrosły. Kupują po niższych cenach i zamierzają to robić. Natomiast znacznie bardziej skomplikowana jest gra ze strony Chin, dla których osłabienie Rosji też jest korzystne. Bo będą miały wtedy rosyjskiego niedźwiedzia na postronku! Ale Chińczycy mają podwójny zgryz. Bo owszem, woleliby mieć słabszego junior partnera na północy. Ale obawiają się dwóch rzeczy. Po pierwsze, że największym zwycięzcą wojny w Ukrainie mogą być Stany Zjednoczone Ameryki. A to nie leży w ich interesie. Tak jak nie leży w ich interesie, gdyby Rosja została rozłożona na łopatki. Wtedy Chiny miałyby partnera, któremu wciąż trzeba by pomagać, zamiast wspierającego je w starciu teraz dla nich najważniejszym – z USA i Zachodem.

To mi przypomina sytuację z wojny wietnamskiej. Kiedy Północ wygrywała, Chińczycy przycinali dostawy uzbrojenia. Kiedy przegrywała, dostawy znów szły.

– Henry Kissinger w pamiętnikach pisze, że Chińczycy wręcz namawiali Amerykanów, żeby nie opuszczali Południa, chociaż wiedzieli, że komuniści wietnamscy wygrają. Bo lepiej mieć Wietnam podzielony, jak Półwysep Koreański niż połączony. A dziś Wietnam jest największym sojusznikiem wojskowym Amerykanów w Azji Południowo-Wschodniej. Czyli już wtedy wykazywali się dalekowzrocznością i przewidywali, jak to może się skończyć. Dlatego w ich kalkulacjach jest jeszcze jedna rzecz– że lepiej mieć Ukrainę samodzielną, osłabioną niż zjednoczoną z Rosją. Ale oni nigdy tego otwarcie nie powiedzą.

Dla Polaków jest niepojęte, że Wietnam to dzisiaj największy sojusznik USA w Azji Południowo-Wschodniej.

– Jednoznacznie. A wie pan dlaczego? Dlatego, że był ponad 800 lat pod chińskim jarzmem. Wie, jak wygląda imperializm chiński.

Gry wielkich mocarstw

Nagle jako państwo między Chinami a Rosją pojawił się Kazachstan!

– I warto to śledzić. Dlatego że obecny prezydent Kazachstanu Kasym-Żomart Tokajew spędził w Pekinie wiele lat, płynnie mówi po chińsku i przyniósł ze sobą grupy interesu z Chinami związane. Bez aktywnego uczestnictwa Kazachstanu nie ma lądowego Jedwabnego Szlaku. Poza tym na terenie Kazachstanu jest największa na świecie mniejszość ujgurska. Część to uciekinierzy z Chin. Tam już się rozpoczęła wielka gra dyplomatyczna. Kazachstan zrozumiał, że pojawiła się próżnia władzy, zwłaszcza po wyjściu Amerykanów z Afganistanu. Można więc walczyć o większy zakres suwerenności.

Balansując między Rosją a Chinami, bo Zachód Azję Centralną odpuścił.

– Mamy jeszcze dwa przypadki, na które chciałbym zwrócić uwagę. Mjanma, czyli dawna Birma – dla Chin to państwo kluczowe, bo przez birmańskie porty mają dostęp do Oceanu Indyjskiego i dalej, do Zatoki Perskiej. Ropociągi i gazociągi wiodą z Zatoki Bengalskiej do prowincji Yunnan. To dla Chin prosta droga ominięcia cieśniny Malakka, skrócenia drogi dostaw surowców energetycznych o kilka tysięcy kilometrów. I co się dzieje – tam, jak wiemy, doszło w ubiegłym roku do krwawego zamachu stanu. Po tym zamachu głównym rozgrywającym zaczęła być… Rosja, która otwarcie sprzedawała broń nowej juncie i przysyłała najwięcej turystów, mimo covidu. Te kontakty były tak bliskie, że Chiny zorientowały się, że zaczynają być wypychane. Rozpoczęły więc delikatną grę i co prawda nie obroniły pani Aung San Suu Kyi, ale nie pozwoliły, żeby ją skazano na dożywocie. Jest w tej chwili zamknięta w celi, co jak na 77-letnią osobę jest dramatyczne. Ale żyje. Jednocześnie Chiny utrzymują dialog i kontakty z opozycją. Czyli próbują tam grać na kilku fortepianach, żeby być głównym rozgrywającym.

Zachód wpływów w Birmie nie ma?

– Żadnych. Inna geostrategiczna rozgrywka toczy się bardzo blisko nas. Bałkany! Tam zaczyna się dziać! Bośnia i Hercegowina jest na granicy destabilizacji. A w Macedonii Północnej mieliśmy rozruchy – z tego powodu, że Unia Europejska przyznała status państwa stowarzyszonego Ukrainie i Mołdawii, a Skopje pominęła. Jest więc potężne rozczarowanie i zaktywizowały się siły, które chętnie by poszły z Moskwą, tak jak Serbia, albo z Pekinem. Ale z Chinami się boją, żeby nie podzielić losu Czarnogóry, która pożyczyła od Chińczyków miliard dolarów, nie może tego spłacić i zaczyna być w ich kieszeni. Bałkany znowu robią się gorące. Tam jest gra bloków – z jednej strony są Stany Zjednoczone, z drugiej Unia Europejska, z trzeciej Rosja, z czwartej Chiny.

> To może być bardzo długa gra i długa wojna, a wtedy obok osłabionej Rosji pojawi się osłabiona Polska.

Europa – soft czy power?

Wreszcie pojawiła się w naszej rozmowie Unia Europejska!

– Unia jest fascynującym projektem integracyjnym, jedynym w swoim rodzaju. Ale żeby dokończyć proces integracji, taki jaki logika by nakazywała, trzeba by stworzyć

eprasa.pl 28ebe4ac71

superpaństwo, jakąś federację. A na federację nie ma zgody. Niestety, nie wytworzyliśmy prawdziwej europejskiej tożsamości. Tymczasem teraz w świecie toczy się walka mocarstw. Czyli walka wielkich potęg. A Unia sama się definiuje jako soft power, siła miękkiego oddziaływania. Co więc z taką Unią w świecie wielkomocarstwowej rywalizacji zrobić?

A może to się zmienia? Czy agresja Rosji na Ukrainę nie wstrząsnęła Unią? Nie spowodowała szoku, zmiany punktu widzenia?

– Najbardziej spektakularny przypadek to Niemcy. Tam kanclerz Olaf Scholz już 27 lutego, czyli trzy dni po agresji, miał wystąpienie w Bundestagu, o którym mówiono, że to przewrót kopernikański w niemieckiej polityce.

Ogłosił odejście od uprzywilejowanych kontaktów gospodarczych z Rosją, zapowiedział 100 mld euro na zbrojenia.

– Po tym wystąpieniu Niemcy zaczęli liczyć i okazało się, że to wszystko zbyt wiele kosztuje. I zaczęli się wahać. Niemcy okazują się słabym przywódcą w Unii Europejskiej. Trzeba się przyglądać, jak będą rozgrywały swoje relacje bilateralne z Moskwą i z Pekinem. Bo jasności na ten temat nie mamy. Chociaż Scholz niedawno znów wspomniał o europejskiej federacji, drażniąc tym rozbuchane nacjonalizmy.

To co nam pozostaje?

– Interesem dla Polski byłoby odtworzenie Trójkąta Weimarskiego. Ale gdy posłuchamy, co mówią nasze władze na temat Francuzów, a zwłaszcza Niemców, wiadomo, że to nie wchodzi w grę. A inny trójkąt, Londyn-Kijów-Warszawa, który lansował Boris Johnson? Między bajki trzeba włożyć. Dlatego mamy sytuację w Europie, jaką mamy.

Mamy walkę mocarstw.

– Walkę potężną, z której nie wiemy, co jeszcze się wyłoni, fronty są różne. Choć jest jeden pewnik – że cokolwiek by się stało, Rosja z tej wojny wyjdzie osłabiona. Na pewno nie wzmocniona. A Ukraina może wyjść całkowicie zdewastowana. Rozmawiamy prawie w rocznicę rzezi wołyńskiej, więc zwróciłbym uwagę na słowa prof. Grzegorza Motyki. Mówił on, że mamy trudną historię, o której nie wolno zapominać i nie wolno jej przemilczać. Ale też powinniśmy mieć świadomość, że sytuacja się zmieniła, wobec tego nie wolno grać kartą wołyńską, bo będziemy przeciwskuteczni. Tego Motyka nie dopowiedział, ale dopowiem ja: wiemy, jakie jest największe przekleństwo polskich dziejów – położenie między Rosją a Niemcami. Jeśli więc na wschód od naszych granic powstałaby samodzielna, prozachodnia Ukraina, a ona taką chce być, to już nie ma nas między Rosją a Niemcami. Już na wschód od nas jest bufor. Polska racja stanu jest więc taka, żeby prozachodnia Ukraina się utrzymała.

Poczekajmy do września

Chaos zbożowy, który Rosja chce wywołać w świecie, to także element wielkiej gry, destabilizowanie Zachodu.

– Poczekajmy do września. Na przełomie września i października zaczyna się w Europie sezon grzewczy. Wtedy zobaczymy, co z naszymi nośnikami energii, co z ropą, gazem, węglem. Jak będziemy się zachowywali? Proszę zwrócić uwagę, że nawet w Grupie Wyszehradzkiej i w Unii Europejskiej Viktor Orbán, jako jedyny, nigdy nie odstąpił od Putina. Że na Węgrzech propaganda pokazująca wojnę w Ukrainie jest prorosyjska, kremlowska. Czyli Orbán nadal wierzy, że Putin wygra tę wojnę. Bo inaczej by od niego odstąpił. Spójrzmy na Chiny. Otóż, zgodnie ze swoją tradycją, nawet kiedy Rosjanie zmobilizowali kilkaset tysięcy żołnierzy u granic z Ukrainą, kiedy Putin stawiał NATO swoje warunki, Chiny siedziały na wzgórzu i obserwowały, co będzie się działo. Złamały tę zasadę 4 lutego br.

Wtedy Putin przyjechał do Pekinu.

– Tę datę należy stale przypominać. 4 lutego Xi Jinping i Władimir Putin podpisali tzw. memorandum pekińskie, które jest niczym innym jak zarysem duopolu, nowego porządku światowego. Że jest świat zachodni, liberalny, i jest świat nieliberalny, w ich mniemaniu bardziej skuteczny. 4 lutego Chiny poparły rosyjskie postulaty, żeby NATO się nie rozszerzało oraz żeby zatrzymać proliferację sojuszy wojskowych, mając głównie na myśli powołane przez Amerykanów sojusze Quad oraz AUKUS z Australią i Wielką Brytanią. Chiny otwarcie poparły Rosję, licząc, że armia rosyjska jest jedną z najlepszych, więc tak czy inaczej będą po stronie wygranych. A okazało się, że armia rosyjska nie dała rady, że naród ukraiński się przeciwstawił, a Zachód zjednoczył. Wobec tego Chińczycy, to było widać w tamtejszych mediach, znów przyjęli taktykę: wchodzimy na górę i obserwujemy. Ale w ostatnich tygodniach sytuacja ponownie się zmieniła, doszło do kilku rozmów i Chińczycy poparli postulaty rosyjskie. Ja to czytam tak: uważają, że Zachód nie wygra. Po drugie, że Rosję trzeba wzmocnić. Żeby nie popadła w chaos, żeby nie była obciążeniem dla Chin. Te ruchy także powinny nam dać wiele do myślenia.

> Nie ma państw stuprocentowo niezależnych, tak naprawdę rządzą nami wielkie koncerny.

Optymizmem pan nie zaraża.

– Dlatego na koniec wspomnę o jeszcze jednym państwie, o Iranie. Otóż jesienią ub.r. Iran został przyjęty na pełnoprawnego członka do Szanghajskiej Organizacji Współpracy. Są w niej już m.in. Chiny, Rosja, Indie. Jeśli jest współpraca Iranu, Chin i Rosji, to jest coś, co Zbigniew Brzeziński nazwał kiedyś czarnym snem amerykańskiego stratega. Bo wtedy wystarczy tylko zneutralizować Indie i Eurazja jest pod kontrolą nie Zachodu, ale państw, które są po drugiej stronie duopolu. I tak naprawdę wygląda dzisiejszy świat. On już nie wróci do kształtu sprzed wojny, sprzed 24 lutego. To akurat jest pewnik w tym świecie pełnym turbulencji i wielkich niewiadomych.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Byle jak, ale stabilnie

Afganistan rok po przejęciu władzy przez talibów

Marcin Ogdowski

Miażdżąca większość afgańskich rzek zasilana jest śniegiem. Ilość opadów i grubość pokrywy wysoko w górach wprost przekładają się na dostępność wody w rolniczych dolinach. Trzy z rzędu suche i łagodne zimy stawiają Afganistan przed nie lada problemem. Susza i jej skutki trapiły kraj już wcześniej, lecz w realiach talibskiego reżimu stanowią dodatkowe wyzwania. Czy radykałowie – z których większość gardzi nowoczesną wiedzą, także z zakresu inżynierii rolniczej – poradzą sobie z hydro-ekologicznym kryzysem? Czy będą w stanie zwiększyć import pszenicy, gdy rynki zbożowe poddane są cynicznej grze spekulacyjnej, rozkręconej na dobre po rosyjskiej inwazji na Ukrainę? Czy wystarczy im kompetencji i sprytu, by uratować afgańskie narody przed głodem?

Państwo rudymentarne

Nie są to nowe pytania. Świat zadawał je sobie, choć w nieco innej formie, już przed rokiem, gdy talibowie triumfalnie wkroczyli do Kabulu. We własnym przekonaniu – odzyskali miasto i kraj, utracone w 2001 r. po amerykańsko-natowskiej interwencji. Szybkość, z jaką rozpadły się prozachodni rząd i wierna mu armia, zdumiewała. Dramatyczne obrazki ze stolicy, z której uciec usiłowali obywatele Zachodu i tysiące lokalnych współpracowników dotychczasowych władz, przywodziły na myśl upadek Wietnamu Południowego w 1975 r. NATO wiało z Afganistanu z podkulonym ogonem, zostawiając za sobą koszmarny bałagan. Do 2021 r. 40% PKB kraju – i cztery piąte budżetu państwa – stanowiła pomoc międzynarodowa. Gdy Kabulem zawładnęli religijni fundamentaliści, Zachód wstrzymał wypłaty i zamroził afgańskie aktywa. ONZ nazwała te działania „bezprecedensowym szokiem fiskalnym", a Światowy Program Żywnościowy szacował, że 14 mln Afgańczyków grozi klęska głodu. „Wielu nie przeżyje tej zimy", wieszczono. W następnych miesiącach gospodarka skurczyła się o 40%, inflacja sięgnęła 50%, a bezrobocie skoczyło z 13 do 40%. Kraj analfabetów (60% populacji) opuściło ponad 200 tys. przedstawicieli elit, w tym nauczyciele, urzędnicy i lekarze. Ich wyjazd miał być zresztą początkiem potężnej fali emigracyjnej, która dotarłaby również do Europy.

> NATO wiało z Afganistanu z podkulonym ogonem, zostawiając koszmarny bałagan.

Wbrew wszystkiemu Afganistan przetrwał. Ludzie nie umierają z głodu, milionowe rzesze nie szturmują granic sytej Europy. W styczniu br. zatwierdzono pierwszy budżet od momentu przejęcia władzy przez talibów. „Pieniądze pochodzą tylko z naszych własnych źródeł, m.in. z ceł, podatku dochodowego, dochodu ministerstw", podkreślał rzecznik resortu finansów Ahmad Wali Haqmal. Środki w pierwszej kolejności przeznaczono na wypłaty zaległych pensji, większość pracowników na rządowych posadach od sierpnia zeszłego roku pracowała bowiem za darmo.

– To państwo rudymentarne, szkieletowe – twierdzi Marcin Krzyżanowski, dawny konsul w Ambasadzie RP w Kabulu. – U nas 10 mln dol. starczyłoby na „waciki", tam na miesięczne utrzymanie całej administracji – podaje wyniki własnych kalkulacji były dyplomata. – Pamiętajmy jednak o wąskim zakresie i niskiej jakości oferowanych przez państwo usług.

Talibom udało się utrzymać gospodarkę na powierzchni, co przyznaje mój rozmówca. – Przy wydatnej pomocy ONZ i dobrej woli administracji Joego Bidena – podkreśla. – W Afganistanie nadal działa kilka dużych organizacji humanitarnych i to przez nie płynie teraz pomoc w wysokości od 30 do 100 mln dol. miesięcznie. Dzięki temu funkcjonują szpitale, udaje się też utrzymać stabilność afgańskiej waluty.

Systemowe uprzedmiotowianie

Ale wielu Afgańczyków nie dojada. Talibowie usiłują rozkręcić gospodarkę, zwiększając wydobycie i eksport węgla. Sprzyja im wzrost cen surowca, obserwowany od wybuchu wojny w Ukrainie. David Mansfield, autor raportu na temat handlu pod rządami talibów, szacuje, że od sierpnia 2021 r. eksport węgla do Pakistanu podwoił się, do ok. 4 mln ton rocznie. Cytowany przez „Financial Times" Mansfield zwraca uwagę na zaskakującą skuteczność talibów. Kabul w pełni kontroluje handel, pozbawiając regionalnych watażków niezależnych źródeł dochodów. Poza zwiększaniem wpływów do budżetu centralnego mamy zatem do czynienia z konsolidacją władzy. A na razie pracuje tylko 17 z 80 kopalń węgla.

– To więcej niż kroplówka, mniej niż solidny posiłek – komentuje Krzyżanowski, sceptycznie nastawiony do zwiększenia efektywności afgańskiego przemysłu wydobywczego. – Bez dużych inwestycji

eprasa.pl 28ebe4ac71

Tajna szkoła dla nastoletnich dziewcząt. Talibowie zakazali nauczania dziewczynek powyżej szóstej klasy. Kabul, 16 lipca 2022 r.

z zewnątrz niewiele da się jeszcze zmienić – wyjaśnia.

„W kopalniach zatrudniani są 11-letni chłopcy!", alarmuje „Financial Times". To jeden z wielu przykładów nieprzestrzegania praw człowieka w Afganistanie. Praca dzieci, chociaż oburzająca, nie jest jednak tak wielkim problemem jak systemowe uprzedmiotowienie kobiet. W maju nakazano im całkowite zakrywanie ciała w miejscach publicznych, wcześniej ograniczono ich prawo do swobodnego przemieszczania się (nakaz podróży w asyście mężczyzny). Dziewczynki objęte są zakazem nauczania powyżej szóstej klasy, choć przywilej wczesnoszkolnej edukacji i tak pozostaje pusty, bo jak dotąd nie uruchomiono specjalnych szkół. Kobietom utrudnia się powrót do pracy, na porządku dziennym są sugestie – zwykle niewybredne i agresywne – by odchodziły z zawodów, w których mogą być zastąpione przez mężczyzn.

Dramatycznie ograniczono wolność słowa i mediów. W raporcie przygotowanym przez Reporterów bez Granic (RSF) czytamy, że rok po objęciu władzy przez talibów przestało działać 40% redakcji, a pracę straciło 60% dziennikarzy, głównie kobiet (cztery na pięć musiało odejść z zawodu). Przed utworzeniem islamskiego emiratu w sierpniu 2021 r., w Afganistanie funkcjonowało 547 instytucji medialnych, dziś jest ich o 219 mniej. Z 11 857 zarejestrowanych dziennikarzy zostało 4759. „Dziennikarstwo w Afganistanie zdziesiątkowano i poddano nikczemnym regulacjom, otwierającym drogę do represji i prześladowań", oświadczył sekretarz generalny RSF Christophe Deloire. Odniósł się tym samym m.in. do lipcowego dekretu mułły Hibatullaha Achundzady, według którego „zniesławianie i krytykowanie urzędników rządowych bez dowodów" oraz „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości i plotek" jest zabronione w islamie. „Oczernianie pracowników rządowych, nawet nieświadome, oznacza współpracę z wrogiem i rodzi konieczność surowego ukarania", grozi najwyższy duchowy przywódca talibów. W ciągu ostatnich 12 miesięcy służby bezpieczeństwa zatrzymały co najmniej 80 dziennikarzy. Trzech nadal przebywa za kratami.

Do 2021 r. 40% PKB Afganistanu i cztery piąte budżetu stanowiła pomoc międzynarodowa.

Reżim bez łagodności

– Maski spadły? – pytam Marcina Krzyżanowskiego, mając na uwadze zeszłoroczne opinie części specjalistów o „nowych talibach", którzy nie będą tak radykalni jak ci z lat 1996-2001.

– Trochę tak – słyszę w odpowiedzi. – To nie gołąbki pokoju, ale fundamentaliści, którzy chcą wprowadzić w życie radykalną interpretację szarijatu. Jednak w porównaniu z tym, co się działo w połowie lat 90., można mówić o zmianie na plus. Zdarzają się zabójstwa osób związanych z prozachodnim reżimem, lecz nie przybrało to postaci systematycznej kampanii. Nie doszło do czystek etnicznych. Przedstawiciele mniejszości są rugowani z życia publicznego, odnotowuje się przypadki przymusowych przesiedleń, ale znów – nie jest to element systemowej polityki państwa, raczej lokalne ekscesy.

Amnestię dla współpracowników poprzedniego systemu ogłoszono 17 sierpnia 2021 r. ONZ udokumentowała od tego czasu 160 zabójstw pozasądowych oraz 56 przypadków tortur osób związanych z poprzednimi władzami, głównie byłych przedstawicieli sił porządkowych i armii.

Z drugiej strony należy wspomnieć o znaczącej poprawie stanu bezpieczeństwa. Zwycięstwo talibów i objęcie przez nich kontroli nad niemal całym krajem oznaczało koniec 20-letniej wojny domowej, co wprost przełożyło się na statystyki dotyczące przemocy. Między

FOT. ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl 28ebe4ac71

15 sierpnia 2021 r. a 15 czerwca br. odnotowano 2106 ofiar cywilnych (w tym 700 zabitych). Dla porównania, w całym 2020 r. w efekcie działalności zbrojnej zabito i zraniono 8820 cywilów, a w pierwszej połowie minionego roku – 5183. Dawny ruch oporu dziś sprawuje władzę, a w jego miejsce nie pojawił się żaden równorzędny podmiot. Obecnie największym zagrożeniem militarnym w Afganistanie pozostaje Państwo Islamskie Prowincji Chorasan (ISKP), azjatycki, niezależny odłam niesławnego ISIS. Liczy ono maksymalnie 4 tys. bojowników i ponosi odpowiedzialność za większość ataków terrorystycznych – zarówno na talibów, jak i na obiekty cywilne: szkoły, szpitale, meczety.

– Niewątpliwym sukcesem talibów jest też utrzymanie spójności – dodaje Marcin Krzyżanowski. – Niektórzy przewidywali, że zaraz po opanowaniu kraju radykałowie wezmą się za łby i wkrótce cały talibski ruch się rozpadnie. Obecnie brakuje ku temu mocnych przesłanek, ale – jak to w Afganistanie – ryzyka wojny domowej nie da się wykluczyć. Trudno również przewidzieć wydarzenia typu globalny krach gospodarczy bądź kolejna pandemia, których skutki mogłyby przynieść nieoczekiwane, rewolucyjne zmiany. Bez takich sensacji Afganistan ma szanse na powolne gospodarcze stawanie na nogi.

– A czy jest nadzieja na łagodnienie reżimu w wymiarze społeczno-obyczajowym? – dopytuję.

– Nie liczyłbym na poprawę losu kobiet – Krzyżanowski nie pozostawia złudzeń. – Może z czasem powstanie bardziej reprezentatywny rząd, ale i tu nie oczekiwałbym cudów. Powiedzmy, że udział Pasztunów we władzach spadnie na rzecz mniejszości etnicznych z 95% do 90%.

Odroczona sprawiedliwość

Przyszłość Afganistanu zawiera się także w relacjach z otoczeniem. Pierwszy emirat zyskał formalne uznanie Pakistanu i Arabii Saudyjskiej, obecnie – choć upłynął rok – żadna stolica nie zdecydowała się na taki krok.

– Nie robią tego nawet Rosja i Chiny, mimo jątrzącego się konfliktu z USA – zauważa Krzyżanowski. Zdaniem byłego konsula trudno wyrokować, kiedy to się zmieni. – Władzom Afganistanu z lat 1996-2001 nie zależało na międzynarodowym uznaniu, teraz obserwuję nieco inne podejście. Wśród części elit panuje przekonanie, że normalne relacje dyplomatyczne pomogłyby w stabilizacji gospodarki.

W tym kontekście jedno wydaje się pewne – niewielkie jest ryzyko interwencji. Pod koniec lipca br. amerykański dron operujący nad Kabulem zabił lidera Al-Kaidy Ajmana az-Zawahiriego. Przywódca terrorystów nie mógł mieszkać w afgańskiej stolicy bez wiedzy tamtejszych władz. Zwłaszcza że zabito go w lokalu należącym do szefa MSW Siradżuddina Hakkaniego, członka potężnego klanu Hakkanich. Tym samym wyszły na jaw związki talibów z dawnymi sojusznikami, które niegdyś sprowadziły na reżim amerykańską zemstę. W opinii specjalistów nie są to jednak relacje tak bliskie jak przed 2001 r., a i Al-Kaida nie stanowi dzisiaj poważnego zagrożenia dla Zachodu.

– Musiałoby się wydarzyć coś na wzór 11 września, byśmy mogli oczekiwać poważniejszych reakcji – twierdzi dawny dyplomata. – A i wówczas przybrałyby one postać precyzyjnych nalotów, połączonych być może z działaniami sił specjalnych. Wejście licznych kontyngentów do Afganistanu jest niemożliwe. Świat odebrał kolejną bolesną afgańską lekcję i na długie lata pozostanie pod jej wpływem.

À propos wniosków – porzucenie Afganistanu przez Zachód było dla Moskwy dowodem „śmierci mózgowej NATO" (ujmując rzecz słowami Emmanuela Macrona). „Wielki sojusz nie podołał lekkozbrojnej partyzantce, by ostatecznie przed nią uciec", zawyrokowano. To przekonanie legło u podstaw decyzji Władimira Putina o ataku na Ukrainę – rosyjski prezydent nie spodziewał się innych niż symboliczne reakcji. Zignorował opinie części generałów, którzy powtarzali, że zorganizowana ad hoc, ale imponująca ewakuacja kilkuset tysięcy osób, przeprowadzona przez NATO w sierpniu 2021 r., dowodzi niezwykłej militarnej sprawności Zachodu. Cenę za nieroztropność Putina płacą rosyjscy wojskowi na polu bitwy. Pakt Północnoatlantycki wsparł bowiem Ukrainę, dostarczając jej broń (także tę niegdyś przeznaczoną dla Afganistanu) i dane wywiadowcze oraz szkoląc żołnierzy – co wybitnie podniosło jakość ukraińskiego oporu i przyczynia się do strategicznych porażek Rosjan. NATO po 24 lutego br. przeżywa kolejną młodość, reorganizuje się, powiększając arsenały i obszar. Wśród diaspory afgańskiej w USA – która uciekała z kraju w latach 80. – popularność zyskuje teza o odroczonej sprawiedliwości. Błędny wniosek wyciągnięty z afgańskiej lekcji udzielonej Zachodowi przekłada się na śmierć i rany tysięcy rosyjskich żołnierzy. „Szurawi" – jak nazywano brutalnych radzieckich okupantów z lat 1979-1988 – obrywają za swoje…

W Afganistanie nadal działa kilka dużych organizacji humanitarnych i to przez nie płynie pomoc w wysokości od 30 do 100 mln dol. miesięcznie.

Największym zagrożeniem militarnym w Afganistanie jest Państwo Islamskie Prowincji Chorasan, odpowiedzialne za większość ataków terrorystycznych – i na talibów, i na obiekty cywilne.

Marcin Ogdowski
m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Turbokapitalizm i epidemia chamstwa

Czytam serię tekstów poświęconych sytuacji w mediach w ostatnich 30 latach. Ich wysyp z pewnością jest związany z zamieszaniem wokół postaci Tomasza Lisa. Czytam i jestem przerażony. Opis warunków pracy polskich dziennikarzy jest wstrząsający. I mówię tutaj nie o stronie technicznej, ale o warunkach psychologicznych i społecznych. Presja, pośpiech, stres. A do tego fatalni szefowie, którzy znęcali się nad pracownikami, upokarzając ich i pomiatając nimi. Przedtem czytałem z kolei kilka tekstów poświęconych sytuacji w polskich teatrach i szkołach teatralnych. A ostatnio wspomnienia osób studiujących onegdaj historię sztuki w szacownym Uniwersytecie Jagiellońskim. Horror. Wszędzie to samo: poniżanie i sadystyczne znęcanie się nad pracownikami czy studentami. Chamstwo wieloobjawowe, w zachowaniu i języku.

Co z nami się stało? Skąd ta epidemia chamstwa? Przecież nie jesteśmy chamami z natury. Coś zatem musiało z nami się dziać w procesie wchodzenia w świat pracy. W moim przekonaniu owa epidemia chamstwa jest związana z charakterem kapitalizmu, jaki budowaliśmy w Polsce. Cechowały go bezwzględność i agresja. Brak sensownych regulacji państwowych w zakresie prawa pracy, a także nieprzestrzeganie tych przepisów, które były, spowodowały, że polska praca stała się chora. Przekonanie szefów, że wszystko im wolno, i pewność pracowników, że jest się zdanym wyłącznie na siebie, że nie można znikąd oczekiwać pomocy czy zrozumienia, zaowocowały pełną rezygnacji zgodą na poniżanie i chamstwo w stosunkach międzyludzkich. Do tego doszła agresywna retoryka sukcesu za wszelką cenę. Hiperkonkurencja. Walka wszystkich ze wszystkimi. To z kolei skutkowało przekonaniem, że wszystkie środki są usprawiedliwione, jeśli tylko prowadzą do sukcesu, zwłaszcza ekonomicznego. Nastąpiło odmoralnienie naszych relacji społecznych. W ten sposób turbokapitalizm wyzwolił w nas to, co najgorsze. Być może odnieśliśmy sukces ekonomiczny jako nacja, ale jego koszty społeczne były ogromne. Rozpad poczucia wspólnotowości. Zanik solidarności. Zdziczenie obyczajów. Bezwzględność. Egoizm. Chamstwo.

Na szczęście nie dotknęło to wszystkich. Czytam znakomity wywiad z prawniczką, prof. Anną Musiałą z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu („Polityka", 16.07.2022). Dotyczy Kodeksu pracy, konstytucji i praw pracowniczych w niej zapisanych. Społecznej gospodarki rynkowej – zadeklarowanej jako cel w naszej ustawie zasadniczej i nigdy nierealizowanej. Czytam i kiwam głową z aprobatą. Jest dokładnie tak, jak mówi pani profesor. Dotknęła nas choroba obojętności na los innych. W szczególności pogarda dla praw pracowniczych.

Pewna kwestia uderzyła mnie jednak szczególnie. Wyrażane poczucie osamotnienia, które wynika z zupełnie innego podejścia do spraw pracy, szacunku dla pracownika, jego praw i konieczności ich przestrzegania niż to, które stało się dominujące w Polsce po 1989 r. Osoby krytyczne wobec status quo uchodziły za dziwaków, wiecznych malkontentów, którzy nie rozumieją wielkiego dzieła budowy kapitalizmu w Polsce i chcą sypać piasek w tryby maszyny zmian. Tak jak prof. Musiała doświadczyłem tego nieraz. Dziś odczuwam gorzką satysfakcję, gdy czytam wynurzenia niegdysiejszych ultraliberałów, że oto zrozumieli, iż bez przestrzegania praw pracowniczych i socjalnych już w Polsce się nie da. Dlaczego nie słuchali tego, co mówili im ludzie życzliwi – jak ja – wiele lat temu? Przecież pewne sprawy były ewidentne już po 2008 r., po wielkim kryzysie finansowym Zachodu. Dlaczego wtedy nie otrzeźwieli? Dlaczego uczyli się tak przeraźliwie wolno? Zaiste zadziwiająca jest ludzka skłonność do dogmatyzmu i niechęć do zmiany poglądów.

> Dotknęła nas choroba obojętności na los innych.

Nie zapomnę, jak na zjeździe liberałów, zorganizowanym wiele lat temu w Warszawie, publicznie mówiłem o nędzy polskiego liberalizmu i spotykałem się z murem niezrozumienia. Jak to? Liberalizm i państwo socjalne? Liberalizm i walka z nierównościami? A przecież był czas, aby dokonać jego sensownej reorientacji w duchu najcenniejszych tradycji liberalizmu angielskiego pierwszych dekad XX w. Wszak to liberałowie angielscy doprowadzili do powstania państwa bezpieczeństwa socjalnego w Wielkiej Brytanii. Dziś czytam o wspomnianej reorientacji wszędzie, np. w kontekście wprowadzenia czterodniowego tygodnia pracy. Choć nie ufam tym enuncjacjom, to jednak doceniam choćby werbalne przyznanie, że polski liberalizm błądził przez wiele lat z powodu swojej arogancji i pychy. I że to lewica miała rację, a nie Leszek Balcerowicz. Zobaczymy, czy za tymi deklaracjami pójdą faktyczne decyzje, gdy nadarzy się okazja. Oby tak było.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Rekin znów żeruje

Silvio Berlusconi ponownie rozdaje karty we włoskiej polityce. Pytanie, dla kogo to robi

Mateusz Mazzini
Korespondencja z Włoch

– Nikogo to nie dziwi. We Włoszech rząd upada co chwilę, a on zawsze ma coś z tym wspólnego. Teraz rząd znowu upadł, a on znowu jest w centrum uwagi. Dzień jak co dzień – Carla jedynie wzrusza ramionami, kiedy francuski turysta z mieszanką rozbawienia i autentycznego szoku na twarzy pokazuje jej dzisiejsze wydanie dziennika „La Repubblica". Jest 11 sierpnia, dzień wcześniej Silvio Berlusconi, człowiek, który właściwie zmonopolizował włoską politykę ostatnich trzech dekad, ogłosił chęć powrotu na sam środek sceny. Dzięki najbliższym, wyznaczonym na 25 września wyborom ma zamiar po raz pierwszy od prawie dekady zasiąść w parlamencie. I to nie na byle jakim stanowisku, bo upatrzył sobie fotel przewodniczącego Senatu.

Zmartwienia Carli

Jak centrowe i lewicowe Włochy długie i szerokie, podniosła się histeria. Wspomniana „La Repubblica" wstawiła zdjęcie Berlusconiego (niespecjalnie korzystne) na pierwszą stronę, jakby publikowała fotografię skazańca albo niebezpiecznego przestępcy ściganego listem gończym. Powrotowi słynnego Il Cavaliere, Rycerza, jak byłego premiera wciąż wielu tu nazywa, gazeta poświęciła prawie 10 stron. Teksty utrzymane w alarmistycznym tonie pisały najważniejsze nazwiska w redakcji, podobnie było w ideologicznie pokrewnych „La Stampie" i „Corriere della Sera". Establishment opanowała panika, jakby Senatem chciał kierować sam diabeł. Problem w tym, że takie porównanie jest tylko nieco przesadzone.

Carla jednak nie wydaje się zaalarmowana, choć, jak sama mówi, to bardziej wynik zobojętnienia niż sympatii do Berlusconiego. Jej kawiarnia w historycznym centrum Neapolu jest wprawdzie wypełniona turystami, ale to nie wystarczy, żeby z optymizmem patrzeć w przyszłość. Rosnąca z miesiąca na miesiąc inflacja kazała jej podnieść ceny już

eprasa.pl 28ebe4ac71

dwukrotnie w bieżącym sezonie letnim, a to i tak pewnie nie koniec. Na listopad, czyli początek turystycznej martwicy, przewidywane są skokowe podwyżki cen energii. Choć odchodzący minister ds. transformacji energetycznej Roberto Cingolani zapewnia, że Włochy skutki radykalnego przemeblowania europejskiego rynku energetycznego odczują mniej niż inne państwa, jest to w tej chwili myślenie życzeniowe. Jedna czwarta zużywanego przez kraj gazu wciąż pochodzi ze złóż rosyjskich. A te zimą będą dla Europejczyków niedostępne, co do tego eksperci nie mają wątpliwości. Cingolani mimo wszystko maluje przed opinią publiczną różowy obraz przyszłości. Już na koniec października chce mieć magazyny gazowe wypełnione w 90%, głównie przez zwiększenie eksportu z Afryki Północnej. Podkreśla też zasługi obecnej ekipy, która od czasu wybuchu wojny w Ukrainie pracuje, by wektory włoskiego miksu energetycznego skierować w inną stronę niż dotąd. Jakieś wyniki ma. Czy dobre?

Przed wojną uzależnienie Włoch od rosyjskiego gazu wynosiło 40%, spadek jest więc wyraźny. Z drugiej strony 25% to wciąż dużo. Zwłaszcza że najgorsza od lat susza zabija inne ważne źródło energii – elektrownie wodne. W poprzednich latach dawały one krajowi 15% całej zużywanej energii, teraz z powodu alarmująco niskiego poziomu wody w najważniejszych rzekach udział ten spadnie prawdopodobnie aż o połowę. Zimą na Półwyspie Apenińskim może nie będzie chłodno, ale na pewno będzie drogo.

Tym Carla martwi się znacznie bardziej niż faktem, że po władzę w jej kraju pewnie kroczy skazany prawomocnie za malwersacje mizogin i seksista, który w sobie tylko znany sposób uniknął wyroków za pedofilię i molestowanie. Ostatni raz w budynku parlamentu pojawił się 27 listopada 2013 r. Wtedy, wychodząc z sali obrad, zachowywał się jak prorok religii opartej na teoriach spiskowych. Narzekał na zmowę zgniłych i skorumpowanych elit, przez którą odbierany jest mu właśnie najważniejszy element jego życia, czyli służba narodowi. Zresztą chyba nigdy nie stracił tego przeświadczenia, dlatego w oczach prawicowego elektoratu był zawsze wiarygodny. Odkąd pierwszy raz zasiadł w parlamencie w 1994 r., mówił właściwie te same rzeczy. Nawet teraz, kiedy prowadzi kampanię wyborczą, powtarza postulaty sprzed ćwierćwiecza. Niższe podatki, silniejsza klasa średnia, ulgi dla przedsiębiorców. Do tego parę wrzutek tożsamościowych, o przywiązaniu do wolności, europejskiego liberalizmu, ale także religii chrześcijańskiej i jej wartości.

Nie ma pracy, nie ma pieniędzy.
Nawet mafia wyniosła się stąd na północ kraju.

Dla jednych to atut, dla drugich symbol intelektualnej mielizny, na którą wpłynął, a może nawet na której ciągle był. „La Repubblica" nie omieszkała mu tego wytknąć, zauważając 11 sierpnia, że filmiki, które Berlusconi publikuje obecnie w mediach społecznościowych, mogłyby równie dobrze pochodzić z poprzedniego stulecia.

Zamiana miejsc

Tymczasem Il Cavaliere zalicza kolejny triumfalny powrót, nic sobie nie robiąc z krytyki. Przez ostatnie lata wydawało się, że przynajmniej z politycznego punktu widzenia jest już martwy. Forza Italia, niegdyś partia o monsunowej wręcz sile, latami dominująca we włoskiej polityce, nie mogła przebić bariery 10% poparcia w sondażach. Na prawo od formacji ekspremiera, gdzie wcześniej istniał co najwyżej plankton nadający się na mniejszościowego koalicjanta, wyrośli zaś poważni kontrkandydaci.

Liga, wcześniej zwana Północną, wymieniła przewodniczącego, płynnie wchodząc w nową, złotą dla europejskiej skrajnej prawicy erę. Radykałowie porzucili Umberta Bossiego, a wraz z nim przebrzmiałe i raczej komiczne dzisiaj postulaty, takie jak niepodległość Padanii (północnej, bogatszej części Włoch); jego miejsce zajął Matteo Salvini – prawicowiec z kartoteką splamioną flirtem z neofaszyzmem. Salvini przez ostatnią dekadę udowodnił, że najważniejsze jest dla niego przejęcie władzy w kraju, środki się nie liczą. W razie potrzeby sprzymierzy się z każdym, nawet z Kremlem, co w 2019 r. ujawnili dziennikarze tygodnika „L'Espresso". Opisali wizyty Salviniego w Moskwie i negocjacje prowadzone przez niego ze związanymi z Władimirem Putinem oligarchami, którzy poprzez spółki energetyczne i banki mieli jego partii zapewnić nawet 20 mln euro finansowania na kampanię wyborczą do Parlamentu Europejskiego. Salvini wszystkie te oskarżenia odrzucał, ale na placu Czerwonym zdjęcie w koszulce z Putinem zrobił sobie już całkiem chętnie (co wypomniał mu prezydent Przemyśla w czasie wizyty na granicy polsko-ukraińskiej).

To nie był jedyny grzech Salviniego, ale na wyliczenie ich wszystkich nie starczyłoby miejsca. Puentą tej krótkiej historii jest opis dojścia Ligi do władzy, ale też bolesnego upadku chwilę później. Dzisiaj partia, która niedawno biła się o prymat w sondażach, ma poparcie w granicach 13% i ani o samodzielnym rządzeniu, ani o dominacji w ewentualnej koalicji myśleć nie może. Z perspektywy tegorocznych wyborów i powrotu Berlusconiego najważniejsze jest coś innego. Przez ostatnie lata w relacjach dwóch panów i partii, które reprezentują, doszło do zamiany miejsc. To Berlusconi, dawny imperator, musiał teraz szukać sposobu na przyklejenie się do byłego mniejszościowego koalicjanta, żeby w ogóle utrzymać się na powierzchni.

Sprawy ważne dla zwykłego człowieka

Obu jednak manewrem przeprowadzonym jeszcze dalej na prawej flance wyminęła kolejna formacja, której sukces ilustruje stan włoskiej polityki. Bracia Włosi, partia miejscami otwarcie flirtująca

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28ebe4ac71

z neofaszyzmem, jest w tej chwili najsilniejszym ugrupowaniem na Półwyspie Apenińskim. Popiera ją 24% elektoratu, o kilka procent więcej niż drugą w sondażach centrolewicową Partię Demokratyczną. Przewodnicząca Braci Giorgia Meloni to już liderka nowego formatu. Podobnie jak Salvini jest biegła w posługiwaniu się mediami społecznościowymi, z wyborcami komunikuje się regularnie w sieci, ale w przeciwieństwie do szefa Ligi jest zarazem wiecową lwicą. Nie ma problemów z wyjściem na ulicę i maszerowaniem w pierwszym rzędzie pod transparentami przeciwko imigracji, marksizmowi kulturowemu i unijnej polityce monetarnej. Przez ostatnie lata spędzone w opozycji ciosy rozdawała równo, z jednakową siłą atakując zarówno liberalnych przywódców w typie Maria Draghiego czy innego ekspremiera, Enrica Letty, jak i konkurentów z prawicy (choć tych z imienia nie wskazywała). Meloni, polityczka pragmatyczna, szybko zdała sobie sprawę, że nawet ona nie przejmie w pojedynkę kontroli nad państwem. Kiedy więc Włosi szykowali się do wyjazdu na sierpniowe urlopy, prawica odpaliła silniki. Równolegle z próbami obalenia rządu Draghiego rozpoczął się negocjacyjny taniec godowy. A w jego centrum znalazł się nie kto inny jak Silvio Berlusconi.

Przez dziewięć lat, które minęły od jego wspomnianego wyjścia z parlamentu, rzeczywiście zmieniło się wiele. Ale on nie zmienił się ani trochę. Nie tylko wychodzi do ludzi z tymi samymi postulatami, ale i z taką samą wprawą rozgrywa młodszych od siebie o dwa pokolenia liderów partii o poparciu dwa-trzy razy większym. Do wyborów 25 września prawica idzie bowiem w megakoalicji, Forza Italia sprzymierzyła się i z Braćmi, i z Ligą. I choć premierem w przypadku zwycięstwa będzie Meloni (namaszczona już zresztą przez Il Cavaliere), a resorty siłowe najpewniej przejmą ludzie Salviniego, to koalicję znowu wiąże osoba Silvia Berlusconiego.

– Czy ten rząd jest z lewej, czy z prawej, mnie to niespecjalnie interesuje. Słucham co prawda ich wypowiedzi, nawet zdarza mi się program czytać, ale o sprawach ważnych dla zwykłego człowieka i tak nic tam nie ma – mówi Giordano. Prowadzi bar na promenadzie w Sorrento, jednym z najbardziej malowniczych miejsc na wybrzeżu Morza Tyrreńskiego. Sorrento od Neapolu dzieli zaledwie 50 km, pociągiem można tu dojechać w trzy kwadranse. I momentalnie znaleźć się w innym świecie.

Neapol, choć pełen turystów, wciąż walczy z łatką miasta mafijnego, mimo że camorra, tutejszy syndykat, dawno z samej metropolii się wyprowadziła. Interesy robi teraz w Niemczech, głównie w porcie w Hamburgu i zarejestrowanych w Monachium przedsiębiorstwach. Prawdziwy dramat rozgrywa się natomiast na neapolitańskiej prowincji, w miasteczkach takich jak Castel Volturno, siedziba nigeryjskiej mafii w Europie, czy Casal di Principe, kolebka camorry, którą w przełomowej książce „Gomorra" opisał lata temu Roberto Saviano.

Sam Neapol ma jednak mnóstwo problemów. Do miasta przybywa wielu migrantów, ale szans na pracę i nowe życie tu nie znajdują. Podobnie jak na całym południu, trapionym przez bezrobocie, drenaż talentów i brak inwestycji, zarówno prywatnych, jak i państwowych. Przybysze często koczują na ulicy, zwłaszcza w coraz bardziej zdegradowanej okolicy dworca kolejowego przy Piazza Garibaldi. Kwitnie drobna przestępczość i dilerka, w dodatku migranci coraz częściej wchodzą w konflikty z miejscowymi. Dopełnieniem tego obrazu są mafie z Chin, które od kilku lat próbują przejąć z rąk camorry kontrolę nad neapolitańskim portem. Jeszcze dwa lata temu tutejsi się obronili – Chińczycy chcieli wykorzystać pandemię na moment ataku, ale camorra w kilku strzelaninach dała do zrozumienia, że nigdzie się nie rusza. Dzisiaj, jak słyszę na ulicach i od osób żyjących w ekosystemie związanej z mafią ekonomii, zamiast wojny jest rozejm, obie strony się dogadały. Chińczycy jedną nogą już tu są i nikt do nich strzelać nie zamierza.

Sorrento to inna planeta. Luksusowe wille na skarpie nad brzegiem morza, dziesiątki amerykańskich i azjatyckich turystów, butiki. Migrantów przez cały dzień spotkać można co najwyżej kilku, nie ma mowy o bezdomnych czy śmieciach na ulicach. Każdy, kto na południe Włoch przyjeżdża zmierzyć się z mitem pejzażu rodem z filmów Paola Sorrentina, przegrywa, bo Sorrento, ale także Positano czy Amalfi, to naprawdę „wielkie piękno". Przynajmniej dla gości.

Giordano patrzy na to inaczej. Narzeka, że władza czepia się zwykłych ludzi, a prawdziwych mafiosów zostawia w spokoju. Głównie dlatego, że, jak twierdzi mój rozmówca, między rządem i mafią nie ma już żadnej różnicy.

– Jeśli nie dam ci paragonu za jedną kawę, skarbówka zrobi mi

Miliony Włochów wobec najbliższych wyborów nie mają wielkich oczekiwań.

Ziobrowy prokurator polecił zniszczyć oryginalne listy Józefa Bema. Szczegóły w nowym numerze tygodnika „NIE".

eprasa.pl 28ebe4ac71

nalot, mogę zapłacić 500 euro kary. Ale wielkich ryb nikt nie rusza. Na szczytach władzy zawiązany jest sojusz, zawsze tak było i zawsze tak będzie. Szkoda tylko, że nie zajmują się problemami, które zabijają nas wszystkich – wytyka.

Naprawdę gorąco

Dopytuję, co ma na myśli. Klimat. A dokładniej upał. To słowo wisi tu wszędzie w powietrzu, nawet jeśli często niewypowiedziane. Już w Neapolu słyszałem, że spiekota jest w tym roku przeraźliwa, że tak źle jeszcze nie było. Przez kraj przetacza się właśnie trzecia w tym sezonie letnim fala upałów, temperatura nawet o godz. 20 nie schodzi poniżej 30 st. C. Rzeki wysychają na potęgę, spinający swoją długością całą północ Włoch Pad jest już suchą stróżką z kałużami, a nie zwartym nurtem. W ponad 200 jednostkach samorządowych od Turynu do Wenecji od czerwca obowiązuje nakaz racjonowania wody, za podlewanie trawnika albo mycie samochodu można dostać mandat w wysokości 500 euro. Susza jest tak ogromna, że zagraża lombardzkim zbiorom ryżu. 70% rolnictwa na północy Włoch bierze wodę z Padu, więc przy jej braku ceny żywności pójdą w górę, potrzebne będą też rekompensaty dla producentów.

Tu, na południu, nie jest lepiej. W Sorrento upał wygania turystów nawet z chłodniejszej nadmorskiej promenady, wracają dopiero w okolicach godz. 19. Giordano narzeka, bo nie może nawet schłodzić sali restauracyjnej. Kryzys energetyczny (wywołany po części przez suszę) wymusił racjonowanie prądu, podmioty komercyjne nie mogą schodzić z temperaturą poniżej 26 st. Nadal jest więc gorąco, nadal ludzie nie przychodzą. Sytuacja bez wyjścia.

Im dalej na południe, tym gorzej. W Reggio di Calabria, na czubku włoskiego buta, publicznych fontann i sadzawek nie ma już w ogóle. Niektóre wyschły, w innych miasto zakręciło wodę. Nawet na skrawku publicznej plaży nie można opłukać stóp z piasku, bo natryski są wyłączone. Wprawdzie mieszkańcy cieszą się, że po dwóch prawie martwych sezonach miasto wraca do życia, ale przyszłość jest dla nich synonimem niepokoju.

– Ja się nauczyłem nie wchodzić władzy w drogę, ktokolwiek ją sprawuje. Czy to rząd, czy ’ndrangheta – mówi Paolo, właściciel księgarni na głównym deptaku w Reggio di Calabria. Wprawdzie z okazji wyborów, podobnie jak inne księgarnie, zrobił specjalną wystawkę z książkami polityków i tymi o politykach, ale wielkich złudzeń nie ma. Wzdycha ciężko, kiedy pytam o sytuację w regionie. Nie ma pracy, nie ma pieniędzy. Do tego stopnia, że nawet mafia, ’ndrangheta, wyniosła się stąd na północ kraju.

– Tam jest więcej przedsiębiorczości, czyli więcej szans na wypranie pieniędzy. To normalne, że się tam przenoszą – stwierdza obojętnie, podając mi książkę Nicoli Gratteriego, regionalnego celebryty. Jest prokuratorem w niedalekim Catanzaro, ale też literacką sensacją. Walczy z ’ndranghetą, a swoją pracę opisuje w książkach produkowanych niemal taśmowo. Paolo mówi, że wydaje jedną, czasem dwie rocznie. I wciąż przyciąga tłumy na spotkaniach autorskich, choć pisze o tym samym – o nieskuteczności władzy.

Dlatego Paolo i miliony innych Włochów wobec najbliższych wyborów nie mają wielkich oczekiwań. Marsz prawicy po zwycięstwo przeraża jedynie lewicę, ale ta jak zwykle pogrążona jest w konfliktach personalnych i pozbawiona przekonującej narracji. Matteo Renzi, jeszcze kilka lat temu wielka nadzieja całej liberalnej Europy, buduje własną formację, roboczo nazywaną „trzecim biegunem”. Szef PD Enrico Letta próbuje się przebić z programem, odnosząc się do rzeczywiście palących problemów: klimatu, transformacji energetycznej, niedofinansowanej oświaty i służby zdrowia. Ale media, nawet te sprzyjające lewicy, i tak piszą o prawicowej koalicji.

Berlusconiego ochrzczono już „ojcem populizmu” i „protoplastą zjawisk takich jak Trump i brexit”. Meloni z kolei próbuje się wybielić, po raz pierwszy odcinając się od faszyzmu w szeregach swojej partii. Co ciekawe jednak, robi to w formie przedstawienia dla zagranicznej publiczności. W ubiegłym tygodniu nagrała filmik, w którym deklaruje sprzeciw wobec wszelkich „ustaw na tle rasowym”. Robi to w trzech językach, ale nie po włosku. Odbiorca jest więc określony – Unia Europejska. A dokładniej osoby odpowiedzialne za unijne środki na postpandemiczną rekonstrukcję. Bez nich upadnie każdy rząd, nawet prawicowy.

W tle jest nie tylko, wedle słów wybitnego włoskiego pisarza Antonia Scuratiego, „duch Mussoliniego i cień Orbána”, ale również wcale nie taka dyskretna obecność Kremla. Już w maju, jak doniosła „La Repubblica”, w rosyjskiej ambasadzie w Rzymie gośćmi mieli być doradcy Salviniego, chłonący jak gąbki „rosyjską perspektywę na wojnę”.

Marsz prawicy po zwycięstwo przeraża jedynie lewicę, ale ta jak zwykle pogrążona jest w konfliktach personalnych.

Kontakty z rosyjskim ambasadorem utrzymywał też Berlusconi, i to chwilę przed wyciągnięciem swoich posłów z koalicji rządowej i obaleniem Draghiego. Szczegóły rozmowy nie są znane, ale Il Cavaliere zawsze miał wobec Putina dużo ciepłych uczuć. Nawet jeśli reszta pozostanie w sferze spekulacji, to i one są dla włoskiej demokracji niebezpieczne.

Silvio Berlusconi znów dowodzi we włoskiej polityce. Zyskał w karierze wiele przydomków, ale w obecnej sytuacji dużo bardziej niż rycerz pasuje inne przezwisko: *lo squalo*, rekin. Bo Berlusconi to polityczny drapieżnik najwyższej klasy. Pomimo 86 lat wciąż starczy mu kropla krwi, by zwietrzył szansę i rzucił się na żer. Pytanie tylko, kto wypuścił go na łowy.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Powstanie – rozdział wciąż otwarty

Tadeusz Zakrzewski

O powstaniu warszawskim coraz rzadziej mówią naoczni świadkowie. Do głosu za to dochodzą ci, którzy nie powąchali prochu. To oni są autorami „radosnej twórczości". Ze szkodą dla faktów. Angielski historyk Norman Davies w pierwszej książce napisał: „Powstanie było największym i najtragiczniejszym błędem, jaki Polacy popełnili w swoich najnowszych dziejach". W drugiej stwierdził: „Decyzja o powstaniu była słuszna, a całe powstanie udane, bo trwało aż 63 dni". Młody czytelnik może pomyśleć, że bohaterski zryw warszawiaków byłby udany jeszcze bardziej, gdyby walkę toczono dłużej. A przecież każdego dnia ginęło w mieście 3 tys. cywilów, 200 żołnierzy Armii Krajowej i 20 Armii Ludowej.

Godzina „W"

We wrześniu 1944 r. skończyłem 12 lat. Jednak nie byłem chłopaczkiem, tylko jedynym żywicielem rodziny. Moje trzy siostry i dwaj bracia na początku okupacji wpadli w łapy gestapo podczas ulicznych łapanek i przymusowo harowali w III Rzeszy. To ja kradłem wędliny z ciężarówek wyjeżdżających z niemieckiej masarni naprzeciw mojego domu i węgiel z wagonów wtaczanych do fabryki Schichta. Ja „czyściłem" ogródki działkowe w praskim zoo z warzyw i pola pod Białołęką ze wszystkiego, co dawało się zjeść. Moi rodzice trzymali się najbliżej domu.

Powstanie przeżyłem na Pradze. Trwało trzy dni. Na szczęście. Dowódca praskiego obwodu AK ppłk Antoni Żurowski myślał rozsądnie i rozpuścił swoje wojsko do domów. Nie chciał kopać się z koniem – tuż pod bokiem był front, z 4 mln szkopów i ponad 5 mln czerwonoarmistów. A polscy „stratedzy" lansowali teorię dwóch wrogów. Jak odległe to było od zdrowego rozsądku, dowodzi fakt, że o swoich zamiarach nie powiadomili ani Londynu, ani Kremla, a premier Mikołajczyk pojawił się w Moskwie, kiedy nad Wisłą trwały walki. Ale mieliśmy pretensje do całego świata, że nikt nie udziela Warszawie wsparcia.

To, co się działo na lewym brzegu rzeki, obserwowałem z wieży spadochronowej w pobliżu mostu Kierbedzia. Pomoc aliantów dla stolicy rosła w miarę słabnięcia walk ulicznych. Nocne zrzuty skończyły się strąceniem 39 brytyjskich maszyn, 40% samolotów w ogóle nie doleciało do celu. Największą operację przeprowadzili Amerykanie, ale dopiero w 49. dniu powstania. Na niebie bez jednej chmurki po południu pojawiło się ponad 100 latających fortec, które z dużej wysokości zrzuciły na spadochronach 1284 pojemniki z bronią. Do rąk powstańców trafiło ich tylko 228. Reszta była prezentem dla okupanta. Podobną operację wykonali potem Rosjanie z takim samym skutkiem.

Codziennie z regularnością zegarka nadlatywały nad Stare Miasto sztukasy i bombardowały wyszukane cele. Jednego z tych niemieckich pilotów, Ericha Junga, poznałem w Hamburgu.

38 lat później

Za wprowadzenie stanu wojennego Zachód nałożył na Polskę surowe sankcje. Wyłamał się z nich niemiecki Castrol. Byłem wówczas reporterem w TVP i wspólnie z Jerzym Ambroziewiczem oraz operatorem Maciejem Krogulskim pojechaliśmy do Hamburga ustalić, co się kryje za taką decyzją. Z ramienia Castrola ekipą opiekował się właśnie Jung, a jego szef, Christian Walter, służył w Wehrmachcie i walczył pod Stalingradem. Wrócił z niewoli po 10 latach, a do naszego mikrofonu powiedział: „III wojna światowa nie będzie miała zwycięzcy, nastąpi zagłada ludzkości, a jedynym ratunkiem przed katastrofą jest międzynarodowa współpraca gospodarcza".

I to się sprawdza. Niemcy, Francja, Włochy czy Holandia są tak silnie powiązane z gospodarką rosyjską, że spoglądają na Putina łagodniejszym okiem niż Polska, której rząd postępuje jak kamikadze.

Wracając do Junga, do bombardowania Warszawy przyznał się po dużej wódce. Jerzy chciał mu dać w gębę, bo jego ojciec zginął na Marymoncie właśnie od niemieckiej bomby. Może zrzuconej przez Junga? Kiedy opadły emocje, pilot Luftwaffe przyznał ze skruchą, że „mordował niewinnych i bezbronnych. Bo nie mieli ani samolotów, ani artylerii przeciwlotniczej". Jung nie pojmował, dlaczego nie było nad miastem radzieckich samolotów, które miały w powietrzu miażdżącą przewagę i mogły przeganiać sztukasy. Nie rozumiał też, dlaczego powstańcy oznaczali swoje miejsca obrony biało-czerwonymi flagami, wskazując cel bombardowań.

63 lata później

63. rocznicę wybuchu powstania spędziłem w szpitalu na Wołoskiej. Miałem za sąsiada żołnierza Szarych Szeregów Eugeniusza Wlazłę. Obaj czekaliśmy w kolejce do znakomitych chirurgów: Michała Otłowskiego i Wojciecha Rogowskiego. Byłego powstańca zagadnąłem o biało-czerwone flagi.

– Mieliśmy łączność wzrokową, dzięki flagom wiedziałem, dokąd biec z meldunkiem – wyjaśnił.

– A radiostacje? – zapytałem.

– Służby techniczne nie zdążyły przekazać urządzeń do poszczególnych obwodów – usłyszałem.

Tylko przez chwilę oglądaliśmy telewizyjną relację z uroczystości na Powązkach Wojskowych. Kiedy w czasie wystąpienia gen. Ściborа-Rylskiego rozległy się gwizdy, sąsiad poprosił o wyłączenie telewizora.

– Gówniarze. Niczego nie rozumieją. Niestety, za kilka lat już żaden weteran powstania nie powie, że się szmacą – zakończył.

Kaszewiec, 9 sierpnia 2022 r.

eprasa.pl 28ebe4ac71

Niezagojona rana Osmańczyka

O powstańczej beznadziei i dogorywaniu miasta

Edmund Osmańczyk zadedykował swój „Dziennik z Powstania 1944" maleńkiemu synkowi Łukaszowi. Nie potrafił do niego sięgnąć za życia. Dopiero po jego śmierci, w 50. rocznicę powstania, żona zdecydowała się wydać tę boleśnie kłującą książeczkę.

1 sierpnia: Niesamowita nierówność szans... Niesamowita nierówność walki. A więc powstanie. Decyzja zapadła i oto zamienia się w czyn. Serce wierzy w zwycięstwo. Umysł żre niepokój. (...) Za wysoką cenę zdecydowaliśmy się płacić! – mówi rozum. Wolność nie zna wysokiej ceny – mówi serce. Zbyt wiele krwi polskiej upłynęło w czasie tej wojny... (...) „Wszystko albo nic" – stare hasło powstańcze było busolą w latach okupacji. (…)

24 sierpnia: (…) na podwórze domu padło osiem granatów, zabijając kilkanaście osób, a dwadzieścia kilka raniąc mniej lub więcej ciężko. (...) Nad pięcioletnim zabitym chłopczykiem nie płakała, a wyła przeraźliwie Matka (uciekła ze Złotej z jedynakiem, gdzie przed godziną bomba zabiła jej męża i siostrę!).

9 września: W walczącej Warszawie rodzą się dzieci. Obywatele niepodległej Polski... Wiele Matek w huku bomb i min straciło pokarm. A mleka w Warszawie nie ma. Od sześciu tygodni nie ma mleka ani dla noworodków, ani dla niemowląt, ani dla dzieci... Wczoraj i dzisiaj wyszło kilka tysięcy kobiet i dzieci pod sztandarami Polskiego Czerwonego Krzyża z Warszawy do Niemców. (…)

21 września: A dziś rano... zmarł jedyny Synek maleńki, skończywszy cztery miesiące – Łukasz. Zagłodzony, nie wytrzymał zapalenia płuc w zimnych ruinach domu na ulicy Wilczej. Matka krzyczy w rozpaczy... Po południu pogrzeb. Śpi maleńki na podwórku Biblioteki na Koszykowej (...). Jesteśmy straszliwie sami. Tak jak Warszawa.

2 listopada: Jest nad Wisłą cmentarz, na którym spoczywa kilkadziesiąt tysięcy poległych, mężczyzn, kobiet, dzieci, młodzieży... Kilkadziesiąt tysięcy mogił (...) w Dzień Zaduszny trwa w samotności równie niepojętej jak osamotnienie tego miasta w sierpniu i we wrześniu, i październiku Pańskiego Roku 1944. Powstanie wybuchło za wcześnie. Chciano uprzedzić Moskali, a nie porozumiano się z nikim, ani z Rosją, ani z Anglią, ani ze Stanami Zjednoczonymi. Nie zagwarantowaliśmy sobie pomocy, ufając w kawaleryjską szabelkę. Za ambicję jednego czy trzech ludzi zapłaciliśmy życiem stu tysięcy i zniszczeniem centrum naszego dynamizmu politycznego, gospodarczego i kulturalnego... Rzuciliśmy się przeciw wszystkim i mamy tego skutek... Nie boimy się śmierci i umieramy tysiącami spokojnie, bo Polska jeszcze nie zginęła! (...) Nie trzeba więc powtarzać za Berlinem i Moskwą, że powstanie to zbrodnia, głupota i szaleństwo, bo to nam niczego nie wytłumaczy, a wszystko przekreśli. Trzeba raczej zejść do fundamentów nieuniknioności tego zjawiska, które po raz piąty wstrząsa narodem polskim (powstanie Kościuszkowskie, Listopadowe, Styczniowe, Śląskie, Warszawa)... Trzeba wreszcie wstrząsnąć sumieniami Polaków, niech wobec ruin Warszawy odpowiedzą sobie, czy to, co w duszach posiały minione pokolenia, jest moralnością samobójców, czy moralnością wielkości. Ja – nie wiem.

Fragment *Dziennika z Powstania 1944* przypomniał Jan Cofałka w III tomie wydanej przez PRZEGLĄD *Zakłamanej historii powstania*.

Książki PRZEGLĄDU

Demaskujemy kłamstwa o powstaniu

~~41 zł~~ 31 zł Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

~~42 zł~~ 32 zł Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty

~~40 zł~~ 30 zł Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy"

5 tomów w pakiecie ~~210 zł~~ 140 zł

~~44 zł~~ 34 zł Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą

~~43 zł~~ 33 zł Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

KURIER GRATIS

Zamów książki na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

eprasa.pl 28ebe4ac71

Piotr Ciszewski

Internowanie „czerwonych” Hiszpanów

Francuzi zamknęli republikanów walczących z wojskami Franco w obozach

W styczniu 1939 r. zbuntowane wojska gen. Franco przy ogromnym wsparciu finansowym III Rzeszy oraz militarnym faszystowskich Włoch rozpoczęły ostateczną ofensywę przeciw Katalonii. Około pół miliona uchodźców przekroczyło granicę francuską, uciekając przed represjami. To, jak Republika Francuska potraktowała tych uciekinierów, jest jednym z niechlubnych epizodów w jej historii. Uchodźcy trafili do obozów internowania. Wielu, również polskich, ochotników Brygad Międzynarodowych pozostało w nich do upadku Francji w 1940 r. i trafiło do niemieckich obozów koncentracyjnych.

W styczniu 1939 r. załamał się republikański front w Katalonii. Armia Franco uzyskała kolejne dostawy broni z Niemiec. W ofensywie uczestniczyły też tysiące zaprawionych w bojach Włochów przysłanych przez Mussoliniego. Republika Hiszpańska pod presją Ligi Narodów zdemobilizowała złożone z antyfaszystowskich ochotników Brygady Międzynarodowe. We wrześniu 1938 r. wycofano je z frontu. Część ochotników znajdowała się jeszcze w Katalonii, czekając na demobilizację oraz możliwość wyjazdu. Dotyczyło to m.in. Polaków, których rząd II RP nie chciał przyjąć w kraju, a Francja wpuścić na swoje terytorium.

Gdy wojska Franco zajmowały Katalonię, napotkały nikły opór wyczerpanych walką oddziałów republikańskich. Powołanie na nowo Brygad Międzynarodowych pomogło jedynie osłonić odwrót rzesz uchodźców. O tym, że pokonani nie mogą liczyć na ludzkie traktowanie, świadczyło wydanie przez frankistów prawa uznającego za kryminalistę każdego, kto opowiedział się po stronie Republiki. Zwycięzcy okazywali także wrogość wobec Katalończyków. Podczas pierwszej mszy w zdobytej przez frankistów Tarragonie przemawiający biskup stwierdził: „Katalońskie psy! Nie jesteście godni słońca, które nad wami świeci!”.

Exodus

Rozpoczęła się Retirada – exodus z Katalonii. „Ciężarówka z trudem przepychała się w ciżbie aut, ludzi, wozów. Suną obok małych osobowych aut wielkie jak nasza ciężarówki pełne stłoczonych ludzi z walizkami, tobołami, workami z pościelą, z dziećmi. Na chodnikach leżą porzucone meble. Powiewają strzępy podartych legitymacji partyjnych i związkowych. Ci, którzy nie mogą uciekać, niszczą ślady swoich »zbrodni«”, wspominała Zofia Szleyen, redaktorka „Dąbrowszczaka”, pisma XIII Brygady Międzynarodowej.

Kolumny uchodźców ostrzeliwane były przez rebelianckie lotnictwo i artylerię. Wielu uciekających, zwłaszcza starszych i chorych, zmarło w trakcie podróży. Ci, którzy przeżyli, trafiali na granicę często bez żadnego dobytku.

Dla francuskiego rządu fala uchodźców stała się kłopotliwa. Paryż prowadził wówczas rozmowy w sprawie uznania rządu gen. Franco. Prawicowa prasa alarmowała o „hordach czerwonych rewolucjonistów”, które chcą wkroczyć do kraju i „podeptać wartości republikańskie”. 28 stycznia rząd Édouarda Daladiera zgodził się na wpuszczenie przybyszów, jednak władze podjęły decyzję o zgromadzeniu ich w obozach internowania. Wedle różnych szacunków między 28 stycznia a 13 lutego 1939 r. z Katalonii uciekło 475-500 tys. osób. Aby uniemożliwić im wyjazd ze strefy granicznej, francuskie władze skierowały na przejścia graniczne dodatkowe oddziały wojska.

Warunki bytowe były bardzo trudne. Na przykład w Argelès-sur-Mer wydzielono część plaży, którą otoczono drutem kolczastym oraz posterunkami wojskowymi. Uchodźców pilnowali żołnierze z oddziałów strzelców senegalskich. Było to celowe działanie, mające uniemożliwić internowanym porozumiewanie się ze strażnikami. Internowany tam weteran Brygad Międzynarodowych Michał Bron wspominał, że uchodźcy musieli przygotować latryny oraz wykopać sobie ziemianki osłaniające przed wiatrem. Pomoc władz ograniczała się do przywożenia codziennie jedzenia, którego i tak nie dla wszystkich wystarczało. Internowani cierpieli też z braku dostępu do świeżej wody. Codziennie umierali starsi oraz ranni, szerzył się tyfus.

Pod wpływem opinii publicznej francuskie władze zaczęły łączyć rozdzielone rodziny, a rannym zapewniać opiekę. Cywilów stopniowo odsyłano do miejsc internowania w różnych departamentach, a posiadających francuskie obywatelstwo wypuszczano. Były jednak przypadki nakłaniania, a nawet przymusowego wywożenia cywilów na granicę i wypychania do Hiszpanii, gdzie czekały ich represje.

Niewielka grupa uchodźców została przyjęta przez Meksyk. Ci, których było stać, wyjeżdżali do krajów

Między 28 stycznia a 13 lutego 1939 r. z Katalonii uciekło 475-500 tys. osób.

eprasa.pl 28ebe4ac71

Luty 1939 r. Bojownicy republikańscy przekraczają granicę hiszpańsko-francuską w Le Perthus, uciekając po przegranej z nacjonalistami w wojnie domowej.

Ameryki Łacińskiej. Internowani występowali również o transfer do ZSRR, ale było ich niewielu. Przed przerzutem musieli przejść wnikliwe badanie poglądów politycznych oraz życiorysów przez przedstawicieli radzieckiej ambasady. Do ZSRR trafili głównie ci z koneksjami politycznymi. Niektórzy walczyli później podczas wojny w szeregach Armii Czerwonej.

Nacisk na Francuzów

Sytuacja internowanych we Francji poprawiła się dzięki wsparciu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i innych organizacji. Rząd francuski rozpoczął oddzielanie cywilów od osób „niebezpiecznych" politycznie – głównie anarchistów i komunistów, a także żołnierzy. Utworzył sieć nowych obozów internowania, w których wybudowano baraki oraz podstawową infrastrukturę dla uchodźców. Do takiego miejsca odosobnienia w Gurs trafiło 6808 ochotników Brygad Międzynarodowych, wśród nich według różnych szacunków od 786 do 950 Polaków. W obozie znaleźli się poza tym byli żołnierze Hiszpańskiej Armii Ludowej, lotnicy internowani we Francji i baskijscy antyfaszyści – w sumie 24,5 tys. osób. Przygotowano dla nich 600 baraków, a teren podzielono na „wyspy" oddzielone od siebie drutem kolczastym. Każda miała wybierany przez internowanych zarząd. Można było wydawać gazetki obozowe oraz prowadzić działalność edukacyjną. Aktywność polityczna była oficjalnie zakazana, lecz w obozie funkcjonowały komórki organizacji komunistycznych i socjalistycznych.

Warunki bytowe poprawiły się, ale i tak pozostawały trudne. Jeden z dąbrowszczaków, Jan Rutkowski, opisywał to następująco: „Ponieważ w barakach brakowało pryczy, spaliśmy na ziemi, na starej słomie i nakrywaliśmy się jednym kocem. Po kilku dniach stara słoma starła się do tego stopnia, że nadawała się tylko do wyrzucenia. Nie pozostało nic innego jak spanie na gołej ziemi". Internowani cierpieli również z powodu niedożywienia.

Francuski rząd w kwietniu 1939 r., w obliczu zagrożenia wojennego, utworzył złożone z emigrantów Kompanie Pracowników Zagranicznych, mające wspierać wojsko przy najcięższych pracach fortyfikacyjnych i logistycznych. Zarówno Hiszpanie, jak i interbrygadziści powszechnie sprzeciwiali się wcieleniu do tych jednostek. Ciężka praca nie była odpowiednio wynagradzana, nie dawała też możliwości uzyskania obywatelstwa. Innym sposobem na opuszczenie obozu stało się wstąpienie do francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Wielu hiszpańskich weteranów zdecydowało się na ten krok. Interbrygadziści podchodzili do tej propozycji niechętnie. Dopiero po wybuchu II wojny światowej część z nich, w tym 50 Polaków, wstąpiła do Legii.

W sierpniu 1939 r. we francuskich obozach internowania przebywało 173 tys. „Hiszpanów", w tym weterani Brygad Międzynarodowych. Po wybuchu II wojny doszło do tego, że w miejscach odosobnienia przetrzymywano razem hiszpańskich antyfaszystów, Francuzów oraz niemieckich imigrantów podejrzewanych o sympatyzowanie z Hitlerem. Do obozu w Gurs skierowano ok. 4 tys. żydowskich uchodźców, których francuskie władze uznały za niebezpiecznych ze względu na niemieckie obywatelstwo.

15 września obóz w Gurs odwiedzili przedstawiciele polskiego konsulatu w Tuluzie, aby rozpocząć rozmowy z polskimi weteranami z Hiszpanii. Członkowie Brygad Międzynarodowych starali się o przyjęcie do Wojska Polskiego, domagając się m.in. przywrócenia obywatelstwa oraz respektowania zdobytych w Hiszpanii stopni wojskowych i swobody politycznej.

9 grudnia do obozu przybył kapitan ze sztabu generalnego WP we Francji. Wizyta zakończyła się awanturą, gdy zwymyślał przybyłych na spotkanie dąbrowszczaków i nie chciał przyjąć zgłoszeń ochotników narodowości żydowskiej. Negocjacje zostały zerwane, a polskie kierownictwo grupy internowanych oświadczyło, że każdy powinien decydować o wstąpieniu do WP

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 28ebe4ac71

na własną rękę. Z okazji tej skorzystało ok. 80 dąbrowszczaków.

Obozy koncentracyjne

Pod koniec kwietnia 1940 r. francuskie władze zdecydowały o przeniesieniu wszystkich weteranów Brygad Międzynarodowych z Gurs do Afryki Północnej. Akcja była brutalna. „Wieczorem 30 kwietnia 1940 r. do obozu polskiego wpadło 40 *garde mobiles* [żandarmów] i według uprzednio przygotowanego wykazu wyprowadziło do samochodów ciężarowych czołowy aktyw polskiej grupy", wspomina Jan Rutkowski. Oficerowie, wśród nich ostatni dowódca XIII Brygady Międzynarodowej Henryk Toruńczyk, trafili początkowo do obozu karnego w Vernet. Przetrzymywano tam zarówno więźniów politycznych, jak i kryminalistów; zdarzało się bicie i okradanie internowanych przez strażników.

Po klęsce Francji kolaboracyjny rząd Vichy przystąpił do budowania sieci obozów koncentracyjnych dla interbrygadzistów, „czerwonych" Hiszpanów, Żydów oraz innych „politycznie niepożądanych". Aby uniknąć deportacji do Algierii, niektórzy internowani zgodzili się na wyjazd na roboty do Niemiec. Naziści rekrutowali tanią siłę roboczą dla przemysłu i rolnictwa. Szacuje się, że w ten sposób do Niemiec trafiło ok. 30 tys. Hiszpanów, a także wielu weteranów Brygad Międzynarodowych. Po decyzji władz III Rzeszy o aresztowaniu wszystkich walczących w siłach republikańskich w wojnie domowej w Hiszpanii ok. 10 tys. zesłano do obozów koncentracyjnych. Dokumenty ujawnione przez hiszpańskie ministerstwo obrony w 2018 r. dowodzą, że deportacja nastąpiła za wiedzą i przy wsparciu reżimu Franco, przekazującego Niemcom dane o uchodźcach.

Ci, którzy zostali wywiezieni do Algierii, uniknęli śmierci z rąk nazistów, jednak nie byli bezpieczni. Obóz w Dżilfie stanowił jedno z miejsc zsyłki zlokalizowanych w Algierii. Położony 300 km na południe od Algieru i strzeżony przez wojska kolonialne zapewniał całkowitą izolację internowanych. Panowały w nim bardzo trudne warunki. Początkowo internowani mieszkali w namiotach, a brak dostępu do czystej wody spowodował epidemię tyfusu. Sytuacja nie poprawiła się po lądowaniu aliantów w Algierze i wyzwoleniu Dżilfy. Według angielskojęzycznego raportu przygotowanego dla aliantów w grudniu 1942 r. w obozie wciąż przebywało ok. 870 internowanych, w tym 470 byłych żołnierzy Hiszpańskiej Armii Ludowej oraz 275 weteranów Brygad Międzynarodowych, wśród nich 111 Polaków. Dokument zwraca uwagę na wyczerpanie przetrzymywanych, niedożywienie i prześladowania ze strony strażników. Wskazano w nim, że 30 więźniów cierpiało na gruźlicę, a dalszych 70 na inne poważne choroby czyniące z nich inwalidów. Władze obozowe, które pozostały niezmienione po lądowaniu aliantów w Algierii, utrudniały internowanym kontakt ze światem zewnętrznym.

Polski konsul w Algierze rozpoczął negocjacje dotyczące wstąpienia dąbrowszczaków z Dżilfy do WP. Postawa dyplomaty spowodowała jednak zerwanie rozmów. Do polskiego wojska dołączyło tylko 10 weteranów z Hiszpanii. 20 wybrało armię brytyjską. Pozostali, w tym Henryk Toruńczyk, po negocjacjach ze stroną radziecką zostali przerzuceni do ZSRR, gdzie trafili do Wojska Polskiego na froncie wschodnim.

Spośród wyzwolonych przez aliantów Hiszpanów wielu wyjechało do Meksyku oraz innych państw Ameryki Łacińskiej. Część wstąpiła do Legii Cudzoziemskiej.

W momencie wyzwolenia Francji w kraju przebywało ok. 240 hiszpańskich emigrantów, ok. 40% stanowili uciekinierzy z okresu Retirady. W samym obozie Gurs końca wojny doczekało ponad 1,5 tys. Hiszpanów. Liczyli, że będą mogli powrócić do kraju i obalić dyktatora, który wspierał III Rzeszę. Ze względu na rozgrywki polityczne wśród aliantów stało się inaczej.

Piotr Ciszewski

Warunki bytowe były bardzo trudne – w Argelès-sur-Mer wydzielono dla uchodźców część plaży, którą otoczono drutem kolczastym.

eprasa.pl 28ebe4ac71

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Atomowa wieś

Po moim pobycie w Sztokholmie rzucam resztki szwedzkich okruszków: król Szwecji do niedawna tradycyjnie przesyłał serdeczne gratulacje Szwedom, którzy skończyli sto lat. Czy nie powinno być to raczej okazją do składania wyrazów współczucia skazanym na tak długie życie? Król jednak ostatnio przestał gratulować stulatkom. Wiele osób ma teraz pecha dożywać tak późnych lat, nie jest to więc już taki wyczyn.

Przyjaciel malarz częstuje mnie rakami, półmisek nimi płonie. W sierpniu jest w Szwecji święto raków, to cały obrządek i celebra. Nie wiem, czy lubię jeść raki. Przeszkadza mi, że są jak żywe. Łatwiej je się mięso, gdy nie wiemy, jak pożerane stworzenie wyglądało za życia.

Pytam znajomych emigrantów, dlaczego nie wracają do Polski, skoro już dawno minęły powody, dla których z niej wyjechali, a główne były dwa: polityczny i ekonomiczny. Słyszę: PiS i polska prawica narodowa, więc zła, duszna atmosfera polityczna. Mimo poprawy nadal dużo chamstwa, nieprzewidywalność, nigdy nie wiadomo, czy ktoś cię ucałuje, czy da ci w gębę. I w końcu jest miłość do Sztokholmu. Tę przyczynę akurat dobrze rozumiem, to miasto można pokochać. A czy nie najczęstszy powód to korzenie? W miejscu, gdzie się żyje, zapuszcza się korzenie, bez nich trudno żyć; to bywa długi i bolesny proces, i lęk, że nie uda się ich odtworzyć po powrocie do Polski. Ciekawe, że wszyscy zgadzają się, że życie kulturalne jest w Polsce bardziej intensywne i bogate. Wystawy, spektakle, koncerty – tu Polska ma nad Szwecją przewagę.

•

Po powrocie do kraju od razu wpada się w polskie szambo. Prezes oświadcza, że Tusk został przysłany do Polski przez Unię Europejską, by wprowadzić tu euro i obalić PiS. Tusk jako tajny agent Unii. Unia jako wróg Polski. Niech dają kasę i się od nas odwalą.

Ciekawe, czy prezesowi uda się wyprowadzić nas z Unii, czy zdąży. Na razie zdaje się śpieszyć. A Ziobro mówi, że „na polskie sądy nie można liczyć". Osobliwe, bo mówi to minister sprawiedliwości, a tym ministrem jest już od niemal ośmiu lat. Przy okazji Ziobro nazywa Władysława Frasyniuka szmatą. Bohatera stanu wojennego i dramatycznych lat 80. Jak nędznie wygląda życiorys Ziobry przy życiorysie Frasyniuka.

Prezes wyznacza wrogów: Tusk, Unia i Niemcy. Mówi: „Niemcy zawsze na nas czyhali, Krzyżacy zawsze atakowali, a Zachód oczerniał Polskę od XVIII w. Tak jak i teraz. Ale Polska oparła się temu przez tysiąc lat – i teraz też się oprze". Wzruszający motyw Krzyżaków, Krzyżacy mają działać na wyobraźnię ludu. Tu warto zaznaczyć, że w polskiej historii Krzyżacy zostali zmitologizowani jako czyste zło. Sprawa była o wiele bardziej skomplikowana. Nieśli nie tylko miecz, ale też kaganek oświaty. Jednak tu nie o komplikacje chodzi, lecz o prostotę przekazu, o działanie nie na rozum, ale na instynkty i fobie.

•

Odra zatruta. Popełniono wszystkie możliwe zaniechania i zaniedbania, gdy katastrofa się zaczęła. Nie wiem, ile jest winy PiS, ale wiem, że wszystkie stanowiska obsadza swoimi ludźmi, zwykle skrajnie niekompetentnymi. TVP szaleje, w Onecie czytam, że w TVP Info ukazał się pasek: „Tusk z Niemcami celowo zatruli Odrę, żeby obalić polski rząd". Krystyna Pawłowicz jest bardziej subtelna i tylko sugeruje udział innych państw w zatruciu Odry. Są, jak widać, miejsca, w których spotyka się propaganda faszystowska, komunistyczna i pisowska.

Po powrocie do kraju od razu wpada się w polskie szambo.

•

Już chyba po raz ósmy jesteśmy w Słajszewie, małej wiosce między Dębkami a Łebą. Zapadła decyzja, by tu właśnie budować elektrownię atomową. Dokładnie tu. Jestem zwolennikiem elektrowni atomowych, ale dlaczego pierwsza ma powstać w tym miejscu, przyrodniczo tak niezwykłym? Ludzie protestują, ale co to da. Wielu jednak jest optymistami, jak nasz kaszubski gospodarz pan Bogdan. Mówi: „Będzie jak zwykle wiele hałasu i w końcu nic z tego nie wyjdzie. A jak mnie pytała jakaś telewizja, to im powiedziałem: dobry pomysł taka elektrownia, ale powinna być zbudowana na Nowogrodzkiej. Nie ma lepszego miejsca".

Ta elektrownia wisi nad wsią jak bomba atomowa, byłem więc pewien, że ten stan zawieszenia zamrozi wszystkie inwestycje, a tu buduje się na potęgę domki dla turystów i rośnie infrastruktura turystyczna. Wygląda na to, że nikt tu nie wierzy w tę elektrownię, która przecież przegna turystów, a najpierw setki hektarów lasów mają iść do wycinki. To wszystko jakby po prostu nie mieściło się w głowach tubylców i zachowują się jak gdyby nigdy nic. Dojazd na plażę, oddaloną od wsi o kilka kilometrów, elektrycznymi pojazdami i coraz większa oferta dojazdowa. A mi tak żal konnych zaprzęgów, które do niedawna miały tu wyłączność i przenosiły podróżujących w XIX w.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Jak porucznik z Olsztyna schwytał zbrodniarza wojennego

Nikt nie przypuszczał, że szanowany, religijny człowiek i rzetelny pracownik zamordował setki czy tysiące ludzi

Marek Książek

Viktoras Galvanauskas miał na sumieniu tysiące ofiar, choć przyznał się do zamordowania „tylko" 300 osób. Głównie w Ponarach koło Wilna, gdzie w zbiorowych egzekucjach, przeprowadzanych przez hitlerowców i ich litewskich kolaborantów, śmierć poniosło ponad 100 tys. osób. Ginęli przede wszystkim Żydzi, ale także przedstawiciele polskiej inteligencji i ruchu oporu, radzieccy jeńcy wojenni, komuniści i Romowie. Jednym z egzekutorów w grupie specjalnej szaulisów (strzelców) był ślusarz-mechanik, syn Polaka i Litwinki, urodzony w 1912 r. jako Wiktor Gilwanowski. Agent przedwojennego wywiadu litewskiego, w czasie gdy służył w Wojsku Polskim w Łomży – zdemaskowany uciekł do Kowna, by u brata doczekać wejścia Niemców w czerwcu 1941 r.

Mieczysław Kurowski pamięta, że za odnalezienie zbrodniarza wojennego dostał 4 tys. zł nagrody, znacznie mniej niż jego przełożeni.

Zmiana tożsamości

W lipcu 1941 r. spotkał w Wilnie kolegę z kółka szaulisów, który służył w policji kryminalnej i zachęcił go, aby zgłosił się do komendy na wartownika. Gilwanowski skorzystał z tej rady, dostał pracę jako cywil z karabinem, potem zweryfikowano mu stopień kaprala i w przedwojennym mundurze litewskiej armii przydzielono do oddziału wartowniczego, który następnie został wchłonięty przez oddział specjalny – Sonderkommando. Już wtedy Gilwanowski występował jako Viktoras Galvanauskas, przyjmując pseudonim Kaunas (lit. Kowno). Z przesłuchań świadków i zebranego materiału dowodowego wynikało, że w latach 1941-1944 wyróżniał się aktywnością, na rozkaz hitlerowskich mocodawców biorąc udział w ludobójstwie. Gdy od wschodu nacierała Armia Czerwona, cały oddział uciekł nad morze, brał jeszcze udział w ewakuacji obozu w Stutthofie. W okolicach Ustki został rozbrojony i rozwiązany przez Waffen SS, a jego członkowie rozpierzchli się w różne strony. Większość po wojnie została schwytana i skazana na karę śmierci lub wysokie kary więzienia, lecz Galvanauskas przepadł bez wieści. W 1949 r. jego pierwsza żona Janina przyjechała z synem do Polski i uzyskała w Gdańsku sądowe uznanie jej męża za zmarłego. Nie miała od niego żadnych wieści, a jako wdowa chciała ułożyć sobie życie na nowo.

Tymczasem rzekomy nieboszczyk, już jako Witold Gilwiński, podający się za przymusowego robotnika w III Rzeszy, znalazł się najpierw w Krośnie Odrzańskim, a z obawy przed wpadką w 1950 r. przeniósł się do Olsztynka, gdzie dostał pracę mechanika narzędziowego w ośrodku transportu leśnego. W 1964 r. ożenił się, de facto jako bigamista, tym razem z repatriantką zza Buga, Stanisławą, wychowawczynią w domu dziecka, którą poznał w Olsztynku. On był już po pięćdziesiątce, ona mniej więcej w jego wieku. Jej kolegą w pracy był Tadeusz Obrębski.

– Mieszkali niedaleko nas, a że Gilwiński pracował w OTL z moim szwagrem, mieliśmy z nimi dobry

eprasa.pl 28ebe4ac71

kontakt. Niejeden raz do nich zachodziłem, malowałem im nawet pokój, a gorzałkę też piliśmy. Stasia opowiadała mi, że on był zamknięty w sobie, ale po wódce coś go dusiło, że aż płakał. I choć nalegała, żeby wyznał jej, co go gnębi, nie chciał się przed nią otworzyć – wspomina Obrębski. Z kolei Henryk Jesionowski, ówczesny wychowanek domu dziecka, zapamiętał panią Stasię jako osobę przesiąkniętą ideologią bolszewicką, podsuwającą dzieciom radzieckie gazety. Natomiast Gilwińskiego znał jako miłego, kulturalnego pana, który w niedziele, gdy jego żona miała dyżur, przychodził do domu dziecka na obiady. Także koledzy Gilwińskiego z pracy uważali go za spokojnego i uczynnego człowieka. Nikomu nie przyszło do głowy, że może on być zbrodniarzem wojennym. Tyle że gdy czasami podśmiewali się z jego poczciwości, odpowiadał tajemniczo: „Jeszcze wy Witka nie znacie".

Mroczne miejsce kaźni

To prawda, nie znali. Choć pewnie słyszeli o zbrodni w Ponarach, zwłaszcza przesiedleńcy z Wileńszczyzny, nowi mieszkańcy Warmii i Mazur. I o groźnie brzmiącym Sonderkommandzie, które rozstrzeliwało głównie Żydów. Ale nie znali jeszcze wtedy relacji naocznych świadków, w tym Kazimierza Sakowicza, miejscowego dziennikarza, żołnierza Armii Krajowej, zastrzelonego w zasadzce w lipcu 1944 r. przez szaulisów, którzy prawdopodobnie zorientowali się, że interesuje się ich zbrodniczą aktywnością. Sakowicz mieszkał w Ponarach, obserwował, co się tam działo, i szczegółowo to opisywał w prowadzonych kronikach. Jego zapiski znaleziono przypadkowo po wojnie, zakopane w butelkach, w ogrodzie jego domu. Część była ledwie czytelna, ale to, co można było odczytać, stanowiło swoisty akt oskarżenia.

Zacytujmy dwa niewielkie fragmenty: „Otworzono cztery wagony i kazano Żydom wysiadać bez żadnych ruchomości, wszyscy byli otoczeni. Płacz, jęk, błagania, rzucanie do nóg... Piąty sądny dzień... Zaczęto wyganiać ludzi z wagonów i od razu małą grupę popędzono w kierunku dołu. Tym, którzy ubrani byli w gorsze ubrania, nawet nie kazano się rozbierać. Spędzili do dołu i naraz zaczęli strzelać. Stojąca obok druga grupa ludzi, widząc, co zrobili z ich najbliższymi, zaczęła krzyczeć. Kilku rzuciło się do ucieczki. Nieco odstała od innych biednie ubrana kobieta z rozrzuconymi włosami, przyciskała do piersi niemowlę. Dopędza ją policjant, uderza kolbą karabinu po głowie, kobieta osuwa się na ziemię. A policjant, uchwyciwszy niemowlę za nóżki, wlecze je do dołu...".

To był jeden z sześciu dołów, które pozostały po nieukończonej przez radzieckie władze budowie podziemnych magazynów paliwa lotniczego. Świetnie nadawały się na miejsce kaźni, o czym świadczy kolejny zapis: „Od strony bramy znów ukazuje się duża grupa – chyba około 400 ludzi. Ze wszystkich stron otaczają ją dużą grupą policjanci. Widocznie boją się, aby któryś nie uciekł. Nie dochodząc do dołu, wszystkich kładą na ziemi. Wydzielają parę dziesiątków ludzi i o czymś im mówią. Ludzie ci z wolna zaczynają się rozbierać. Obok innych kobieta z dzieckiem na ręku. Dwoje małych dzieci, silnie uczepione matczynej spódnicy, zanosi się płaczem. Policjant dopada do nich i kijem zaczyna bić dzieci i matkę. Któryś z mężczyzn rzuca się na policjanta. Inny policjant strzela do niego. Policjant, który bił kobietę, wyrywa z jej rąk niemowlę i z rozmachem rzuca do dołu. Kobieta skacze za niemowlęciem, a za nią i dzieci. Rozlegają się strzały...".

Strzelaliśmy w tył głowy. Najwyżej z odległości 5 m.

Ze zrozumiałych względów w zapiskach nie został wprost wymieniony Galvanauskas. Ale jego litewskie nazwisko przewijało się w różnych dokumentach znalezionych po wojnie w Wilnie i okolicy. Na przykład na liście członków Sonderkommanda, którzy chcą zakupić drewno na opał, czy w innym wykazie dotyczącym spraw gospodarczych. Viktorasa, o którym jeden ze współzbrodniarzy powiedział, że ma skłonności sadystyczne, że rozstrzeliwał ludzi, grabił ich mienie, sprzedawał i przepijał, widać też na zbiorowej fotografii grupy specjalnej.

NIE MA PRZEBACZENIA

Relacja z procesu Viktorasa Galvanauskasa w „Panoramie Północy" z 3 lipca 1977 r.

Szanowany, religijny człowiek

Kiedy więc latem 1975 r. do Biura Śledczego MSW w Warszawie nadeszła wiadomość od litewskiego odpowiednika, że Galvanauskas może się ukrywać w Polsce, jego dossier było już bogate. Pewne ślady prowadziły w Olsztyńskie. Wtedy teczka z materiałami na temat zbrodniarza trafiła na biurko por. Mieczysława Kurowskiego, oficera Wydziału Śledczego Służby Bezpieczeństwa w Olsztynie (formalnie komendy wojewódzkiej milicji obywatelskiej), wcześniej sędziego rozpoznającego sprawy kryminalne. Do służb specjalnych Kurowski

FOT. MAREK KSIĄŻEK I ARCHIWUM RODZINNE

eprasa.pl 28ebe4ac71

przeszedł ze względów ekonomicznych. Jako szef sekcji śledczej praktycznie sam zajął się poszukiwaniem Galvanauskasa, przesłuchując świadków, w tym osadzonych w polskich więzieniach, i analizując dziesiątki tomów akt przesłanych z Wilna. Robota operacyjna przyniosła rezultaty. Na celownik wziął Witolda Gilwińskiego z Olsztynka, bo niektóre jego dane pokrywały się z życiorysem Galvanauskasa. Zgadzał się rok urodzenia, choć miesiąc i dzień były inne. Imiona rodziców te same, nazwisko matki podobne, miejsce urodzenia – Wilno. Rysopis niby podobny, ale zdjęcie w mundurze różniło się od fotografii w cywilu. No i nazwisko, jakby zamienione z litewskiego na polskie. Mechanik narzędziowy z Olsztynka podawał, że we wrześniu 1939 r. walczył z Niemcami, potem przebywał na robotach przymusowych w Hamburgu, ale nie było na to dowodu. Nie należał też do żadnej organizacji, np. ZBOWiD.

– Zastanawiałem się, jak to możliwe, że ten szanowany, religijny człowiek i rzetelny pracownik mógł być zbrodniarzem – wspomina dziś 81-letni Mieczysław Kurowski, obecnie mieszkaniec Dobrego Miasta na Warmii. Wtedy jego wątpliwości rozwiało dostarczone przez radzieckie MSW zdjęcie grupowe, na którym podejrzanego można było zidentyfikować w gronie oprawców z Sonderkommanda. Trzeba to było tylko uwiarygodnić, również przez przesłuchanie innych zbrodniarzy odsiadujących kary w polskich więzieniach. Zeznawała także siostra Gilwanowskiego, która pamiętała go pod takim nazwiskiem i rozpoznała na fotografii.

Ramię bolało od kolby

Po roku śledztwa Gilwińskiego można było aresztować. 26 sierpnia 1976 r. por. Kurowski podjechał z kolegami pod dom w Olsztynku, gdy 64-letni Gilwiński vel Galvanauskas odpoczywał w ogrodzie. Gdy poprosili go ze sobą, nawet się nie zdziwił. Mruknął tylko: „Stało się". Wsiadł do samochodu bez kajdanek na przegubach. Ale podczas przesłuchania szedł w zaparte, nie przyznawał się, że był szaulisem z grupy specjalnej. Przełom nastąpił, gdy Kurowski przedstawił mu argumenty nie do obrony – przyznał się do zabicia sześciu Żydów. Wtedy Kurowski pokazał mu dokumentację, że było ich w grupie 50, a zastrzelili ponad 100 tys. osób. Jak więc mogło się skończyć na sześciu?

– Następnego ranka znów, bardzo spokojnie, jakbym przesłuchiwał drobnego złodziejaszka, przygważdżałem go dowodami. I zaczął sobie przypominać, że „strzelał do każdego, kto mu się pod lufę nawinął". Ale swój rachunek sumienia skończył na 300 ofiarach! – wspomina Kurowski.

To jednak wystarczyło, by postawić go w stan oskarżenia. Przed prokuratorem tak tłumaczył: „To było straszne dla ofiar i dla mnie. Ramię bolało od kolby i palce od ładowania, a uszy puchły od wystrzałów i rozpaczliwych błagań... Strzelaliśmy w tył głowy. Najwyżej z odległości 5 m. Była taka zasada, że kto był z dzieckiem, musiał stawać twarzą do nas. Wtedy jeden strzelał do niego, drugi do dziecka... Wciąż to samo: zbiórka, pobrać karabiny – mieliśmy zdobyczne karabiny radzieckie, amunicję do kieszeni i jazda. Strzelaliśmy też salwami – ludzkie głowy pękają, mózg, krew, jęki. Wymiotowałem. Moją ofiarę dobił ktoś inny. Poszedłem do Norwajszy [dowódcy grupy – przyp. red.], mówiąc, że nie mogę. On wtedy, jak zwykle, trzymał pistolet, zaraz skierował lufę we mnie i mówi, że zaraz ja znajdę się w dole. (...) Bałem się śmierci, bałem się uciekać do partyzantów, boby mnie rozwalili. I od tego momentu strzelałem jak każdy inny".

Por. Kurowski chodził na rozprawy w Sądzie Wojewódzkim w Olsztynie, który 11 maja 1977 r. skazał Galvanauskasa na 25 lat więzienia. W wypełnionej po brzegi sali rozległy się okrzyki: „Hańba!". Słuchając zeznań świadków, publiczność domagała się kary śmierci. Taki wyrok wydał na zbrodniarza sąd apelacyjny. Ale wkrótce Rada Państwa z uwagi na stosunki polsko-litewskie zastosowała wobec niego (jak i pozostałych skazanych z grupy specjalnej) akt łaski, przywracając mu poprzedni wyrok. W więzieniu w Barczewie odwiedzała go Stanisława Gilwińska, która cierpliwie czekała, aż mąż wyjdzie na wolność. Po 14 latach odsiadki, w 1990 r., Wiktor wrócił do Olsztynka. Mieszkańcy miasteczka uznali, że swoje odsiedział, i nikt go nie prześladował. Umarł pół roku później, a po kilku kolejnych miesiącach – jego wierna Stasia.

Była taka zasada, że kto był z dzieckiem, musiał stawać twarzą do nas. Wtedy jeden strzelał do niego, drugi do dziecka.

Dwa razy zmniejszano Kurowskiemu emeryturę, zostało mu 1,2 tys. zł.

A oficer, który doprowadził do schwytania Galvanauskasa? Pamięta, że za swoją robotę dostał 4 tys. zł nagrody, o wiele mniej niż cała drabinka jego przełożonych z ministrem włącznie. Po jakimś czasie Mieczysław Kurowski trafił do wywiadu na Śląsku, gdzie zakończył służbę w stopniu podpułkownika. Jako byłemu „bezpieczniakowi" dwa razy zmniejszano mu emeryturę, zostało mu zaledwie 1,2 tys. zł. Na szczęście jego żona, była księgowa, dostaje więcej. Dziś były oficer jest po osiemdziesiątce, ale jako dawny ciężarowiec nadal dba o kondycję fizyczną, ćwiczy skłony i przysiady, jakby się nie starzał. Prawdziwą radość sprawiają mu jednak dzieci i wnuki, dla których opowieści o litewskim zbrodniarzu brzmią jak straszne baśnie o słowiańskich potworach.

Marek Książek

eprasa.pl 28ebe4ac71

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Śnięte, a niepojęte

Rzeka martwych ryb to już jest starotestamentowa apokalipsa w skali jeden do jednego – ja tam nie jestem uczony w piśmie świętym, ale tak się mojemu rozumowi zdaje, że to działa jak katastroficzna biblia pauperum nawet na religijnych analfabetów. Nie, żebym w tym widział znaki boskie i zatrwożony miał padać na kolana, wszak już dawno nieodwołalnie nawróciłem się na ateizm, ale siła obrazu wbija palec w mój metafizyczny pępek. Do zagłady żadnego boga nam nie trzeba, sami sobie gotujemy ten sos, sami siebie dusimy w losie własnym. Od nadmiaru ludzkości i niedoboru wody wkrótce wszystkich nas trafi przyducha, czyli szlag pospolity, na razie zaś niski stan ducha czyni tę ziemię poddaną torturom każdego dnia. Będziemy umierać długo i boleśnie, chyba że psychoputin przyniesie nam błyskawiczną ulgę atomowej eutanazji.

Polacy to naród zajadłych nieuków, przeto nie należy się dziwić, że poziom podręczników dostosowuje się do ich rozległej niewiedzy.

– Moje rybki kochane – lamentuje wędkarz nad martwą Odrą, wyliczając gatunki, podziwiając rozmiary tych, których już nie wyszarpie wodzie, by je odhaczyć. Złorzeczy z bezsilnej wściekłości nieznanym sprawcom. Susza, choć nieustannie leje – wodę zatrutą – rząd kaczystowski. Wielu nie przetrwa najbliższej zimy, ale PiS u władzy będzie trwało, w najgorszym wypadku wprowadzi stan wyjątkowy, aby niepewny wynik najbliższych wyborów nie spędzał snu z powiek prezesa. Pretekstów jest aż nadto, a naród, niezmiennie otępiały, z ulgą przełknie każde wytłumaczenie. Otępiały, a nawet tępy, jak zastępy pisowczyków, sugerujących zwalenie winy na Niemców, choć Odra spływała trupami rybimi już setki kilometrów przed zbiegiem granic.

Polacy to naród zajadłych nieuków, przeto nie należy się dziwić, że poziom podręczników dostosowuje się do ich rozległej niewiedzy, jednakowoż HiTowy bełkot nadwornego historyka czarnkowego nadaje się co najwyżej do wieczorówek podstawowych, by wzmocnić betonowy elektorat. Młodzież wyczuje swąd ideologicznej ściemy i niechybnie uzna elukubracje pana Roszkowskiego za dziaderski krindż, a z tego wygrzebać się już nie sposób. PiS takimi bestsellerami wychowa sobie młodych patriotów w ilości wystarczającej może, by zapełnić 11.11 most Poniatowskiego na całej długości, ale to za mało, by przepotworzyć całe społeczeństwo. To także o wiele mniej niż Polaków poczętych in vitro, a tych sobie kaczystowski szef szkolnictwa niespecjalnie zaskarbił. Tak czy owak, synek mój za kilka dni rozpoczyna swoje lata szkolne w placówce społecznej, tolerancyjnej, promującej edukację wolnościową, i pęka mi serce, że w kraju nad Wisłą to nie norma, lecz przywilej szczęśliwie urodzonych. Dopóki większość populacji tłoczy się w kruchcie, intelekt nie jest mile widziany, otwarte umysły są zagrożeniem dla dogmatów, a nauka, która nie podąża za wiarą, dla władzy wspartej na kościelnych filarach nic nie jest warta. Jeśli pisowscy tytani geografii twierdzą, że Odra jest rzeką graniczną na całym swoim biegu, kaczyści biorą to za fakt i nie widzą powodów, by zajrzeć do atlasu. Ważne, by wiedzieć, gdzie trójstyk granic z Ukrainą i Białorusią, bo poniżej pomoc uchodźcom jest dobrym uczynkiem, powyżej czynem godnych potępienia durniów i zdrajców. Ważne, by umieć fristajlować na okoliczność wizyt gospodarskich – ojczyzna miodem i mlekiem płynie, Odra od rtęci nie zginie, ogólnie jest fajnie i cacy, a rządu nie obalą rybacy, jak tylko prezes każe, wesprą go i wędkarze. Ważne, by znać kalendarz świąt i hojnie dawać na tacę – inna wiedza nadobowiązkowa.

Z przerażeniem patrzę na zdjęcia ton martwych ryb ciągniętych nurtem do Bałtyku i wyobrażam sobie, że reprezentuję „obóz propolski", jak to zwą media rządowe. Przywdziawszy odzież wszechpolską („hwała bohaterom!"), siadam przy brzegu i wyobrażam sobie, że to dryfują martwe ławice wrogów ojczyzny. Rozkosz patriotyczna koi żal po brzanach i boleniach, „wina Tuska" jest plastrem na zranioną duszę, „Wiadomości" przypominają, że Matka Boska wygrała nam Bitwę Warszawską, więc i teraz dopomoże w razie potrzeby. Hosanna na wysokości. ■

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

W zderzeniu dwóch pociągów pod Szczekocinami śmierć poniosło 16 osób, a 51 zostało rannych.

Bartosz Jakubowski

Całe tory były we krwi

Zderzenie czołowe, czyli katastrofa kolejowa pod Szczekocinami

Zderzenie dwóch pociągów pod Szczekocinami 3 marca 2012 r. to największa katastrofa kolejowa w Polsce w XXI w. Choć w toku śledztwa wskazywano na dziesiątki błędów systemowych i nieprawidłowości – w szkoleniu personelu, w odbiorze urządzeń, w przepisach i procedurach bezpieczeństwa – skazani zostali tylko dyżurni pełniący wówczas służbę (Andrzej N. i Jolanta S.).

Pamięć

30 marca 2012 r. pasażerowie wieczornego pociągu Berlin – Warszawa Express w kierunku stolicy Niemiec mogli być nieco zaskoczeni. Ich skład poprowadziła tego dnia lokomotywa w biało-czerwonych barwach. Tak rozpoczęła się akcja promocyjna PKP Intercity z okazji Euro 2012. (…) Elektrowóz o numerze EU44-01 oprócz grafiki w barwach narodowych i haseł promocyjnych nosił na sobie coś jeszcze. Na burcie, przy jednej z kabin, znalazł się napis: „Pamięci maszynistów: Szymon Cieślak, Radosław Pustoła. Jedziemy z Wami – w każdym z naszych pociągów”.

W komunikacie prasowym przewoźnika zabrakło informacji o upamiętnieniu, ale o to chyba nikt nie miał pretensji. Natomiast o to, że na lokomotywie znalazły się tylko nazwiska zmarłych kolejarzy z PKP Intercity (z pociągu TLK „Brzechwa”), a tych z Przewozów Regionalnych już nie, niektórzy pretensje mieli. Pojawiające się tu i ówdzie głosy o solidarności, która kończy się tam, gdzie grupa PKP, przeszły jednak bez większego echa.

Na upamiętnienie załogi z „Matejki” trzeba było poczekać nieco dłużej. Siedem miesięcy po katastrofie, 3 października, na ścianie dyspozytorni przy stacji Kraków Płaszów zawisła czarna tablica. Sfinansowali ją koleżanki i koledzy z krakowskiego zakładu spółki, w którym pracowali zmarli kolejarze. „Na zawsze pozostaniecie w naszej pamięci”, głosi napis w górnej części czarnej płyty. Poniżej w kontur granic Polski wklejono zdjęcia Zbigniewa Rudnika, Benedykta Szmidta i Andrzeja Mikołajczyka, trasę ich ostatniej drogi i zdjęcie elektrowozu. Podpis: „Zginęli, pełniąc służbę w katastrofie pod Szczekocinami”. Odsłonięto ją w hałasie syren pociągów. W 2021 r., na czas modernizacji stacji, przeniesiono ją do budynku biurowego.

W Chałupkach o katastrofie pamięta się bez podziałów, choć nie obyło się bez problemów. Krzyż stojący przy torach, obok miejsca, gdzie leżały wraki wagonów, postawili mieszkańcy. Bez pozwolenia, co skończyło się scysją z lokalnymi władzami. Ostatecznie jednak kwestie formalne ustąpiły, a gdy dyrektorem zakładu linii kolejowych w Kielcach został Grzegorz Łukasik, teren przed krzyżem został utwardzony betonowymi płytami, takimi, jakie układa się na przejazdach kolejowych.

FOT. TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

eprasa.pl 28ebe4ac71

Halina Szmidt pierwszy raz przyjechała do Chałupek w lipcu 2012 r., kiedy lekarze usunęli jej śruby ze złamanej pół roku wcześniej nogi. – Wtedy jeszcze całe tory były we krwi. Resztki grzebieni, włosów, spinek… jak tak się człowiek przypatrzył, to wszystko było na tych torach. Niby „kamyczkiem" było obsypane, ale tory były zakrwawione. Wtedy zrobiłam zdjęcia i zawsze jak je oglądałam, to płakałam. W końcu syn mi je skasował.

Przy drodze, obok domu Anny Kwiecień, jest też drugie miejsce pamięci, podwójnie symboliczne. Przy stojącym tam krzyżu dziękczynnym z 3 marca 1913 r. znicze zaczęły pojawiać już kilka dni po katastrofie, gdy na łące jeszcze trwało usuwanie skutków katastrofy. Potem burmistrz postawił przed nim pamiątkową tablicę. Miały się na niej znaleźć nazwiska ofiar, ale rodziny nie wyraziły na to zgody. Oficjalnie odsłonięto ją 30 października 2012 r. Oprócz mieszkańców i lokalnych polityków na miejscu był również ówczesny marszałek województwa śląskiego Adam Matusiewicz, którzy przy okazji otworzył świeżo wyremontowaną drogę – nagrodę dla mieszkańców Chałupek od samorządu województwa za pomoc ofiarom katastrofy. (…)

Pamięć po katastrofie pozostaje też w kręgach zupełnie prywatnych. Julia Jarża-Brataniec ma po niej pewien talizman.

– Kręciliśmy taką scenę w „Drogówce", że przyjeżdżał papież. Mieliśmy jakimś cudem z tych statystów zrobić tłum jak na prawdziwej pielgrzymce. Chodziło o to, żeby mieć dużo flag papieskich, więc kupiłam belę tej biało-żółtej flagi i położyłam ją na półce bagażowej. Ona tam została po tym strasznym uderzeniu. Do tej pory mam taki swój malutki „świr". Kiedy gdzieś jadę, zabieram ze sobą choćby maleńki strzępek tej flagi. Bo ona mnie ocaliła. Nie jestem bardzo religijna, ale jednak było coś dziwnego w tym, że ona się nawet nie ruszyła podczas tej całej katastrofy.

Na obchody rocznicowe oprócz reprezentantów spółek kolejowych przyjeżdżają rodziny i przyjaciele ofiar, głównie zabitych kolejarzy. Co roku oprócz kwiatów i zniczy pod pomnikami pojawia się też zdjęcie Karoliny Miśty, które przywozi jej ojciec. Od 2013 r. pierwsza niedziela marca jest ważnym dniem dla całej społeczności Chałupek. Dniem pamięci o katastrofie, o jej ofiarach, ale też o bohaterach – mieszkańcach, którzy nie zawahali się ruszyć z pomocą.

Traumy

Kiedy doszło do wypadku, Kaja Poznańska była stażystką w krakowskim oddziale radia Tok FM. Długo tam nie wytrzymała – siedziba radia mieściła się nieopodal dworca, każdorazowe przejście do redakcji wiązało się z gigantycznym stresem.

– Zrezygnowałam. Tak samo problemem było to, że moja babcia mieszkała w Krakowie na Azorach. Wysiadało się tam na przystanku PKP Łobzów i trzeba było przejść pod wiaduktem. Nie byłam w stanie tego zrobić. Ten odgłos przejeżdżającego pociągu jest dla mnie taki nęcąco-zawłaszczający, a z drugiej strony paraliżująco-przerażający – opisywała jesienią 2020 r. Tę i kilka innych rozmów, z uwagi na szalejącą epidemię COVID-19, musiałem przeprowadzić zdalnie. – W tramwaju może mniej, ale tramwajem też nie byłam w stanie jeździć, przerzuciłam się na rower.

W powrocie do normalnego życia nie pomagał „masowy" wymiar katastrofy.

– Ciągle okazywało się, że jakiś znajomy miał jakąś znajomą albo znajomego, który zginął, i to były takie wspaniałe osoby, które wiele robiły. Ci ludzie, kiedy dowiadywali się, że brałam udział w tym wypadku, koniecznie chcieli się ze mną podzielić informacjami o tamtych ludziach. Zaczęłam mieć poczucie winy, że przeżyłam – przyznała. Początkowo lęki nie były w oczywisty sposób związane z koleją. (…) Kaja trafiła wreszcie do psychiatry, który zdiagnozował PTSD.

– Nie wiem, czy mi pomógł. Zapisał mi leki, ale w końcu sama je odstawiłam. Czułam, że one nie rozwiązują moich problemów. Tabletki, owszem, działały uspokajająco, ale lęk pozostawał. Wreszcie, w 2016 r., udało jej się też trafić na psychoterapię finansowaną przez NFZ. Jak sama mówi, skuteczną.

Janusz Janowski jeszcze w szpitalu czuł, że potrzebuje wsparcia.

„Dzwoniłem do żony i mówiłem: Marta, nie ogarnę tego, skołuj mi kogoś. Zadzwoniła w dziesiątki miejsc i zorganizowała pomoc psychologiczną, która według mediów została nam zapewniona. Przyszła dziewczyna i okazało się, że pani od interwencji kryzysowych jest na macierzyńskim, a ona jest od bitych matek. Ale najbardziej żenujące było to, że nas na sali, z wypadku w Szczekocinach, leżały trzy osoby. Ona zapytała tylko o mnie. Koledzy na sali też chcieli porozmawiać, jakąkolwiek pomoc uzyskać, a ona odpowiedziała, że jest tylko do Janowskiego",wspomina z niechęcią.

Pierwsze traumy wywołał odbiór rzeczy, które zostały na miejscu wypadku. „Bagaże były rozłożone w sali gimnastycznej jednej ze szkół w Zawierciu. Najpierw poszedłem na policję i powiedziałem, co straciłem, a potem chodziłem po tej sali i szukałem tego, co moje. Kolej ma specyficzny zapach. Taki smar, żelazo. Przez to, że leżałem na tłuczniu, byłem cały w tym smarze. Kiedy odbierałem rzeczy, ten zapach powrócił i wraca mi do dziś". (…)

Zagłuszanie złych wspomnień działało tylko do pewnego momentu. Po jakimś czasie w stresujących okolicznościach Janusz Janowski stracił pracę, wtedy traumy się obudziły. (…) Miejsce wypadku nie budzi u niego złych emocji ani lęku, kilka razy widział je z okien pociągu – bo wrócił do podróżowania koleją, choć robi to z rzadka i niechętnie. „Ze dwa razy przejeżdżałem autem, widziałem drogowskaz. Minęło tyle czasu, że pewnie niewiele bym poznał. Za to bardzo chciałbym podziękować człowiekowi, który mnie wyciągnął. Przez jakiś czas miałem do niego numer telefonu. Nie odważyłem się zadzwonić, przez dwa lata pisałem do niego esemesy, w których dziękowałem za to, co dla mnie zrobił".

Elżbieta Wiater, kiedy leżała w szpitalu, mogła liczyć na dużo większe wsparcie. Trafiła na oddział chirurgii szczękowej w Sosnowcu.

eprasa.pl 28ebe4ac71

(…) Kiedy pytam o to, czy ma żal do skazanych dyżurnych, mówi krótko: – Nie mam żalu, nie ma we mnie gniewu. – Po chwili jednak rozwija temat. – Mnie jedna rzecz, delikatnie mówiąc, irytuje. Pomimo śmierci tych 16 osób, tej setki, która wylądowała w szpitalach i całej reszty, która żyje z traumą, Polskie Koleje Państwowe niczego nie zmieniły. Nie wyciągnięto wniosków! Co by się musiało stać, żeby coś się zmieniło? Rok po wypadku czytałam, że maszynista pociągu towarowego otrzymał sprzeczne sygnały na semaforze!

Podobnie myśli Julia Jarża-Brataniec. – Mam przeczucie, że nie została właściwie osądzona przyczyna tej katastrofy. Wydaje mi się, że wina była gdzieś wyżej. (…)

Ostatnia instancja

28 lutego 2019 r. do Kancelarii Prezydenta została wysłana odręcznie napisana przez Jolantę S. prośba o ułaskawienie. Zgodnie z Kodeksem postępowania karnego taką prośbę musiał najpierw rozpatrzyć sąd wydający wyrok pierwszej instancji, po przeanalizowaniu sytuacji skazanej:

„Art. 563. Rozpoznając prośbę o ułaskawienie sąd w szczególności ma na względzie zachowanie się skazanego po wydaniu wyroku, rozmiary wykonanej już kary, stan zdrowia skazanego i jego warunki rodzinne, naprawienie szkody wyrządzonej przestępstwem, a przede wszystkim szczególne wydarzenia, jakie nastąpiły po wydaniu wyroku".

Przed wydaniem opinii sędzia nakazał kuratorowi przeprowadzić wywiad środowiskowy. Ten odwiedził dom państwa S., rozpytywał sąsiadów i dzielnicowego, przeprowadził kwerendę w bazach karnych. Z pozyskanych informacji sporządził krótki czterostronicowy raport. Jego konkluzja jest jednoznaczna: „Na podstawie zebranych informacji należy stwierdzić, że opiniowana posiada pozytywną opinię środowiskową, a jej dotychczasowa postawa oraz sposób życia nie budzą zastrzeżeń. W rodzinie Jolanty S. występują dość liczne problemy zdrowotne (…). Złożoność występujących problemów zdrowotnych pozwala stwierdzić, iż skazana, jak również jej członkowie rodziny wymagają opieki oraz wsparcia".

A jednak częstochowski sąd okręgowy był przeciwny ułaskawieniu. Jako że prawomocny wyrok wydał sąd drugiej instancji, to konieczna była również jego opinia. Dodatkowe prośby męża Jolanty S. o szczególne uwzględnienie dodatkowych okoliczności wspomnianych w opinii kuratora nie przyniosły skutku. 13 sierpnia 2019 r. Sąd Apelacyjny w Katowicach negatywnie zaopiniował prośbę o akt łaski. W dokumencie zaznaczono, że „prośba skazanej nie zasługuje na uwzględnienie, a od chwili uprawomocnienia się wyroku wydanego w sytuacji Jolanty S., nie zaistniały żadne szczególne wydarzenia, mogące prowadzić do uwzględnienia rozpatrywanej prośby o ułaskawienie".

Dla sądu od stanu zdrowia i nieposzlakowanej opinii ważniejsza była społeczna szkodliwość czynu, jaki nieumyślnie popełniła Jolanta S., „a także fakt, że skazana – jak wynika z treści prośby – w dalszym ciągu kontestuje swoje sprawstwo, pomimo prawomocnego skazania, jak też konieczność poniesienia za poważne przestępstwo, jakiego się dopuściła, odpowiedzialności karnej, w tym odbycia kary pozbawienia wolności, która wykonywana jest dopiero od dnia 17 lipca 2019 r., a zatem odbyta została dotąd w niewielkim rozmiarze". Jolanta S. i jej mąż nie poddali się. W 2020 r. złożyli kolejny wniosek o ułaskawienie. Tym razem sędzia Jarosław Poch, który wydał wyrok w pierwszej instancji, udzielił pozytywnej opinii. Mimo że katowicki sąd apelacyjny był innego zdania, to wystarczyło, aby dokumenty trafiły w ręce prezydenta. Nie skorzystał jednak z prawa łaski.

W lipcu 2021 r. Jolanta S. skorzystała z ostatniej przysługującej jej możliwości – uzyskania przedterminowego warunkowego zwolnienia po odbyciu połowy kary. Nie miała jednak powodów do optymizmu – wiosną 2021 została przeniesiona do zakładu karnego w Grudziądzu. Niedługo później jej córka wzięła ślub, jednak o przepustce nie było mowy. Dla władz grudziądzkiego więzienia doskonała opinia z kieleckiej placówki nie miała znaczenia. Państwo S. złożyli jednak wniosek o „warunek" i tym razem wzorowy przebieg odbywania kary oraz pozytywna opinia kuratora okazały się wystarczające.

– Powiedzieli żonie, że ma 15 minut, żeby się spakować i wyjść. Ja też nic wcześniej nie wiedziałem. Nawet nie było mowy, żeby mogła tam zaczekać. Po prostu wystawili ją za bramę i kazali iść – opowiadał mi jej mąż, Paweł.

Sąd umorzył wykonanie dalszej kary, ustalił jednak warunki: nakazał Jolancie S. podjąć pracę zarobkową i pozostawać pod nadzorem kuratora. Żeby wypełnić polecenie sądu, po wyjściu z więzienia Jolanta S. wyjechała z kraju. W Europie Zachodniej łatwiej jej znaleźć pracę niż w powiecie jędrzejowskim. (…)

Pierwsza niedziela marca jest ważna dla Chałupek. To dzień pamięci o katastrofie, jej ofiarach i o bohaterach – mieszkańcach, którzy ruszyli z pomocą.

Ciszej nad tymi trumnami

Jesienią 2020 r. w polskim kanale Discovery rozpoczęła się emisja cyklu filmów „Największe polskie katastrofy". Jeden z sześciu odcinków poświęcono zderzeniu pociągów pod Szczekocinami. Materiał składający się z archiwalnych zdjęć z miejsca wypadku, z inscenizowanych scen oraz wypowiedzi świadków zdarzenia, skupiał się głównie na relacjonowaniu akcji ratowniczej. Przepełnione emocjami wspomnienia strażaków, pasażerek, sołtyski Anny Kwiecień oraz ojca zmarłej w katastrofie Karoliny Miśty oddają klimat tamtego feralnego wieczoru, zarazem trzymając się faktów.

Gorzej sytuacja wygląda, kiedy przychodzi do wyjaśnienia przyczyn wypadku. Autorzy filmu, rekonstruując przebieg zdarzeń, popełniają

eprasa.pl 28ebe4ac71

szereg błędów – m.in. podają inne godziny rozpoczęcia dyżurów oraz błędnie wyjaśniają znaczenie wskaźnika W24. Przyczyny katastrofy wyjaśnia także inż. Ryszard Kępka, biegły sądowy z zakresu bezpieczeństwa kolejowego. Widzowie jednak nie są informowani, że jest to biegły z Sądu Okręgowego w Warszawie, który nie dość, że nie miał nic wspólnego z toczącym się w sprawie katastrofy postępowaniem, to nawet nie miał wglądu w akta tej sprawy. Jego wypowiedzi również zawierają szereg błędów. Gdy mówi o „pulpicie nastawczym" posterunku Sprowa (na którym przecież są urządzenia komputerowe), to nie ma to większego znaczenia dla wyjaśnienia okoliczności wypadku. Chwilę później jednak relacjonuje rozmowę pomiędzy Jolantą S. a Andrzejem N., w której ta pierwsza pyta o to, którym torem wyjechał ze Starzyn pociąg „Jan Matejko". W rzeczywistości taka rozmowa się nie odbyła.

W filmie wystąpił również prezydent związku zawodowego maszynistów w Polsce Leszek Miętek. Jego głos był najbardziej krytyczny wobec działań zarządcy infrastruktury, ale zarazem najmniej konkretny. Wspominał o usterkach rozjazdu, ich zgłoszeniach i braku reakcji ze strony osób odpowiedzialnych za naprawy. Zasugerował, że nie była to pierwsza tego typu sytuacja: „dyżurny ruchu powinien pójść, sprawdzić, jaki jest stan tego rozjazdu… no ale on poszedł raz, drugi, piąty, dziesiąty, wszystko było dobrze". Mówił też o nagminności usterek, która uśpiła czujność dyżurnych ruchu i o użyciu „radio-stopu" przez maszynistę „Matejki", nie wspomniał jednak o nieprawidłowo ustalonym kanale w jego radiotelefonie.

W dalszej części filmu znowu biegły Ryszard Kępka falsyfikował rzeczywistość, twierdząc, że „dyżurna ruchu w Sprowej, pomimo dwukrotnego zapytania dyżurnego ruchu ze Starzyn, widząc zajętość odcinka toru numer jeden – na czerwono – powinna zapytać przez radiotelefon tego maszynistę, który zbliżał się do niej: po którym torze pan faktycznie jedzie? U mnie wykazuje, że pan jedzie po torze numer jeden, a nie po torze numer dwa – o czym przekonywał ją cały czas, błędnie, dyżurny ruchu z posterunku Starzyny". Z tej całej wypowiedzi prawdziwe są jedynie ostatnie słowa. Nie było dwukrotnych zapytań, a żaden regulamin nie wskazuje, że dyżurny w takiej sytuacji powinien kontaktować się w tej sprawie z maszynistą. Wreszcie inż. Kępka skonstatował: „Mimo wszystko dała polecenie wyświetlenia sygnału zastępczego. Także to jest… rażące". Podsumował też zachowanie Andrzeja N., twierdząc, że gdyby „obserwował koniec pociągu wyjeżdżającego na szlak, nie mógłby się nie zorientować, że ten pociąg jednak nie pojechał torem numer dwa, tylko pojechał torem numer jeden".

Leszek Miętek kontynuował wątek dyżurnego ze Starzyn, wspominając o incydencie z błędnym wyprawieniem pociągu dzień wcześniej i o braku konsekwencji tego zdarzenia. Poruszył też temat braku prawidłowej autoryzacji pracowników i niedostatecznej znajomości nowych urządzeń. Na dwie minuty przed końcem filmu dodał: „Jeżeli chodzi o największe katastrofy kolejowe w Polsce, to odpowiedzialni są tylko pracownicy z podstawowych stanowisk pracy – albo dyżurny ruchu, albo maszynista – i to dotyczy też tej jednej z największych katastrof kolejowych pod Szczekocinami. Tam nikt nie wziął odpowiedzialności za to, że był zły rozjazd, który miał usterki. Nikt nie wziął odpowiedzialności za to, że nie zgłoszono w odpowiednim czasie tych usterek do naprawy. Nikt nie odpowiedział za to, że dyżurni ruchu byli bez autoryzacji po zmianie systemu pracy na tej nastawni. Pociąga się do odpowiedzialności tylko i wyłącznie tych z podstawowych stanowisk".

Temat szerszej odpowiedzialności urywa się tak samo szybko, jak się zaczął. Głos z offu mówi o wyrokach dla Andrzeja N. i Jolanty S., podlicza ofiary i straty pieniężne.

Po burzy

Kiedy piszę te słowa, Andrzej N. nadal odbywa zasądzoną karę. O przedterminowe warunkowe zwolnienie będzie mógł się ubiegać w drugiej połowie 2022 r.

Adam R., naczelnik sekcji eksploatacji Włoszczowa Północ, jest na emeryturze. Jego zastępca, Jan Muszyński, zmarł kilka lat temu. Druga zastępczyni, Helena W., wywalczyła w sądzie przywrócenie do pracy. Jest starszą specjalistką do spraw infrastruktury pasażerskiej w kieleckim zakładzie linii kolejowych.

Krzysztof Krawiec, naczelnik sekcji eksploatacji Sędziszów, w 2013 r. został pełniącym obowiązki dyrektorem zakładu linii kolejowych w Kielcach. W 2018 r. odwołano go z tego stanowiska, został naczelnikiem sekcji eksploatacji w Kielcach. We wrześniu 2020 r. ponownie awansował, tym razem na stanowisko zastępcy dyrektora kieleckiego zakładu linii kolejowych. Mniej więcej w tym samym czasie dyżurni ruchu otrzymali wewnętrzne zarządzenie o zakazie rozmów na temat katastrofy z 3 marca 2012 r.

Adam Młodawski nie pracuje już w PKP Polskich Liniach Kolejowych. Jest członkiem zarządu jednej ze świętokrzyskich spółek zajmujących się produkcją kotłów centralnego ogrzewania. Nie chciał rozmawiać na temat katastrofy. Przez telefon powiedział mi, że to za wcześnie, „emocje związane z tym tematem wciąż są żywe".

Marek Fiutak, dowódca akcji ratowniczej, w 2017 r. przeszedł na emeryturę w stopniu starszego brygadiera. Kierownik pociągu Paweł Ważny i konduktor Zdzisław Myszor nadal pracują w PKP Intercity.

Pociąg TLK 31100 do grudnia 2021 r. kursował o tej samej porze, potem przesunięto go o godzinę później. Teraz nosi nazwę „Malinowski" – od nazwiska Ernesta Malinowskiego, inżyniera kolejowego, budowniczego kolei w Peru i Ekwadorze. W sierpniu 2015 r. Przewozy Regionalne przestały uruchamiać komercyjne pociągi marki interREGIO.

Fragmenty książki Bartosza Jakubowskiego *Zderzenie czołowe. Historia katastrofy kolejowej pod Szczekocinami*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2022

eprasa.pl 28ebe4ac71

Puszenie się

Niemal każdego dnia trzeba o honor walczyć, a przynajmniej baczyć, czy ktoś nie dokonuje na niego zamachu

Piotr Kimla

Czas wakacji pozwala na oderwanie się od dawno oswojonych przestrzeni. Sprzyja to poprawie samopoczucia. Wakacyjny wyjazd oznacza jednocześnie porzucenie na chwilę swoich kręgów towarzyskich, „konfrontację" z nieznanymi wcześniej współobywatelami. Daje to do myślenia. Zmusza do zastanowienia się nad nami, czyli społeczeństwem o chłopskich korzeniach z silnym i stale utrzymującym się wpływem obyczajowości szlacheckiej.

Na urlopy najczęściej udajemy się samochodem, a w związku z tym nietrudno się zetknąć z pełnym „fantazji", szlacheckim warcholstwem rodaków za kierownicą. Następuje to jakieś pięć minut po rozpoczęciu podróży. Ciekawe, że mitygującego wpływu na rozszalałych kierowców pieniaczy nie wywierają małżonki, bo o mitygowaniu się ze względu na jadące na tylnej kanapie dzieci nie ma mowy. Czy jednak Polki nie są zanurzone w chłopsko-szlacheckim amalgamacie i nie nauczyły się w tzw. procesie socjalizacji, że brawura musi się im podobać? Mogą zatem powziąć podejrzenie albo co najmniej zadać sobie pytanie, czy kierowca prowadzący ostrożnie to czasem nie kiep.

Honor to cecha konstytutywna Polek i Polaków.

Nonszalancki stosunek do reguł utrudnia życie w Polsce w każdej dziedzinie. Wydawałoby się jednak, że powinny one być przestrzegane przynajmniej tam, gdzie ich lekceważenie można przypłacić życiem. Mam marzenie, które nigdy się nie spełni: chciałbym, aby każdy Polak chociaż raz w życiu z sympatią, a nawet pietyzmem, pomyślał o zbiorze reguł zwanym kodeksem drogowym. Pomyślał mniej więcej tak: jakie to wspaniałe, że dzięki istnieniu zespołu reguł ruchu drogowego przejeżdżam bezkolizyjnie w trakcie życia setki tysięcy kilometrów. Czy reguły te nie są wobec powyższego czymś godnym poszanowania?

Jeśli mamy szczęście, docieramy do celu podróży. I wtedy się zaczyna. Rywalizacja na ważność, czyli puszenie się. Kapitalnie w latach 30. minionego wieku opisał to Witkacy w „Niemytych duszach" (rozejrzyjcie się, Państwo, i odpowiedzcie sobie, czy coś w tej kwestii się zmieniło): „Każdy Polak ma tendencje do wspinania się, choćby na palcach, aby wydać się wyższym, i do tworzenia sobie tego, co nazywam kołpakiem napuszenia – sztucznej nadbudówki ponad siebie, pustej a dekoracyjnej, mającej omamić drugich co do istotnej wartości głowy, która się pod tym kołpakiem kryje. (...) Wieczne niezadowolenie i wieczne nadęcie ponad możność i życie ponad stan fizyczne i poniekąd duchowe, jeśli chodzi o poczucie ważności i władzy, stało się zasadniczym rysem psychicznym każdego niemal Polaka". Rywalizujemy, tak jak kiedyś szlachta, na tzw. blichtr. Oczywiście blichtrem nie są dziś już konie czy węgrzyn, którego nasza magnateria sprowadzała niesamowite ilości za ogromne sumy. Teraz to samochody, którymi dotarliśmy na urlopy, pieniądze, bo zapominamy, że dżentelmeni o nich nie rozmawiają, „ciekawość" życia,

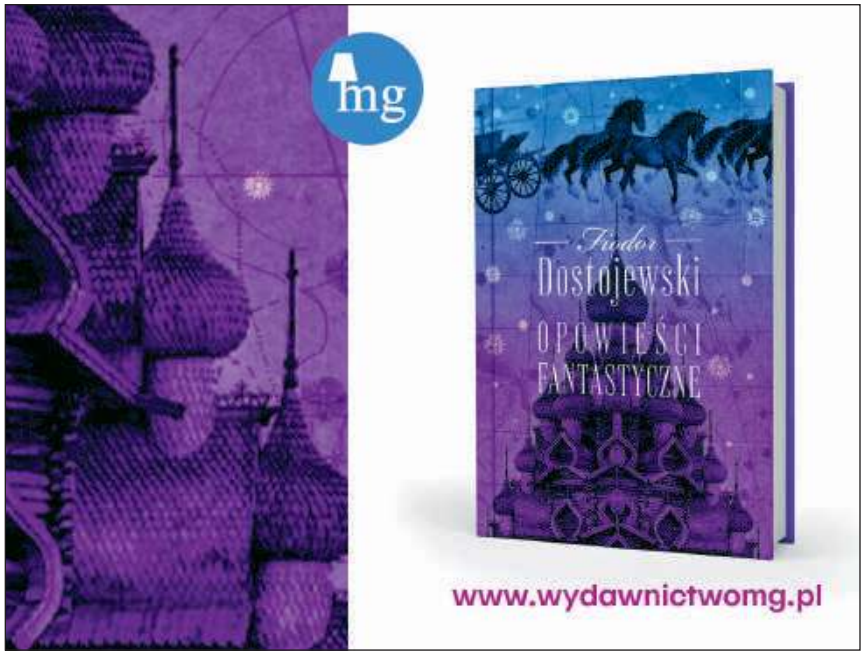

eprasa.pl 28ebe4ac71

czego dowodem nieustanne zamieszczanie relacji na Instagramie, Facebooku i nie wiem gdzie jeszcze. Przede wszystkim jednak wpływy i znaczenie. Wypada zastanowić się, skąd to w nas się bierze. Skąd brak struktury w naszej kulturze, niepozwalający na dojrzałe „uznanie się w jestestwie swoim", jeśli wolno pożyczyć frazę od Maurycego Mochnackiego? Skąd rozkład dyscypliny wewnętrznej, pozbawiający myśl oryginalności i skazujący na imitatorstwo? Skąd niemoc zbudowania przeświadczenia o własnej wartości bez uciekania się do kompulsywnych i infantylnych prób imponowania innym?

Gdybym miał wskazać tylko jedno źródło, choć sprawa jest skomplikowana, wybrałbym honor jako cechę konstytutywną Polek i Polaków. Budowanie wyobrażenia o sobie i swojego jestestwa na honorze może się wydawać bardzo szlachetne i oczywiście szlacheckie, ale przysparza wielu kłopotów. Dlatego, że honor jest czymś chwiejnym. W społeczeństwach zachodnich źródłem poważania, respectability, jest dobrze wykonywana praca w danej dziedzinie, podzielanie wspólnego systemu wartości, podobne odczuwanie problemów i podobne na nie reagowanie. Kategoria ta jest w miarę stabilna, tak że raz osiągnięte respectability trudno utracić. Inaczej sprawy się mają z honorem.

Honor to kategoria labilna. Niemal każdego dnia i na każdym kroku trzeba o honor walczyć, a przynajmniej baczyć, czy ktoś nie dokonuje na niego zamachu. Szczególnie gdy znajdujemy się w nowych okolicznościach. Sądzę, że w dużym stopniu buduje to napięcie, komplikuje i zakwasza stosunki międzyludzkie w polskim społeczeństwie. Ta dziecinna walka między nami na blichtr, nieustanne podkreślanie własnej ważności, ma nas koniec końców zabezpieczyć przed narażeniem się na dyshonor. Dyshonorem dzisiaj może się okazać nie najmodniejsze ubranie, stąd konieczność nieustannego inwestowania w garderobę, choć jest to nieekologicznym absurdem, bo nasze szafy pękają w szwach. Dyshonorem może być – w sezonie zimowym – nie najmodniejszy sprzęt narciarski, który, choć doskonały, trzeba w związku z tym wymienić na nowy. Dyshonorem wreszcie może być świadczenie jakiejkolwiek usługi. Stąd się biorą u nas przykładowo obrażeni na cały świat kelnerzy, celujący – w swojej wyobraźni – w etat prezydenta czy premiera, a tylko chwilowo i niechętnie kelnerujący. Stąd generalnie niski poziom usług w Polsce, pomimo nieraz bardzo wysokich cen.

Trzeba jednak przyznać, że czasem zdarzy się wśród nas człowiek grzeczny, to znaczy uważający na innych, człowiek delikatny w relacjach, nierozgadany, a wiele rozumiejący, dowcipny, a przy tym nie złośliwy, wewnętrznie przekonany o swojej wartości i niepotrzebujący nieustannie podkreślać swojej ważności. Człowiek dobrze ukształtowany. Chciałoby się wtedy przyznać rację Andrzejowi Bobkowskiemu, kiedy notował podczas podróży transatlantyckiej na statku „Jagiełło", że „jesteśmy narodem o głupich, irytujących wadach, przywarach i narowach, ale produkujemy ludzi w gatunku naprawdę rzadko spotykanym wśród innych". Taki napotkany skarb trzeba prędko wprowadzić do swojego kręgu towarzyskiego i cieszyć się, że ktoś taki istnieje. Cieszyć się długo po tym, gdy wrócimy z urlopu.

Walka o honor w dużym stopniu komplikuje i zakwasza stosunki międzyludzkie w polskim społeczeństwie.

Prof. UJ dr hab. Piotr Kimla jest pracownikiem Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego

KSIĄŻKI

Prawnokarne i medyczne aspekty zaniechania szczepień dzieci
Redakcja naukowa Stanisław Hoc, Dariusz Mucha
Wydawnictwo Arche, Sopot 2021

Opracowanie zawiera wybrane materiały z II Interdyscyplinarnej Konferencji Naukowej pod tym samym tytułem, która odbyła się w 2019 r. w Opolu. Wśród tekstów w publikacji znalazł się także artykuł dziennikarki „Przeglądu" Beaty Igielskiej, „Zlinczuj lekarza, nie zaszczep dziecka".

Stefan Rusin
Dziennik artysty 1970-2020
Wydawnictwo Setidava, Konin 2021

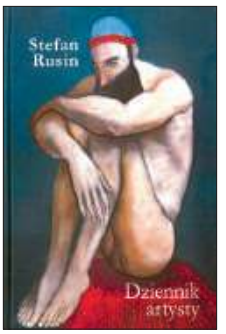

Pisarz, poeta, malarz i rysownik, którego prace mogliśmy oglądać na licznych wystawach w całym kraju, zebrał w jednym tomie kilka dekad życia swojego i swojej rodziny. A jest ono niezwykle barwne, obfitujące w ciekawe wydarzenia, wynurzenia i spotkania. Starannie wydaną książkę wzbogacają prace plastyczne autora.

Józef Stanisław Kmieciak
Potoczność
Oficyna Wydawnicza VARIA, Łódź 2021

Autor, rocznik wojenny, mieszkający w Łodzi prozaik i satyryk, który przez lata współpracował z tygodnikiem „Szpilki", przedstawia kolejny zbiór swoich aforyzmów. Tematy podpowiedziało samo życie.

eprasa.pl 28ebe4ac71

ZWIĄZKI ZAWODOWE a migracja w Polsce

Związki zawodowe stoją przed pytaniem, kogo chcą reprezentować: polskich pracowników czy pracowników pracujących w Polsce

Katarzyna Słubik

Załogi w polskich zakładach pracy są coraz bardziej zróżnicowane pod względem narodowości, religii czy języka. Nasilające się ruchy migracyjne wzmagają obawy pracowników krajowych przed pogarszaniem się warunków pracy na skutek napływu pracowników gotowych zgodzić się na niższe standardy zatrudnienia. Jednocześnie pod wpływem globalnych nacisków ekonomicznych polski rynek pracy coraz wyraźniej dryfuje w stronę prekariatu, co łączy się z rozluźnieniem tradycyjnej więzi między pracownikiem a pracodawcą. Nowi przybysze niemal automatycznie zasilają szeregi pracowników czasowych, a ze względu na barierę językową, nieznajomość prawa i brak wsparcia częściej niż pracownicy polscy padają ofiarą wyzysku i nadużyć.

Związki zawodowe stoją przed poważnym pytaniem, kogo w istocie chcą reprezentować: polskich pracowników czy pracowników pracujących w Polsce.

Pracownicy migrujący w Polsce

Od czasu wejścia Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. coraz większa liczba obywateli tzw. krajów trzecich (czyli spoza państw członkowskich UE) wykazuje zainteresowanie podjęciem pracy zarobkowej w Polsce. Od 2016 r. więcej osób do kraju przyjeżdża, niż z niego wyjeżdża. Od roku 2020 zdecydowanie przodujemy w UE w zakresie liczby zezwoleń na pobyt czasowy wydawanych obywatelom krajów trzecich (co roku ok. 600 tys. zezwoleń).

Liczbowo przeważają przybysze z Ukrainy, ale coraz częściej o zatrudnienie w Polsce ubiegają się obywatele Białorusi, Indii, Uzbekistanu czy Filipin. W związku z tym liczba zezwoleń na pracę także stale rośnie, z wyjątkiem pandemicznego roku 2020; w 2021 r. wyniosła ponad 504 tys.

Krajobraz migracji do Polski zmienił się dramatycznie po ataku Rosji na Ukrainę. W ciągu pierwszych trzech miesięcy inwazji przybyło do Polski ponad 3,5 mln osób uciekających przed zagrożeniem wojennym. Przeważająca większość to kobiety i dzieci. Przyszłość pokaże, w jaki sposób wojna w Ukrainie wpłynie na polski rynek pracy. Nie ulega wątpliwości, że przez najbliższe lata coraz więcej polskich pracowników będzie spotykać w swoich zakładach pracy współpracowników o odmiennej narodowości czy kolorze skóry, mówiących innym językiem ojczystym.

Pracownicy migrujący mierzą się z wieloma trudnościami na rynku pracy: mają problemy z uznaniem kwalifikacji uzyskanych za granicą, z konieczności polegają na usługach pośredników, ponieważ nie znają w wystarczającym stopniu języka ani polskiego prawa. Doświadczają również – obok nierównego traktowania ze względu na płeć, wiek czy niepełnosprawność – dyskryminacji ze względu na narodowość, wyznanie, kolor skóry, rasę lub pochodzenie. Częściej niż pracownicy lokalni pracują dłużej i za niższe wynagrodzenie, mają mniejszą pewność co do stabilności zatrudnienia, częściej też są oszukiwani przez pracodawców przy wypłacie wynagrodzenia ze względu na mniejsze prawdopodobieństwo, że wstąpią przeciw nim na ścieżkę sądową. Pracodawcy rzadziej też dbają o bezpieczeństwo i higienę pracy zatrudnianych cudzoziemców. Niektóre przestępstwa na rynku pracy dotyczą głównie migrantów – są to handel ludźmi i praca przymusowa. Ich wykrywanie jest niezwykle trudne ze względu na izolację i brak motywacji pracowników do zgłaszania takich przestępstw, dlatego statystyki nie oddają obrazu tego zjawiska. Stosując jednak metodologię szacunkową wypracowaną przez Międzynarodową Organizację Pracy i Międzynarodową Organizację ds. Migracji, ocenia się, że w Polsce te zjawiska mogą dotyczyć nawet 128 tys. osób.

Dla wytrwałych, czyli legalizacja pracy i pobytu w Polsce

Przyjeżdżający do Polski obywatel Unii Europejskiej może swobodnie podejmować zatrudnienie na takich samych warunkach jak obywatele Polski, tj. bez konieczności dopełniania jakichkolwiek formalności. Obywatel tzw. kraju trzeciego, jeśli chce w Polsce legalnie przebywać i pracować, musi natomiast spełnić szereg warunków. Czym zatem różni się sytuacja pracownika cudzoziemskiego od Polaka lub obywatela UE?

Praca tylko za specjalnym zezwoleniem. Co do zasady cudzoziemiec może wykonywać pracę tylko po uzyskaniu **1)** specjalnego zezwolenia na pracę lub **2)** oświadczenia pracodawcy o powierzeniu pracy cudzoziemcowi, które ma być zarejestrowane w urzędzie pracy (w przypadku obywateli Ukrainy, Białorusi, Mołdawii, Gruzji, Rosji i Armenii). Jeśli cudzoziemiec jednocześnie chce zalegalizować swój pobyt w Polsce, może

eprasa.pl 28ebe4ac71

wystąpić o **3)** jednolite zezwolenie na pobyt i pracę. Jak sama nazwa wskazuje, w takiej procedurze decyduje się łącznie zarówno o prawie do pobytu cudzoziemca w Polsce, jak i jego prawie do pracy. Praca wykonywana bez posiadania jednego z trzech wymienionych zezwoleń jest nielegalna. Na zasadzie wyjątku bez zezwolenia mogą pracować tylko niektóre grupy cudzoziemców: małżonkowie obywateli polskich, studenci i absolwenci polskich uczelni, cudzoziemcy, którzy posiadają stały pobyt w Polsce, itd.

Pracodawca gospodarzem procesu legalizacji pracy. Zarówno o wydanie zezwolenia na pracę, jak i o rejestrację oświadczenia o zamiarze powierzenia pracy cudzoziemcowi wnioskować może tylko pracodawca. Oznacza to, że od niego zależy legalność pracy pracownika, a ubiegający się o pracę cudzoziemiec jest od przyszłego pracodawcy, jako gospodarza procesu legalizacji, całkowicie zależny. Na przykład w przypadku opieszałości pracodawcy cudzoziemiec nie może we własnym imieniu wystąpić o zezwolenie na pracę. Choć o zezwolenie na pobyt i pracę ubiega się sam pracownik, to jednak do wniosku powinien dołączyć kilka stron formularza wypełnionego i podpisanego przez pracodawcę. A więc i w tym przypadku współdziałanie ze strony pracodawcy jest niezbędne.

Konkretna praca, konkretny pracodawca. Wymienione dokumenty uprawniające do pracy w Polsce dotyczą zatrudnienia u konkretnego pracodawcy, na określonym stanowisku i za określone wynagrodzenie. Jeśli posiadający zezwolenie na pracę u pracodawcy A pracownik zostanie zwolniony i podejmie pracę u pracodawcy B bez uzyskania nowego pozwolenia lub zmiany obecnie posiadanej decyzji, jego praca będzie uznana za nielegalną. Z tego względu w interesie pracownika jest utrzymanie jak najdłuższego zatrudnienia u jednego pracodawcy (ale też np. w jednej agencji pracy tymczasowej), ponieważ zmiana miejsca pracy pociąga za sobą szereg formalności.

Test rynku pracy. Co do zasady, pracodawca może zatrudnić pracownika migrującego dopiero po wykazaniu, że nie jest możliwe zatrudnienie na to miejsce osoby bezrobotnej zarejestrowanej w urzędzie pracy właściwym dla miejsca wykonywania pracy. W terminie 14 dni urząd pracy sprawdza, czy na oferowane miejsce pracy nie znajdzie w swoich rejestrach obywatela polskiego lub cudzoziemca posiadającego w Polsce jeden z rodzajów nieograniczonego w czasie prawa pobytu (np. pobyt stały, status uchodźcy).

Niewydolność administracji. Cudzoziemiec – aby móc pracować w Polsce – musi zatem uzyskać od organów administracji określone pozwolenie. Odkąd liczba cudzoziemców w Polsce rośnie, polskie urzędy, których kadry nie powiększają się w porównywalnym tempie, mają duży problem z terminowym wydawaniem decyzji administracyjnych. Szybkiego załatwiania spraw nie ułatwia również skomplikowane, bardzo formalistyczne i podlegające częstym zmianom prawo. Rezultatem są poważne opóźnienia w procedowaniu wniosków.

Inspekcja pracy – przyjaciel czy groźny nadzorca? Dla pracownika polskiego oczywiste jest, że w razie naruszenia jego praw pracowniczych może złożyć skargę do Państwowej Inspekcji Pracy. Pozostawiając na marginesie zastrzeżenia co do nie zawsze wysokiej skuteczności inspektorów pracy, co wynika głównie z wieloletniego niedofinansowania PIP i ograniczonych ustawą uprawnień, nie mamy na ogół wątpliwości, że polski pracownik inspekcji się nie obawia i wiąże z jej interwencją nadzieję na poprawę warunków pracy. Inaczej wygląda sytuacja w przypadku pracownika migrującego. PIP, poza standardowymi działaniami na rzecz cudzoziemców jako pracowników, posiada bowiem uprawnienia do kontroli legalności ich pracy, a pośrednio także pobytu. Wykrycie w trakcie kontroli, że pracownik migrujący wykonuje pracę nielegalnie, może nie tylko skutkować nałożeniem na niego grzywny, ale też spowodować znacznie dalej idące konsekwencje. Inspekcja, na podstawie specjalnego porozumienia ze Strażą Graniczną, przekazuje jej informację o pracowniku; niekiedy kontrole PIP dokonywane są wspólnie z funkcjonariuszami SG. Nielegalne wykonywanie pracy jest podstawą do wydania cudzoziemcowi decyzji o zobowiązaniu do powrotu, co oznacza, że musi on dobrowolnie w wyznaczonym terminie opuścić Polskę, a jeśli tego nie zrobi, zostanie deportowany.

Zakaz wjazdu – poważna konsekwencja drobnego naruszenia. Po opuszczeniu Polski cudzoziemiec zostaje objęty zakazem wjazdu do Polski i innych krajów obszaru Schengen, obowiązującym przez okres od sześciu miesięcy do pięciu lat (w zależności od tego, jaki termin zakreślono w decyzji). Tego rodzaju kara nie zawsze jest proporcjonalna do przewinienia, ponieważ nielegalne wykonywanie pracy może być spowodowane różnymi okolicznościami, a nie tylko umyślną strategią pracownika. Przede wszystkim może wynikać z niedopatrzenia pracodawcy, z jego złej woli czy z trudności w zrozumieniu niezwykle skomplikowanego prawa o zatrudnianiu cudzoziemców.

Niniejszym artykułem chcemy zapoczątkować dyskusję na temat zaangażowania polskich związków zawodowych w walkę o prawa pracowników migrujących. Mamy nadzieję, że już w niedługiej przyszłości pojawi się więcej nie tylko podręczników, ale i badań naukowych czy programów pilotażowych, które wzbogacą wiedzę nas wszystkich o tym szczególnym obszarze życia społecznego na styku związkowości, rynku pracy i migracji.

Katarzyna Słubik jest prezeską Zarządu Stowarzyszenia Interwencji Prawnej

Artykuł powstał jako część publikacji „Związki zawodowe i migracja. Wskazówki i narzędzia do opracowania modelu godnej pracy dla wszystkich" w ramach projektu Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych „SIDA – Zrównoważona, integracyjna i godna praca dla wszystkich". Projekt realizowany ze wsparciem Norwegii poprzez Fundusze Norweskie 2014-2021, w ramach programu „Dialog społeczny – godna praca". **Więcej informacji na stronie projektu: sida-project.pl.**

eprasa.pl 28ebe4ac71

Mówię, więc jestem

Jeszcze chwila i staniemy się społeczeństwem bezdotykowym, bo dotyk zaczyna nam się kojarzyć już tylko ze złem

Rozmawia Artur Zaborski
Korespondencja z Locarno

W jaki sposób znalazła pani dzieci sportretowane w „Pisklakach"?

– Przypadkowo trafiłam do szkoły dla dzieci niewidomych. Szłam korytarzem w zamieszaniu typowym dla przerwy między zajęciami. Starsze dzieci poruszały się po nim na pamięć, znały już dobrze szkolną przestrzeń. Ale był tam także strumyczek nieporadnych maluchów z pierwszej klasy, które nie wiedziały, dokąd pójść. Nauczycielka powiedziała: „Teraz zaprowadzę was do internatu" i to zdanie mnie zatrzymało. Internat oznacza przecież nocowanie w szkole, rozłąkę z rodzicami. Dzieci niewidome trafiają w obcą ciemność i przestrzeń wypełnioną nieznanymi głosami i ludźmi. Wszystko to musi potęgować ich uczucia.

Domyślała się pani, jak niewidome dzieci reagują na takie wyzwania?

– Kiedy stajemy w życiu przed jakimś wyzwaniem, zazwyczaj następuje w nas mobilizacja. W końcu jakoś musimy dać sobie radę. Założyłam, że w tych dzieciach musi się pojawiać niezwykła siła, czyli coś, czego szukam w swoich bohaterach. Przypuszczałam, że będą sobie budować nowy mikroświat w miejsce wcześniejszego, bezpiecznego i rodzinnego, gdzie w panującej ciemności wszystko było oswojone: dźwięki, głosy, pojawiający się ludzie. Będą musiały zbudować nowe relacje z osobami ze szkoły i internatu. Pomyślałam, że najsilniejsze więzi dzieci stworzą między sobą, ponieważ połączy je współodczuwanie.

W filmie oglądamy Zosię, Oskara i Kingę. Jak pani wybrała bohaterów?

LIDIA DUDA
– reżyserka filmowa

– Szukałam wśród dzieci, które dopiero pójdą do szkoły, takich z potencjałem, które będą miały coś do zaoferowania ze swoich wewnętrznych przeżyć. Zosia jest pełna fantazji, lubi śpiewać, kreować nieistniejące światy i ma potrzebę rozmów. Od początku była niezwykle interesująca. Oskar z kolei jest zamknięty w sobie, nieco spłoszony. Dlatego założyłam, że będzie szukał silnej osobowości i Zosia będzie dla niego wymarzoną szkolną towarzyszką. Kinia jako jedyna była słabowidząca, niezależna. Mogła ich wspomóc, być dla nich przewodniczką. Dostałam w prezencie od losu wymarzone trio.

Raczej ma pani dobrą intuicję, potrafi „czytać" ludzi.

– To są podstawy tworzenia filmów dokumentalnych. Trzeba wyczuwać ludzki potencjał i kolorowe postacie. Wiedzieć, kto rozkwitnie przed kamerą, jeśli stworzy mu się odpowiednie warunki. A moją silną stroną jest to, że potrafię budować dobre, bliskie relacje z moimi bohaterami.

Z niewidomymi dzieciakami też pani taką relację zbudowała. Ale co potem, gdy skończyła pani kręcić?

– Zawsze trzeba mieć świadomość czasu, który nastąpi po zakończeniu zdjęć, tego, że dokumentalista odchodzi. Zaufanie dzieci było niezbędne, musiały zaakceptować ekipę i mieć pewność, że kiedy coś powiem, to tak będzie, a jeżeli o coś poproszą, dotrzymam słowa. Ale nie mogłam przekroczyć granicy. Nie mogłam się zaprzyjaźnić z nimi na tyle, żeby moje zniknięcie wywołało u nich poczucie straty. Musiałam zachować równowagę pomiędzy zaufaniem a dystansem. Ucięcie bliskiej relacji jest dla dziecka krzywdą. Zawsze utrzymuję kontakt z bohaterami i w przypadku filmowych pisklaków nie jest inaczej, ale jest on taki, jaki powinien być. Rozsądnie wyważony. I tak jest w porządku.

Pani film przywraca wiarę w system edukacji w szkołach dla dzieci z niepełnosprawnościami. Nauczycielki są cierpliwe, ale wymagające. Rzeczywiście takie osoby uczą w ośrodkach?

Lidia Duda – dokumentalistka, w filmach skupia się na bohaterach, którzy dla większości społeczeństwa pozostają niewidzialni. Jej dokonania były nagradzane na festiwalach w kraju i na świecie, m.in. w Pradze („Uwikłani") i w Moskwie („Herkules"). Film „Pisklaki" zdobył nagrodę Marca Zucchiego na zakończonym właśnie festiwalu w Locarno.

eprasa.pl 28ebe4ac71

– Siła tej szkoły polega na tym, że pedagodzy doskonale wiedzą, czego dziecko potrzebuje. Co zrobić, żeby mogło rozwinąć skrzydła, a potem samodzielnie funkcjonować. Te dzieci nie potrzebują litości i współczucia, lecz konkretnych zadań do wykonania i stawiania im coraz większych wymagań, którym mogą sprostać. A przynajmniej próbować. Dziecko ma zawalczyć o siebie. Dlatego nikt nie stosuje wobec niego taryfy ulgowej na zasadzie „nie chce ci się – nie robisz". W dzieciach buduje się poczucie obowiązku. Najlepsze jest podejście, które nie opiera się na współczuciu. Bo współczucie nic nie daje osobom z niepełnosprawnościami.

Kadry z filmu „Pisklaki".

Raczej im szkodzi. Wprowadza negatywne emocje.

– Dodatkowo niczego od nich wówczas nie oczekujemy. Dziecko jest niewidome i kropka, to zdanie je definiuje. Może siedzieć cicho, nie musi nic robić. Jest postrzegane jako inne, słabsze. A ono nie jest inne! Ma trudniej, owszem, ale to ogromna różnica. Mnie nie interesowała niepełnosprawność moich dziecięcych bohaterów. „Pisklaki" miały opowiadać o tym, co jest wspólne dla wszystkich – o budowaniu relacji i bliskości. O tym, co daje nam drugi człowiek. O wsparciu, które dostajemy w sytuacjach kryzysowych. Film jest osadzony w świecie emocji, który się nie różni u osób pełnosprawnych i niepełnosprawnych.

Wszyscy mamy te same potrzeby.

– Dlatego interesowały mnie po prostu dzieci. Fakt, że są niewidome, oznaczał tyle, że znajdują się w specjalistycznej szkole i będą musiały włożyć więcej wysiłku w swoje osiągnięcia.

Podczas seansu zapominałem, że oglądam niewidomych. Niepełnosprawność rzeczywiście nie definiuje pani bohaterów, jest tylko jedną z cech, które posiadają.

– Poszukiwałam tego, co nas łączy. Żyjemy w świecie osób o różnorodnych poglądach politycznych, wypełnionym konfliktami i wojnami. Mamy przeciwników, wrogów i przyjaciół. Jestem więc złakniona tego, co daje nam siłę, by być razem. W końcu niezależnie od poglądów i preferencji mamy gdzieś wspólny kawałek ziemi. To my nadajemy sobie nawzajem kategorię „inne". Inny człowiek to człowiek niewidomy, człowiek o poglądach odmiennych niż nasze. Jak długo można się karmić takim myśleniem? Zamykamy się wtedy w bańce, odcinamy sobie dostęp do „powietrza" – odmienności, różnorodności, które są niebywale inspirujące.

Dzisiejsza poprawność nas zabije.

Dzielimy się na „nas" i „onych".

– Robimy to non stop. Świat byłby zdecydowanie lepszym miejscem, gdybyśmy nauczyli się bardziej współodczuwać, empatyzować. Gdybyśmy byli wrażliwsi na drugiego człowieka. Bo to my budujemy świat. Można zacząć od tych zmian w skali mikro, budować je małymi krokami, a one stworzą nam makro. Reszta jest abstrakcją i ideą. Uważam też, że wszystko, co postrzegamy jako wady – minusy, które sprawiają, że nie jesteśmy idealni – może być również początkiem czegoś nowego i zaskakująco nas wzbogacić.

Widać to w pani bohaterach.

– U Zosi sam fakt, że nie widzi, czyli wada, jakiś ubytek, uruchamia niesamowitą wyobraźnię. Brak rozwiniętego zmysłu wzroku dziewczynka uzupełnia fantazją. Oskar tę pustkę wypełnił muzyką. Ja całe życie byłam chorobliwie nieśmiała i dlatego opowiadam o innych, nie o sobie. Moja wada pokierowała moim wyborem. Nasze wady są w pewien sposób dobrodziejstwem, bo możemy je wypełnić czymś pięknym, jakąś formą twórczości, umiejętności, wrażliwości.

Dzieci niewidzące oglądają świat za pomocą dotyku. Bez skrępowania dotykają rozmówców: nauczycieli, rodziny, ale i obcych ludzi. Trudno sobie wyobrazić, żeby dzieci widzące miały taki fizyczny kontakt ze swoimi pedagogami. Dziś to źle widziane naruszanie granic.

Współczucie nic nie daje osobom z niepełnosprawnościami.

– Dzisiejsza poprawność nas zabije. Jeszcze chwila i staniemy się społeczeństwem bezdotykowym, bo dotyk zaczyna się nam kojarzyć już tylko ze złem, z czymś niewłaściwym. A przecież jest tak naturalny jak oddychanie. Przytulenie dziecka jest naturalne. Dotknięcie go w klasie bądź w świetlicy jest naturalnym sygnałem, który nadawaliśmy od wieków, aby zaznaczyć, że nie jesteśmy

FOT. AGNIESZKA KURYŁOWICZ DI GIROLAMO (3)

eprasa.pl 28ebe4ac71

dla siebie zagrożeniem. Dotyk to zmysł, jest wpisany w nasz odbiór zewnętrznego świata. Pozbawienie nas go wytworzy emocjonalną pustkę. „Pisklaki" opowiadają o tym, że potrzebujemy przytulenia, potrzebujemy drugiego człowieka i rozmowy. Tylko wtedy nasza dusza jest zdrowa. Potrzebujemy poczucia, że ktoś nas lubi. W filmie fraza „przytul mnie" pada non stop. Nawet chwila dotyku jest jak naładowanie baterii. Całą tą poprawnością, która wylewa się w dzisiejszych czasach, mówiącą nam, że nie możemy się dotykać, zapędzamy się w kozi róg. Ja przytulałam, będę przytulać i chcę być przytulana. Zły dotyk można bardzo łatwo rozpoznać, dlatego nie rozciągajmy go na całą sferę naszych kontaktów pozawerbalnych.

„Pisklaki" pokazują, że niewidome dzieci stwarzają swój świat poprzez słowa.

– Warto to podkreślić. Dla nich siłą są słowa. Mówię, więc jestem. Milczę – znikam. Cały czas żyją przecież w ciemności. Dlatego tak dużo mówią, cały czas nadają „sygnały". Ta cecha umacnia tych bohaterów emocjonalnie, dzięki niej dzielą się swoimi uczuciami. Nie mogą przecież zobaczyć naszej mowy ciała, uśmiechu czy smutku na czyjeś twarzy… Wszystko muszą obrazować słowem. Dlatego mój film jest tak bogaty w nazwane słowem emocje. Dla nas może to być przypomnieniem, jak bardzo uciekamy od nazywania swoich emocji. Jak rzadko mówimy wprost: „akceptuję", „kocham", „nie lubię"... W biegu pytamy siebie nawzajem, „co słychać", i odpowiadamy „OK". Pozbawiamy się emocjonalnego podejścia, nie wysyłamy sygnałów na zewnątrz.

Czego panią nauczył ten projekt?

– Po raz kolejny przekonałam się, że dziecięcy bohater jest bohaterem niebywale dojrzałym. Jest w nim emocjonalna czystość. Zapewne dlatego, że dziecko w swoim postrzeganiu świata nie nakłada kalki poprawności, naszych oczekiwań czy akceptowalnych preferencji. Przytula się, kiedy tylko chce, mówi, kiedy chce i co chce.

I buntuje się, kiedy chce.

– Dzieci nikogo nie udają, są po prostu sobą. Zaoferowały mi to, czego potrzebujemy tak samo jak one, czyli zupełne podstawy: relacje międzyludzkie, bliskość. Świadomość, jak ważne jest wsparcie i ukształtowanie w domu rodzinnym. Zosia, Kinga i Oskar to mali ludzie, zamknięci w dziecięcych ciałach. Kształtowanie nas jako ludzi zapewne odbywa się non stop, ale bardzo ważna jest baza. Otrzymałam od tych dzieci mnóstwo dobrej energii, ciepła. Pytanie, kto kogo przytulił bardziej, my pisklaki czy one nas. Myślę, że to my dostajemy od nich więcej. Ja znalazłam w ich świecie ukojenie.

Artur Zaborski

Kształtowanie nas jako ludzi odbywa się non stop, ale bardzo ważna jest baza.

W bieżącym numerze także:

Charles Perragin
W Rosji, więcej represji, mniej więźniów

Katarzyna Duda
Nie chcemy was tu

Agnieszka Kościańska, Michał Petryk
Czy Polacy są biali?

Mizubayashi Akira
„Niewolniczy język" i uległe społeczeństwo

Do nabycia w salonach prasowych empiku
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa"
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Rosario Giuliani Quartet and Luciano Biondini – Cinema Italia

Dla miłośników jazzu i włoskiego kina wyjątkowy koncert na pożegnanie tegorocznej odsłony festiwalu. W programie „Cinema Italia" tematy filmowe takich mistrzów jak Ennio Morricone i Nino Rota w reinterpretacjach wybitnych włoskich jazzmanów. Liryzm i oryginalne spojrzenie w improwizacji jazzowej najwyższych lotów. Rosario Giuliani jest jednym z najznakomitszych współczesnych saksofonistów altowych, kompozytorem i liderem własnych zespołów. Luciano Biondini to jeden z nielicznych w Europie, obok Richarda Galliana, mistrzów akordeonu; swoją miłość do jazzu opiera na odniesieniach do włoskiej tradycji muzycznej. Więcej na: **www.jazznastarowce.pl.** *(ap)*

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 27 SIERPNIA, GODZ. 19

Rockowa Noc x Faine Misto

17. edycja Rockowej Nocy będzie przebiegać inaczej niż zwykle. Jej organizatorzy połączyli siły z ukraińskim festiwalem Faine Misto. Odbywająca się od 2013 r. w Tarnopolu impreza siłą rzeczy w tym sezonie musiała znaleźć bardziej przyjazne miejsce. W Rzeszowie na festiwalowej scenie oprócz folkmetalowców z fińskiego Korpiklaani wystąpią zespoły z Ukrainy i Polski. Ukraina będzie reprezentowana m.in. przez grupy Stoned Jesus, Karna, Ignea czy Space of Variations. Wśród polskich wykonawców zobaczymy takie legendy jak Dezerter, Proletaryat czy KSU. Wystąpią także Turbo, Riverside, Mr. Pollack. Dochód ze sprzedaży biletów w pierwszy dzień festiwalu oraz pieniądze z przeprowadzonej zbiórki zostaną przekazane na pomoc Ukrainie. *(rp)*

RZESZÓW, 26-28 SIERPNIA

NA EKRANACH

Wulkan miłości

reż. Sara Dosa, prod. USA/Kanada, już w kinach

Pióropusz dymu, słup ognia, niecka wypełniona lawą. Tuż obok kręcą się ludzie w srebrnych skafandrach. Wbrew pozorom to nie film science fiction, to nie kosmonauci, tylko Katia i Maurice Krafftowie. Przez ćwierć wieku stanowili parę najsłynniejszych wulkanologów świata, pasja do nieokiełznanej potęgi natury pchała ich w miejsca, gdzie inni bali się zapuszczać. Ciekawość była jednak silniejsza od strachu. Najbardziej aktywne wulkany oglądali i fotografowali z krawędzi krateru. Niestraszne im były pontonowe spływy po wulkanicznych jeziorach. Film Sary Dosy to misterna robota archiwalna, dziennik z podróży, dokument przyrodniczy, ale przede wszystkim love story o jedynym w swoim rodzaju trójkącie miłosnym. O miłości Krafftów do wulkanów i do siebie nawzajem. *Mateusz Demski*

BYLIŚMY

18. Festiwal Chopin i jego Europa, do 26 sierpnia

W Roku Romantyzmu przybył do Polski Fabio Biondi, entuzjasta Stanisława Moniuszki. Ze swoją orkiestrą przygotował na otwarcie festiwalu dwie kantaty: „Nijołę" i „Widma". Tej pierwszej nie znali nawet nasi muzykolodzy, więc było duże zaskoczenie. „Nigdy nie przypuszczałem, że odnajdę tak interesującego polskiego kompozytora, o którym nikt na świecie nie słyszał", powiedział Biondi. Koncertów można słuchać w Polskim Radiu lub oglądać je na kanale NIFC na YouTubie. *Bronisław Tumiłowicz*

MIĘDZY OKŁADKAMI

Lisa Gardner

Zanim zniknęła

tłum. Andrzej Szulc

Albatros, Warszawa 2022

Outsiderka, sarkastyczna, podróżująca z ciężkim bagażem doświadczeń, ale niewieloma rzeczami osobistymi – oto całkiem nowa bohaterka nakreślona z talentem przez Lisę Gardner, specjalistkę od frapujących postaci kobiecych, autorkę cyklu z bostońską detektyw D.D. Warren. Frankie Elkin nie jest policjantką, to ktoś, kogo gliniarze nie witają radośnie na swoim terenie. Amatorka, której udaje się to, co fachowcom się nie powiodło. Gdy policja zawodzi, Frankie – która nie ma nawet smartfona, za to potrafi zadawać właściwe pytania – podejmuje poszukiwanie zaginionych. Przyjeżdża do Bostonu odnaleźć haitańską nastolatkę – i pojawia się nadzieja, że zdąży ją znaleźć żywą. Barwne tło, nieco humoru, a zarazem melancholia, jaka otacza samotnych jeźdźców – bardzo obiecujący początek serii. A jeśli macie wyrzuty sumienia, że dla nowej dziewczyny w mieście zdradziliście detektyw Warren, już czeka świetne „Złap mnie". *Aleksandra Pańko*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. AGAINST GRAVITY, PAOLO SORIANI, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 28ebe4ac71

Pocałunek śmierci

W Berlinie zmarł rosyjski malarz Dmitrij Wrubel, autor namalowanego na murze berlińskim pocałunku Breżniewa i Honeckera

Krzysztof Piławski

Dmitrij Wrubel przy swoim dziele.

W okresie pierestrojki moskiewscy znajomi zaprowadzili mnie do jednopokojowego mieszkania młodego artysty, które zarazem było galerią. Prywatna galeria w ZSRR wydawała mi się czymś niezwykłym. W 1974 r. samorzutnie zorganizowaną w Moskwie plenerową wystawę rozjechały spychacze – do dziś jest ona znana jako wystawa spycharkowa. W Leningradzie pracownie malarzy organizujących niezależne wystawy podpalali nieznani sprawcy. W 1976 r. w tym mieście zginął w pożarze uczestnik moskiewskiej wystawy spycharkowej.

Większość obrazów właściciela galerii miała podtekst polityczny. Jeden z nich, zatytułowany „Rada weteranów", przedstawiał starych działaczy radzieckich z wykrzywionymi twarzami, ich głowy – niczym świętych – otoczone były aureolą. Dobrze pamiętałem rzędy portretów członków Biura Politycznego KC KPZR epoki Leonida Breżniewa wieszane na ulicach radzieckich miast z okazji ważnych rocznic lub wydarzeń. Byli na nich wyłącznie mężczyźni, najstarszy, Arvīds Pelše, współpracownik Lenina, urodził się jeszcze w XIX w. Te zestawy portretów nazywano ironicznie ikonostasami. Aureole na obrazie młodego malarza wydały mi się jak najbardziej na miejscu. Kupiłem „Radę weteranów", do dziś przechowuję ją w domu. Kilka lat później autor mojego obrazu, Dmitrij Wrubel, zyskał międzynarodową sławę „braterskim pocałunkiem" przywódców ZSRR i NRD – Leonida Breżniewa i Ericha Honeckera. Pozostaje on jedną z ikon Berlina.

Na początku prezydentury Władimira Putina głośny był kalendarz Wrubla „Dwanaście nastrojów prezydenta", składający się z portretów młodego wówczas rosyjskiego przywódcy, zapewniającego – jak w czasie wystąpienia w Bundestagu we wrześniu 2001 r. – o przywiązaniu do demokracji, wolności i woli budowy wspólnego europejskiego domu aż do Władywostoku. Jednak w Rosji rządzonej przez Putina Wrubel czuł się coraz bardziej skrępowany, m.in. nie mógł wystawiać wielkoformatowych prac na ulicy. W 2010 r. przeniósł się do Berlina.

Następnego dnia po śmierci Dmitrija Wrubla rosyjskojęzyczny portal Deutsche Welle po raz pierwszy opublikował wywiad przeprowadzony z nim w 2017 r. Malarz opowiadał o prześladującym go przez całe życie uczuciu strachu: „Urodziłem się w 1960 r., moja mama urodziła się na zesłaniu. (...) Od dzieciństwa byłem wychowywany w takim duchu, że trzeba się wszystkiego ślepo bać. (...) Kiedy widzę, że stosunkowo nowa władza kroczy tą samą drogą [co władza radziecka], od razu zgaduję, co będzie. Bo to wszystko już było. Ktoś całkowicie słusznie napisał, że Rosja żyje nie w przyszłości, ale w przeszłości, że trzeba stale patrzeć do tyłu". ■

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl 28ebe4ac71

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Odrze, na pożegnanie

Nad Odrą rzygało się, wracając po pijaku „z grobu Wojaczka". Bardzo ładnie i elegancko się rzygało, bo wystarczyło wychylić się za murek i paw lądował na samym brzegu, w krzakach, gdzie pozostawał gorzką tajemnicą. Murek przydawał się także na randkach, był z widokiem na wodę, na z rzadka przepływający statek pełen imprezowiczów, na mrugający po drugiej stronie Ostrów Tumski. Nad Odrą byliśmy bojowi. Między betonowymi wentylatorami na Wzgórzu Partyzantów zbieraliśmy się jako Anty Nazi Front, żeby roznosić antyfaszystowskie ulotki, ustawiać się na marsze i bójki ze skinami. Miałam 14 lat i to były ostatnie subkultury lat 90., wojny o naszywki, sznurówki – dobrze znaliśmy symbolikę kolorów.

Odra jest w języku, wierszach, powieściach i filmach. Taką żywą, stalową, a czasem promienną rzekę zapamiętamy.

Jako licealiści nad Odrą byliśmy patetyczni: czytając Céline'a na kocu z wielbłądem. Żółciejąc aż po końcówki włosów od tytoniu tak toksycznego, że przepalał srebro. Ogniska na wałach, puszczanie papierowych łódek. Wierszyki pisane w tramwajach, które jechały wzdłuż Odry i w których każdy porządny człowiek chociaż raz zgubił portfel i klucze.

Nad Odrą byłam też mała. Babcia Władka zabierała mnie tam zimą. Szłam z nawoskowanymi łyżwami przewieszonymi przez ramię. Z rękawiczkami na sznurku. Żeby nakarmić łabędzie albo odkryć ślizgawki pod śniegiem, na zamarzniętej tafli – niektóre niemożliwie długie. Obić tyłek, skręcić kostkę, przeziębić się na całe dwa tygodnie ferii.

Nad Odrą przyjmowałam wiedzę z logiki i antropologii – od profesorów, którzy lubili outdoor i piwo. Z notatnikami, łapiąc październikowe słońce. Najlepsze lekcje: nie pamiętam niczego oprócz koloru wody, smaku kefiru z koprem i waszych twarzy, przyjaciele z roku (ciekawe, gdzie teraz się podziewacie).

Nad Odrą był Klub Biznesmena – idealny rekwizyt do anegdot o pełzającym kapitalizmie lat 90. Udające coś miejsce dla snobów i borowików na dorobku. „Prawdziwych biznesmenów" tam oczywiście nie było. Za to studenci wpadali na afterek, potańczyć do Phila Collinsa i ponabijać się z facetów w garniakach.

Odra jest w mieście wszędzie, żyjemy tu nad rzeką i kanałami. Kiedyś we wrocławskim radiu nadawano program informacyjno-publicystyczny „Studio Odra". Dla starszych mieszkańców Wrocławia było to obowiązkowe audio! Z kolei w miesięczniku „Odra" załatwiano ważne sprawy nie tylko literackie, ale i polityczne – wychodzi on zresztą do dzisiaj, odświeżony przez „8. Arkusz Odry", który redakcja oddała młodym krytykom i badaczom – Marcie Koronkiewicz i Pawłowi Kaczmarskiemu.

Do dzisiaj istnieje także Odra-Film – instytucja, która zajmuje się prowadzeniem kin na terenie województwa dolnośląskiego i lubuskiego, produkcją filmów i organizacją festiwali. Odra jest więc również w języku, wierszach, powieściach i filmach. Taką żywą, stalową, a czasem promienną rzekę zapamiętamy.

Teraz jest wielką, toksyczną tubą, rozlaną między mostami trumienną wyprawką dla ryb. Będzie powoli się goić. I może pewnego dnia wróci czarna czapla, która stawała codziennie na kamieniu przy Bogusławskiego, a teraz zniknęła. Dobrze by było znów patrzeć na Odrę bezpieczną, zarybioną, żeby była otwarta na żer i oddychała sobie, dotleniona pod swoim gładkim, chłodnym pancerzem. Teraz łabędzie wybiorą pewnie wąską, ale jeszcze czystą Ślęzę, gdzie kąpie się wiele psów – małe rasy przy betonowym zejściu, większe po prostu tam, gdzie mogą jak najszybciej wejść do wody. A między nimi mój pies, który w takie dni jak dziś od rana cieszy się, że zaraz pójdziemy nad rzekę, bierze rozbieg, prostuje w powietrzu ogon i…

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Jeśli nie, można to zrobić na stronie tygodnikprzeglad.pl, podając swój adres e-mail lub dzwoniąc do redakcji, tel: 22 635 84 10 wew. 111.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

YouTube

eprasa.pl 28ebe4ac71

Mateusz Mazzini

POWRÓT wstydliwych schorzeń

Coraz więcej krajów rozwiniętych notuje wzrost zakażeń chorobami wenerycznymi

Do statusu pandemii czy nawet epidemii jeszcze im daleko, ale w medycznych raportach ministerstw oraz instytucji sanitarnych zaczynają się pojawiać z alarmującą regularnością. Choroby weneryczne, choć wielu mogą się zdawać raczej integralną częścią czasów minionych, a dzisiaj co najwyżej przedmiotem niewybrednych żartów – wracają. A tak naprawdę nigdy w pełni nie zniknęły, aczkolwiek przesadą byłoby stwierdzenie, że współcześnie sieją spustoszenie choćby zbliżone do żniw z XIX w. bądź czasów okołowojennych w minionym stuleciu. Nie zmienia to faktu, że w ostatnich kilkudziesięciu miesiącach Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Francja i kilka krajów azjatyckich zaczęły z niepokojem obserwować, jak rośnie liczba pacjentów, którym diagnozuje się zakażenie chlamydią czy wirusem HPV. A także mozolnie przypominać o podstawach higieny i zdrowia seksualnego.

Syfilis triumfuje

Analizę nowej fali chorób wenerycznych trzeba jednak zacząć od znacznie poważniejszej, czyli syfilisu. Niegdyś w Europie był nie tylko chorobą śmiertelną, ale wręcz polityczną, co miało nawet odzwierciedlenie w nazewnictwie medycznym. Zanim określenie syfilis przyjęło się bowiem powszechnie, w różnych częściach kontynentu schorzenie to nazywano od znienawidzonych narodów: np. dla Brytyjczyków była to „choroba francuska", z kolei dla Francuzów – „choroba neapolitańska". Błędnie nazywano też syfilis „chorobą elit", bo, jak podaje tygodnik „The Economist", w erze wiktoriańskiej kontakt z nim miało aż 8% populacji na Wyspach – znacznie więcej, niż stanowili możni, bogacze i arystokraci, nawet razem wzięci. Odsetek ten był wyższy, im dalej na południe – we Włoszech i w Hiszpanii były to liczby dwucyfrowe. Nie mówiąc o Nowym Świecie, bo do zamorskich posiadłości kolonizatorzy syfilis i inne choroby weneryczne zawieźli praktycznie od razu, dziesiątkując nimi lokalną populację.

Pod koniec ubiegłego stulecia wydawało się jednak, że syfilis dołączy do takich chorób jak polio, niegdyś masowych, wręcz cywilizacyjnych, teraz praktycznie zapomnianych. W 1999 r. w Wielkiej Brytanii zarejestrowano jedynie 415 przypadków. 20 lat później było ich już ponad 8 tys., a więc mamy do czynienia z 20-krotnym przyrostem. Tyle da się wyczytać z ostatnich wiarygodnych statystyk, te z czasów pandemii nie dają już pełnego obrazu sytuacji. Skąd ten wzrost?

Jednej przyczyny nie da się oczywiście wyodrębnić, ale mówiąc najogólniej, za powrót syfilisu i innych chorób wenerycznych w dużej mierze odpowiedzialny jest… rozwój zachodniej medycyny. Dawniej brakowało na nie skutecznych leków, co zabijało wielu chorych, ale równocześnie działało jako skuteczny odstraszacz. Przerażeni wizją boleści prowadzących do śmierci w męczarniach (objawy to m.in. owrzodzenie miejsc intymnych i gardła, wysoka gorączka, wysypka na całym ciele, problemy z oddychaniem) ludzie unikali ryzykownych zachowań seksualnych.

Pojawienie się na rynku penicyliny okazało się przełomem, bo z kiłą – jak brzmi popularna w Polsce nazwa syfilisu – środek ten radził sobie bardzo dobrze. Nie oznacza to jednak, że natychmiast przestano się bać. Michael Marks, badacz z Londyńskiej Szkoły Higieny i Medycyny Tropikalnej, zwraca w rozmowie z „Economistem" uwagę na zastępowanie jednej choroby drugą. W XX w.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28ebe4ac71

panikę moralną wywoływać zaczął wirus HIV, więc o zupełnie bezpiecznym seksie nie mogło być mowy, nawet w czasie lata miłości 1968 r., w hippisowskich komunach czy innych wyzwolonych społecznie przestrzeniach. Przełomem były właśnie ostatnie lata, twierdzi Marks, a wraz z nimi informacja o tym, że HIV przestaje być wyrokiem. Nie tylko da się z nim żyć – i to dość długo – ale nawet zdarzały się pojedyncze przypadki całkowitego wyleczenia. Według badacza rozchodzenie się tych wieści, często z przesadnie optymistyczną narracją towarzyszącą wynikom badań medycznych, powoduje, że coraz więcej osób zapomina o właściwym zabezpieczeniu w czasie seksu. A na to kiła i inne choroby weneryczne tylko czekały.

Kiła i **chlamydia** nie są chorobami biednych ani wspomnieniem przeszłości.

Szaleństwa na kampusach

W samej Wielkiej Brytanii jako jedno ze źródeł nawrotu chorób wenerycznych, zwłaszcza wśród młodych, wskazuje się też zwiększenie liczby studentów. Okres wzrostów zachorowań pokrywa się bowiem niemal idealnie z latami, w których widać już było efekty reformy systemu edukacji wyższej wprowadzonej w 1998 r. przez rząd Tony'ego Blaira. Uruchomiono wtedy system państwowych pożyczek na czesne, właściwie darmowych, bo ich oprocentowanie wynosiło tylko tyle, ile wskaźnik inflacji. Dostawał je każdy, niezależnie od wyników naukowych, z czasem również studenci z innych krajów Unii Europejskiej. Spowodowało to wejście setek tysięcy młodych osób na uniwersytety. Uczelnie się cieszyły, bo miały gwarantowany przychód od państwa, inwestowały więc w infrastrukturę, budując akademiki i nowe centra naukowe. Rzadziej jednak – to w Wielkiej Brytanii opinia powszechna – inwestowano w kampusowe przychodnie i edukację seksualną młodzieży.

Plagą stał się przede wszystkim tzw. *freshers' week* – tydzień zerowy, dni tuż przed rozpoczęciem pierwszego semestru nauki. Nie ma wtedy jeszcze zajęć, ale jest wszystko inne, na czele z nowymi znajomościami, indywidualnymi pokojami w akademikach i imprezami właściwie co wieczór. Rezultat? Masowy wzrost zakażeń chorobami wenerycznymi, na co uczelnie nie są (i chyba nie chcą być) przygotowane. Jak wynika z badania przeprowadzonego w 2019 r. przez internetową aptekę Zava, spośród 50 największych uczelni w Wielkiej Brytanii 21 nie prowadzi żadnych stron z informacjami na ten temat dla studentów, prawie połowa ma zajmującą się chorobami wenerycznymi przychodnię tylko poza kampusem, 33 nie mają przychodni otwartej w weekendy, a raptem 12 placówek jest otwartych w pełnym wymiarze godzinowym, czyli również wieczorami. Poza tym aż w 13 z 27 przychodni na kampusie trzeba się wcześniej zarejestrować, wizyta „z ulicy" jest niemożliwa.

Biorąc pod uwagę fakt, że – według danych z tego samego badania – przeciętny student brytyjskiej uczelni w ciągu trzech lat studiów aż 12 razy uprawia seks bez zabezpieczenia, łatwo zrozumieć, skąd nawrót chorób wenerycznych na Wyspach. Brak możliwości szybkiego skorzystania z pomocy medycznej wstrzymuje diagnozę, przez co pacjent czy pacjentka mogą nieświadomie przenosić chorobę dalej. Nie są to lęki przesadzone: jak podaje BBC, aż 25% brytyjskich studentów przyznaje się do złapania chlamydii, HPV lub kiły w ciągu pierwszego roku na uczelni.

Nie tylko drogą płciową

Z kronikarskiego obowiązku zauważyć trzeba, że nie wszystkie te wirusy i bakterie przenoszą się wyłącznie drogą płciową. Chlamydią zarazić się można, korzystając z brudnej toalety w miejscu publicznym. Wirusem HPV – na siłowni czy basenie. Większość zakażeń faktycznie pochodzi jednak z niezabezpieczonego stosunku. Co ciekawe, tam, gdzie dane na ten temat istnieją, widać, że pandemia nic w tym zakresie nie zmieniła, a jedynie utrzymała trend. Można było się spodziewać, że akurat w czasach zarazy ludzie będą ostrożniejsi. Ustało życie towarzyskie, randkować można było właściwie tylko przez internet, a i sam koronawirus był

eprasa.pl 28ebe4ac71

niebezpieczny dla kochanków. Mimo to dane amerykańskiego CDC, federalnej agencji odpowiedzialnej za monitorowanie chorób, pokazują wzrost zakażeń również w Stanach Zjednoczonych.

Syfilis znów przoduje w rankingach, w kwietniu 2022 r. zdiagnozowano o 10% więcej przypadków niż w analogicznym okresie trzy lata wcześniej. Jonathan Mermin, dyrektor departamentu chorób przenoszonych drogą płciową w CDC, zauważa, że przyczyn należy szukać nie w ludzkiej nieodpowiedzialności, lecz w dostępie do systemów opieki zdrowotnej. W czasie pandemii niezwykle trudno było dostać się do lekarza, a choroby weneryczne nie należą do tych, które da się skutecznie diagnozować za pomocą teleporad czy połączeń wideo. Mermin wylicza więc: mniej bezpośrednich kontaktów pomiędzy pacjentem a lekarzem; niedobory kadrowe, bo część medyków przerzucono na front walki z koronawirusem; braki w zaopatrzeniu przychodni i przeciążenie laboratoriów, które w całości skupiły się na covidzie, rzadko badając próbki, którym nie nadano statusu priorytetowego. Wymieniać można jeszcze długo, skutki są wiadome.

Trzeba podkreślić, że w Stanach Zjednoczonych choroby weneryczne mają inną demografię niż na Wyspach Brytyjskich czy w ogóle w Europie. Na Starym Kontynencie dotykają głównie osoby młode i tną właściwie w poprzek całego społeczeństwa: nie ma czynników klasowych – chorują bogaci, biedni, choć najczęściej mieszkańcy większych ośrodków miejskich. W USA z kolei uderzają najmocniej w grupy zmarginalizowane. Przede wszystkim w mniejszości etniczne i rasowe, które cierpią z powodu lat zaniedbań. Im od zawsze trudniej było o dostęp do opieki medycznej i pandemia ten stan rzeczy tylko zabetonowała. W wielu grupach, np. w bardziej konserwatywnych społecznościach migrantów z Ameryki Łacińskiej, chorobom wenerycznym towarzyszy silna stygmatyzacja. Często wciąż preferują one tradycyjny model męskości i kobiecości, jak również zakładania rodziny. Zachorowanie na którąś z tych przypadłości jest zatem tożsame ze zdradą albo rozwiązłym życiem seksualnym, a obie te rzeczy (zwłaszcza u kobiet) są bardzo krytykowane. O korzystaniu z pomocy lekarza nie ma więc mowy. Wreszcie wszystkie te zjawiska sumują się wśród mniejszości seksualnych – tu akurat Stany i Europa prawie się nie różnią, czyli choroby weneryczne osłabiają tych, których osłabić zdążył już cały system, w którym żyją.

Za powrót **syfilisu** i innych chorób wenerycznych w dużej mierze odpowiedzialny jest… rozwój zachodniej medycyny.

Inteligentna chlamydia

Czy jest szansa, by choroby te naprawdę stały się reliktem przeszłości? Być może tak. Najszybszą drogą do tego są oczywiście szczepionki, które pozwoliły niemal w całości wyeliminować większość dawnych chorób masowych. Na dzisiejsze „wstydliwe" przypadłości jeszcze ich nie mamy, przynajmniej nie na wszystkie. Wciąż trwają prace nad szczepionką na chlamydię. Tutaj ludziom przychodzą z pomocą zwierzęta, bo im też zdarza się złapać tę chorobę.

25% brytyjskich studentów przyznaje się do złapania **chlamydii**, **HPV** lub **kiły** w ciągu pierwszego roku na uczelni.

Najbardziej zaawansowane testy prowadzone są w tej chwili w Australii, głównie dzięki badaniom nad koalami. Nie jest łatwo, bo chlamydia to bakteria bardzo inteligentna. Kiedy przenika do komórek nosiciela, jest w stanie skutecznie się ukrywać przed jego systemem immunologicznym. Jednocześnie zaczyna się już namnażać, najpierw wewnątrz komórki, potem wchodząc w krwiobieg i rozprzestrzeniając się po całym organizmie. Koale są o tyle ludziom przydatne, że jako gatunek cierpią na wiele chorób obecnych u człowieka. A choroby weneryczne zaczynają je dziesiątkować. Praca nad szczepionką jest relatywnie najbardziej zaawansowana właśnie tam, bo siły łączą lekarze od ludzi i od koali.

Niektórym zależy nawet bardziej na tych drugich. Przykładem jest dr Rosemary Booth z australijskiego Narodowego Szpitala dla Dzikich Zwierząt, która w wypowiedzi dla „New York Timesa" jednoznacznie stwierdziła, że jej celem nie jest ratowanie ludzi, lecz pomoc australijskim ssakom. A jeśli ludzie na tym zyskają, będzie to po prostu pożyteczny skutek uboczny.

Dyskusja o chorobach wenerycznych nigdy w historii ludzkości nie była łatwa ani przyjemna. Towarzyszy im społeczne piętno, związane zresztą z całą sferą ludzkiej seksualności. Nie tylko brak dostępu do opieki zdrowotnej jest tutaj zagrożeniem rosnącym w ostatnich latach. Oprócz realiów medycznych znaczącą rolę odgrywają bowiem te polityczne. Społeczność lekarska, ale też edukatorzy i aktywiści zauważają, że kluczem do minimalizowania ryzyka zakażenia jest przede wszystkim edukacja, w tym seksualna. W końcu dużo łatwiej zapobiegać, niż leczyć. A z edukowaniem na temat seksu wiele krajów, nawet bogatych, ma wciąż (lub znowu) problem. Należy do nich Polska, ale też Malta, Węgry, Włochy, a wcale nie najlepiej wypadają tutaj Niemcy i Francja, jak pokazują dane wysokiego komisarza ONZ ds. młodzieży.

W kwestii zdrowia seksualnego nadal zatem wiele jest do zrobienia i wbrew obiegowej opinii nie są to problemy jedynie Afryki czy krajów latynoamerykańskich. Kiła i chlamydia to nie choroby biednych. Ani wspomnienie przeszłości. To teraźniejszość, również tam, gdzie jeszcze niedawno chciano o tych chorobach zupełnie zapomnieć.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 28ebe4ac71

Polska Misja Medyczna
pomagamy tam, gdzie jutro jest niepewnością
wpłać i pomóż
www.pmm.org.pl
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

Kłamstwa, w które wierzymy

Ludzie uwielbiają czytać ekscytujące kłamstwa i przekazywać je dalej

Aja Raden

W 2013 r. Animal Planet wyemitowała długi, bogaty w szczegóły, fascynujący serial dokumentalny zatytułowany „Syreny: legenda czy prawda". Tygodniami był hitem, nie przekazywał oburzających ani przesadzonych informacji, nie licząc głównej przesłanki: syreny naprawdę istnieją. Mimo że w odkrywczym dokumencie nie wystąpiły syreny pod postacią seksownych pań z rybimi ogonami, lecz ledwie rozpoznawalne ssaki morskie, które wyewoluowały z hominidów żyjących miliony lat temu na wybrzeżu, tak jak wieloryby i delfiny wyewoluowały z przybrzeżnych psowatych, o czym wiemy. Zaskakująca teza, nie bez biologicznego precedensu.

Fałszywy dokument był bardzo szczegółowy i niezmiernie przekonujący. Niezgrabni, mało atrakcyjni aktorzy grali role naukowców Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery (NOAA), a całość została „posolona" odniesieniami do znanych faktów, rzeczywistych miejsc i (udowodnionych) tez naukowych. Całość była zadziwiająca, ale oczywiście całkowicie bzdurna.

Przyznaję bez wstydu, że dałam się nabrać.

Przynajmniej raz należałam do większości. Każdy dał się nabrać. Wszystkie media społecznościowe i wiadomości o tym trąbiły. Przypadkowi celebryci i (co bardziej żenujące) światowi przywódcy oraz znani intelektualiści wypowiedzieli się na Twitterze. Nie żeby teraz ktokolwiek się przyznał. Gazety i czasopisma tygodniami obalały tezę, nawet po tym, jak stacja publicznie przyznała, że to tylko fikcja. Magazyny, np. „Slate", publikowały artykuł za artykułem, o niezbyt wyszukanych nagłówkach w rodzaju „Nie, syreny nie istnieją", dowodzące, że to mistyfikacja.

W końcu Animal Planet musiała przeprosić; użyli tego w-mgnieniu-oka-znikającego, napisanego małymi literami sprostowania, które widoczne było przez trzy sekundy po napisach końcowych. Nikt tego nie dostrzegł. Ludzie wierzyli, że oglądają odkrywczy dokument wszech czasów. Animal Planet usilnie wmawiała, że chodziło tylko o rozrywkę – w tym wypadku mało przekonujące, ponieważ nie jest to kanał znany z programów rozrywkowych. Ale jako osoba gotowa się przyznać, że wielokrotnie pływała po Loch Ness z nadzieją zobaczenia potwora, byłam absolutnie zafascynowana.

Każdy ma słabość do jakiejś wersji „można-by-znać-lepsze-badziewie". Niektórzy są hazardzistami, którzy nie umieją przejść obojętnie obok gry w karty albo piramidy finansowej, nawet gdy wiedzą, jak ona działa. Inni – wierni wyznawcy, szukają ukojenia w postaci paliatywnej narracji, choćby najcudaczniejszej. Są ludzie, którzy uwierzą w każdą wstrząsającą wiadomość, jaką usłyszą, i tacy, którzy zawsze skuszą się na najnowsze, cudowne „panaceum na wszystko". Ja sama nigdy się nie spotkałam z mistyfikacją, która nie pochłonęłaby mojej wyobraźni. Nawet gdy mam pewność, że to jest bzdet, nie potrafię się oprzeć żadnej niewiarygodnej historii ani obłąkanej teorii spiskowej. Wiem, że dokument emitowany w Animal Planet to

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 28ebe4ac71

niekwestionowany fałsz. A jednak, mimo świadomości mistyfikacji, wciąż uważam, że syreny prawdopodobnie istnieją. Nie dlatego, że koncepcje naukowe są wiarygodne, mimo że nie zostały jeszcze potwierdzone (chociaż to lepszy argument i powinnam go używać). Zapewne, jak Harry Truman, jestem po prostu „niezbyt skłonna porzucić swoje przekonania" mimo sprostowań.

Rzecz w tym, że chcę wierzyć – niezależnie od tego, czy to prawda czy nie.

Nikogo nie powinno obchodzić, w jakie oczywiste nonsensy lubię wierzyć, jednakże chęć uwierzenia w pewną historię, prawdziwą lub nie, stanowi ważny aspekt wiary w mistyfikację. Zadaj sobie pytanie: dlaczego jakiś człowiek chce wierzyć w coś, co ewidentnie jest fałszywe? Jedyna przekonująca odpowiedź to ta, że ma swój udział w grze. A mniej oczywisty punkt widzenia? Często jest to udział wyłącznie emocjonalny. Pomijając efekt czystej ekspozycji, ludzie uparcie trzymają się faktów, wiedząc, że zostały obalone, dopóki budzą w nich silne emocje.

Właśnie po to wymyślono mistyfikacje – żeby wzniecać silne uczucia. Nie ma nic szkodliwego w tym, że konsekwentnie się trzymam mojej prywatnej wiary w morskie potwory (…).

Weźmy np. wybory z 2016 r. Według niedawnych badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Stanu Ohio prawdopodobnie fake news dał prezydenturę Donaldowi Trumpowi. Badanie autorstwa Richarda Gunthera, Paula A. Becka i Erika C. Nisbeta jest jedną z pierwszych analiz wpływu fake newsów na frekwencję i decyzje wyborców. Sugeruje, że ok. 4% Amerykanów głosujących na Baracka Obamę w 2012 r. pod wpływem zwodniczych wiadomości zostało odwiedzionych od głosowania na Hillary Clinton.

Do ankiety, zawierającej 281 pytań, badacze wstawili trzy rozpowszechniane na szeroką skalę i całkowicie nieprawdziwe wiadomości z kampanii prezydenckiej 2016 r. Rozdali ankietę uczestnikom badania – kohorta liczyła 585 osób, które w 2012 r. oddały głos na Obamę. Pierwszą fałszywką z 2016 r. była informacja o rzekomej „złej kondycji zdrowotnej z powodu poważnej choroby" Hillary Clinton. Drugą – fałszywe doniesienie, jakoby papież Franciszek udzielił swojego poparcia Trumpowi, natomiast trzecia to sfabrykowana, rzekoma aprobata Clinton dla sprzedaży broni ISIS, w czasie gdy pełniła funkcję sekretarza stanu.

Okazało się, że ok. 25% uczestników badania uwierzyło w co najmniej jeden fałszywy przekaz. Z tej grupy – wierzących w fake newsy – tylko 45% zagłosowało na Clinton, pozostałe 55% zrezygnowało z mandatu dla demokratów i poparło innego kandydata (łącznie z Trumpem, ale nie wyłącznie jego) albo w ogóle nie oddało głosu. Z 75% uczestników, którzy nie uwierzyli w żadną z fałszywych wiadomości, 89% zagłosowało na Clinton. Zgodnie z wynikami badań głosujący na Obamę w 2012 r., którzy uwierzyli w choć jedną z trzech fałszywek, „zrezygnowali z poparcia dla demokratów w 2016 r. z prawdopodobieństwem o 3,9% wyższym niż osoby, które nie dały wiary żadnemu z fałszywych twierdzeń, uwzględniając wszystkie inne czynniki".

Kłamstwa są nie tylko zakaźne, ale też prawie niemożliwe do wyleczenia.

To daje do myślenia, choć wnioski trudno uznać za rozstrzygające. Ludzie kierują się bardzo różnymi przesłankami w wyborze kandydata, na którego głosują. Hillary Clinton nierozerwalnie kojarzy się z Billem Clintonem, a nie wszyscy głosujący w 2012 r. na Obamę lubili Billa Clintona. Donald Trump jest bardzo wysoki – nie śmiej się, dowiedziono, że to też ma wpływ na zaufanie wyborców. Mieszka w złotym domu i ma rzekomo seksowną żonę. Niektórych drażni tembr głosu Hillary Clinton. A kiedy już o niej mowa, wiele osób nie akceptuje kobiety na stanowisku prezydenta. Teraz rozumiesz.

Badacze zastosowali analizę regresji wielokrotnej, aby kontrolować także inne czynniki, jak: płeć, wiek, rasa, dochody, poziom wykształcenia, poglądy polityczne, a nawet irracjonalne, osobiste odczucia wobec kandydatów. Po ich uwzględnieniu okazało się, że wszystkie niezależne zmienne łącznie wyjaśniają 38% zmienionych preferencji wyborców.

To jest coś.

Ale wiara w jedną lub więcej sfałszowanych informacji stanowiła kolejne 11%. W wypadku wyborców rezygnujących z poparcia demokratów nabranie się na choćby jeden losowy fake news spośród tych trzech miało większy wpływ niż którykolwiek czynnik indywidualny, poza jednym oczywistym – przynależnością do republikanów.

Gunther, Beck i Nisbet sformułowali zastrzeżenie: „Nie możemy dowieść, że wiara w fałszywe wiadomości spowodowała, że uprzedni zwolennicy Obamy wycofali poparcie dla kandydata demokratów w 2016 r.", ale wyciągnęli też taki wniosek: „Uzyskane dane sugerują jednak, iż podanie fałszywych wiadomości wywarło znaczący wpływ na głosujących". W języku naukowym oznacza to, że prawie na pewno można potwierdzić ich bezpośredni wpływ.

Chodzi tu o coś więcej: już sama idea fake newsa, pomijając fakt, że to oksymoron, jest formą propagandy. Nie dlatego, że nie istnieją fałszywe wiadomości, ale że celem fake newsa jest wprowadzenie powszechnego zwątpienia i osłabienie zdolności rozróżnienia, co jest czym. Manipuluje czynnikami zewnętrznymi, aby pokazać zarówno kłamstwo, jak i prawdę w innym świetle.

Jaka jest więc różnica? Niestety, na to pytanie nie ma łatwej odpowiedzi, w dużej mierze z powodu prostej, acz poważnej przeszkody: aby skutecznie odróżnić prawdę od kłamstwa, musisz przede wszystkim tego chcieć.

•

Kilka dni po „dokumencie" wyemitowanym na kanale Animal Planet dowiedziałam się, że była to mistyfikacja. Nie czułam się zakłopotana, byłam rozczarowana. Uwierzyłam w syreny i sprawiło mi to wiele radości. Byłam naprawdę zła, ale nie na kłamców, którzy to

eprasa.pl 28ebe4ac71

wymyślili – Animal Planet – tylko na źródło, które dokonało demaskacji, i na osobę, która mi o tym powiedziała. Prawdopodobnie dziwnie to brzmi. Myślisz, że powinnam być wdzięczna komuś, kto oszczędza mi dalszego obciachu, ale ja całe życie czekałam na morskie potwory, poczułam więc urazę, kiedy odebrano mi moją nową, ekscytującą i zabawną rzeczywistość.

Niektórzy uwierzą w każdą wstrząsającą wiadomość, jaką usłyszą, inni zawsze skuszą się na najnowsze, cudowne „panaceum na wszystko".

I nie jestem w tym odosobniona. W istocie jest to zaskakująco powszechna reakcja, jedna z tych ukazujących ciekawą, paradoksalną prawdę o istotach ludzkich: uwielbiamy, gdy się nas okłamuje.

Rzeczywistość jest nudna, prawda często przynosi rozczarowanie, a jeszcze częściej monotonię. Oburzenie i przerażenie są przynajmniej ekscytujące, dlatego istnieją plotki i legendy miejskie, mistyfikacje i media społecznościowe. Ponieważ lubimy być okłamywani. Zachwyceni i przerażeni. Im bardziej kłamstwo prowokuje emocjonalnie, tym większą ma moc. Nie jest nawet ważne, czy uwierzysz – im intensywniej zareagujesz, tym bardziej chcesz usłyszeć i masz potrzebę powtórzyć… więc niechcący przekazujesz każdemu, z kim się kontaktujesz, zupełnie jak prawdziwego wirusa.

Znasz powiedzenie: „Kłamstwo obiegnie pół świata, zanim prawda włoży buty"? Dowiodło tego kilku facetów z MIT. Według pierwszych tego rodzaju badań na Twitterze fake newsy (plotki, mistyfikacje, propaganda) rozchodzą się sześciokrotnie szybciej i docierają znacznie dalej niż prawdziwe wiadomości. Nie krzycz „BOTY!" – te wyniki uwzględniły i skorygowały ich wpływ. To my.

Ludzie uwielbiają czytać ekscytujące kłamstwa i przekazywać je dalej – nawet kiedy wiedzą, że są to nieprawdziwe historie.

Pomysł powstał w głowie głównego autora badań, Sorousha Vosoughiego, badacza zajmującego się danymi. Vosoughi był doktorantem, kiedy podczas maratonu bostońskiego dokonano zamachu bombowego. Głęboko poruszyły go rozmiary i dynamizm teorii spiskowych, które pojawiły się w następnych dniach po zamachu; większość dotyczyła zaginionego studenta Browna, choć – jak się ostatecznie okazało – jego tragiczne zniknięcie nie miało nic wspólnego z zamachem. „Te plotki nie były wyłącznie zabawą na Twitterze, mogły mieć realny wpływ na życie ludzi i bardzo im zaszkodzić", twierdził. Wtedy postanowił zmienić temat prowadzonych badań i zająć się rozpowszechnianiem dezinformacji w mediach społecznościowych.

Wraz z kolegami z MIT Media Lab przez 12 lat zbierał dane z Twittera, cofając się do momentu jego uruchomienia w 2006 r. Następnie przesiali te dane, wybierając tweety związane z wiadomościami. Na końcu spośród nich wybrali tylko te dotyczące faktów i wiadomości, które zostały potwierdzone lub zdementowane przez sześć niezależnych organizacji zajmujących się weryfikowaniem faktów, między innymi: Snopes, PolitiFact i FactCheck.org.

Im bardziej **kłamstwo** prowokuje emocjonalnie, tym większą ma moc.

Końcowy zestaw danych zawierał 126 tys. wiadomości przekazanych 4,5 mln razy przez 3 mln osób. Badacze prześledzili te 126 tys. historii w ciągu 12 lat funkcjonowania Twittera, mając nadzieję, że uzyskają wgląd w to, jak rozchodzą się plotki i krążą mistyfikacje.

Ich odkrycie było, jak sami określili, „przerażające".

Okazało się, że „fałszywe wiadomości rozchodzą się dalej, szybciej, głębiej i szerzej niż prawdziwe, dotyczy to każdej kategorii wiadomości, wielokrotnie są to różnice o rząd wielkości". Inaczej mówiąc, kłamstwa – na każdy temat – są dla nas wykładniczo bardziej pociągające niż prawda; zespół Vosoughiego uzyskał twarde dane ściśle opisujące, jak bardzo lubimy, kiedy inni nas okłamują.

Dane wskazują, że prawda rzadko docierała do ponad tysiąca użytkowników Twittera, podczas gdy najbardziej złośliwe i odrażające kłamstwa odbierało sporo ponad 10 tys. i, oczywiście, znacznie szybciej je przekazywano. Tweety zawierające fake newsy docierały do 1,5 tys. osób w siedmiokrotnie krótszym czasie niż tweety z prawdziwymi informacjami i nie działo się tak dlatego, że przekazywali je użytkownicy mający większy zasięg, ani dlatego, że były nieproporcjonalnie wzmacniane przez boty.

Badania wykazały, że w przeciwieństwie do nas boty rozpowszechniały fake newsy i prawdziwe wiadomości w takim samym tempie. Z kolei ludzie nigdy nie mieli dosyć kłamstw. Przeciętnie ludzie byli bardziej skłonni – o 70% – rozsyłać fałszywe wiadomości niż prawdziwe.

Konta na Twitterze, z których dzielono się przede wszystkim prawdziwymi informacjami, miały więcej obserwujących. Ustalono także, że im bardziej odlotowy tweet, bez względu na to, skąd pochodził, tym większe było prawdopodobieństwo, że stanie się wiralem. Jak sobie przypominasz, czysta ekspozycja na poziomie nieświadomym wytwarza w nas przekonanie, że to, co znane i powszechnie spotykane, jest prawdą – prognostyk sukcesu propagandy. Problem z wiralami polega na tym, że im bardziej bezczelny i dziwaczny tweet, tym łatwiej się rozprzestrzenia i ostatecznie staje się bardziej wiarygodny.

Taka jest prawda o kłamstwach: są nie tylko zakaźne, ale też prawie niemożliwe do wyleczenia.

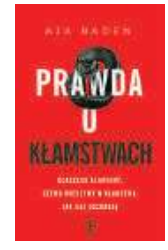

Aja Raden, *Prawda o kłamstwach*, przeł. Grażyna Skoczylas, Rebis, Poznań 2022

eprasa.pl 28ebe4ac71

Emerytów dwóch

Kazachstan z racji wojny rosyjsko-ukraińskiej jest dziś jednym z najważniejszych państw świata. Praktycznie nie ma tygodnia, by nie dochodziły stamtąd bardzo interesujące wieści. Jedne z ostatnich dotyczą eksportu kazachskiej ropy. Gdy Rosja zablokowała jej przesyłanie przez terminal w Noworosyjsku, prezydent Kasym-Żomart Tokajew polecił przesyłać ją przez Azerbejdżan i Turcję.

Wcześniej głośno było o tym, że nie uzna „niepodległości" tzw. republik ludowych, donieckiej i ługańskiej. I że odmówił przyjęcia z rąk Władimira Putina orderu. Ewidentną sprawą jest to, że Kazachstan, balansujący między Rosją a Chinami (Tokajew to absolwent moskiewskiego MGIMO, a jednocześnie wiele lat pracował w Pekinie i zna chiński), stał się państwem, co do którego trzeba mieć rozeznanie. To banał, ale – zdaje się – nieoczywisty dla naszego MSZ.

Od roku 2017 ambasadorem w Nur-Sułtanie jest Selim Chazbijewicz, 66-letni współzałożyciel Związku Tatarów Rzeczypospolitej i działacz PiS. Chazbijewicz zasłynął napisaną w 2016 r. „Odą do Jarosława Kaczyńskiego". Przypominamy jej fragmenty:

Niby zwycięski Chrobry wzmacniasz państwo nasze,
Ty, który od nowa polską godność wskrzeszasz,
Jak orzeł ponad skałą wzlatujesz i zawsze,
To Ty masz rację, Ty na pomoc spieszysz. (...)
W kierunku mocarstwa od morza do morza,
By wszystkie narody od Bałkanów po Bałtyk
A nawet ptaki co krążą w przestworzach,
Wielbiły Polskę i wielbiły jej wodza.

O jego wiedzy na temat Kazachstanu wiemy niewiele. Gdy pytano go o to, odparł: „Pracuję na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim, którego dużą część stanowią fakultety rolnicze. Sądzę, że polskie technologie rolnicze bardzo dobrze sprzedawałyby się w Kazachstanie. Moim priorytetem, jeśli zostanę ambasadorem, będzie przede wszystkim dbanie o interesy Polski, polskiego biznesu, w tym polskiego rolnictwa". Poza tym mówił, że napisał pracę o emigracji kazachskiej przed II wojną światową. Bum!

Okazuje się, że eksperyment z profesorem emerytem spodobał się w MSZ. Nie tak dawno konsulem generalnym w Ałmaty został Józef Tymanowski, lat 70. Profesor z Uniwersytetu Warszawskiego, a wcześniej pracownik naukowy Wojskowej Akademii Technicznej.

Szanowny profesor w zasadzie nie zna Kazachstanu, poza tym, że wyjeżdżał tam w delegacje jako reprezentant Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW na zaproszenie uniwersytetów w Astanie i w Ałmaty. A także miał doktorantkę z Kazachstanu. No i absolutnie nigdy nie zajmował się pracą konsularną. Jak więc oni wszyscy – i on sam, i ci, co go wysłali – wyobrażają sobie jego pracę w roli konsula? A ta praca wymaga gotowości 24/7, wyjazdów, interwencji… W dodatku w tak rozległym państwie. Niemożliwe, by 70-latek tego się nauczył i by konsularnym obowiązkom rzetelnie podołał. Za to jest oczywiste, że nikt nie będzie go z tego rozliczał, że będzie miał okazję przyjemnie spędzić kilka lat emerytury.

Tak oto MSZ zamienia się nam w ministerstwo różnych synekur dla ludzi zasłużonych dla władzy, miłych rządzącym albo znajomych. Jest fajnie, szkoda tylko, że Polska nic z tego nie ma.

Attaché

Wyschnięte bagna Hawizeh w irackiej prowincji Zi Kar, przy granicy z Iranem. Susza spowodowała znaczne zmniejszenie się ich połaci.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 28ebe4ac71

JOLKA

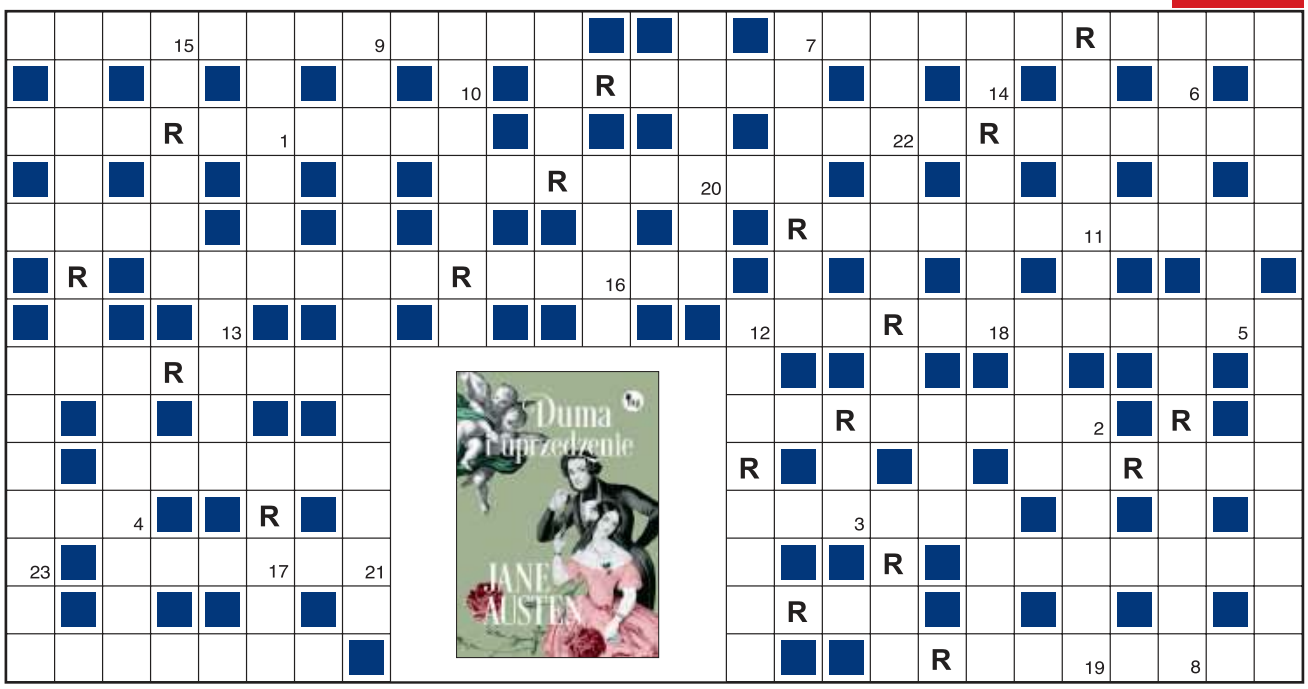

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- dżinn spełniał jego życzenia
- osiadła na górach Ararat
- przyswajanie, przystosowywanie
- plama z niego to kleks
- na San Sebastián mówi Donostia
- land z Augsburgiem i Ratyzboną
- heroizm, męstwo
- wapń to …kości, zębów
- drobniak Amerykanina
- z miedzią w tombaku
- z piszczelami na pirackiej banderze
- odliczane do wyczekiwanego zdarzenia
- mojito lub dżin z tonikiem
- dietylowy – do sporządzania kolodium
- rozwój lub figura akrobatyczna
- jej ziarna na musztardę
- broń drzewcowa straży pałacowej
- cukier palony
- odbitka dokumentu, tekstu z książki
- potocznie o smaku np. cytryny
- od dzwonka do dzwonka
- kwiat w ręku Persefony
- państwo z Casablancą
- i konieczność, i przecier owocowy
- głowy lub na stole
- przepływa z jeziora Erie do jeziora Ontario
- Brandenburczyk lub Turyńczyk
- potocznie o sytuacji, która nikogo nie dziwi
- …ogrodnicze to sekator
- żywiona przez niepokojącego się
- jeniecki lub dla uchodźców
- hultaj, co ze stryczka się urwał
- osłona, blachy czołgu
- wiórowa albo chodnikowa
- metamorfoza
- „…Bravo”, western
- i parada bramkarza, i podróż po przygody
- „Prawdziwa… jechać dorożką”
- do włosów albo do rąk w łazience
- i rower, i duet
- klub sportowy z „Misia”
- schodki prowadzące na statek
- lampa elektronowa trójelektrodowa
- harowanie, zasuwanie
- …rent i emerytur rekompensująca inflację
- czasy obecne, teraźniejszość
- dementi to oficjalne…
- zawinięta w nie czekoladka
- stale mu zimno

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1079”. Do rozlosowania książki „Duma i uprzedzenie” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 sierpnia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1076” z nr. 32: *Troska to wróg życia.*
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Waldemar Gutowski z Wołomina, Janina Nowak z Kłodawy.

eprasa.pl 28ebe4ac71

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. MARIA SZYSZKOWSKA,
FILOZOF

Ja Roberta Biedronia wprowadziłam do polityki. On był wtedy prezesem Kampanii Przeciw Homofobii. Ale gdy został już wybrany do parlamentu, to w ogóle o mnie zapomniał. Wcześniej mi pomagał w tym sensie, że zapraszał środowiska homoseksualne na spotkania ze mną. Jeżeli mogę mieć pretensje, to wyłącznie do Biedronia. Nie chodzi o to, żeby on coś dla mnie zrobił. Tylko o zwykły kontakt. Kiedy już się umocnił, nie byłam mu potrzebna i to jest sposób myślenia większości ludzi. Większość moich doktorantów po obronie zapomina o mnie. No bo po co?

STYL

ANDRZEJ SEWERYN,
AKTOR, REŻYSER, DYREKTOR TEATRU POLSKIEGO

Znajomość francuskiego sprawiła, że odczuwałem ten kraj w sposób dużo pełniejszy. Spotkałem wspaniałych reżyserów, w Paryżu zetknąłem się z innym życiem zawodowym niż to, które miałem w Polsce. Nauczyłem się prowadzenia teatru, dyscypliny, organizacji pracy. We Francji zrozumiałem, czym jest silne państwo, co oznacza dobra organizacja życia codziennego. Dziś myślę, że Francuzi pokazali mi również zdrowy sceptycyzm. Francuzi, których poznałem, nie mają złudzeń. Twardo stoją na ziemi. To oznacza również sceptycyzm w stosunku do siebie samych. Francuz nie da się łatwo oszukać, zrobić w trąbę.

na szczycie

PIOTR PUSTELNIK,
PREZES POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU

Czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy społeczeństwem Januszów i Grażynek, dla którego paradygmat „jakoś to będzie" jest ważniejszy od paradygmatu „życie mam jedno". Trzeba stawiać na młodzież. Między innymi na dzieci Januszów i Grażynek, żeby nie zdążyli wlać w latorośle swojej filozofii. Trzeba stawiać na świadomych i odpowiedzialnych rodziców, wtłaczających w swoje potomstwo od młodych lat zasady bezpiecznego „korzystania".

TYGODNIK ANGORA

KATARZYNA NIEWIADOMA,
TRZECIA W TOUR DE FRANCE

Co jest najpiękniejsze w kolarstwie?

Wolność! Poczucie niezależności. Ekstaza. Podczas jazdy rowerem doznaję wyjątkowych odczuć. Rower pozwala na emocje w każdym miejscu na świecie, to czysta przyjemność. Człowieka ogarnia szczęście, kiedy czuje prędkość, wiatr we włosach. Wychowałam się w Ochotnicy, niedaleko Nowego Targu. Zazdrościłam bratu, że tata zabierał go na rowerowe przejażdżki, chciałam udowodnić, że ja też się nadaję. Pewnego dnia wygrałam w Ochotnicy wyścig z chłopakami i tata zobaczył, że jestem mocna. Zawsze chciałam być najlepsza.

Reprezentacja Włoch podczas finałowego występu w kombinacji dowolnej na Mistrzostwach Europy w Pływaniu. Rzym, 14 sierpnia 2022 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

RAFAŁ TRZASKOWSKI
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jest całkowicie zastraszony i szantażowany przez Ziobrę i narodowców. Panicznie boi się, że ktoś z prawej strony będzie mu odbierał elektorat.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK
O GRANICY Z BIAŁORUSIĄ

Powstał rasistowski pomnik tego rządu, czyli wielki płot na granicy.

MAREK KOSSOWSKI
O PIOTRZE NAIMSKIM

Inwestycja w elektrownię w Ostrołęce, którą osobiście promował, okazała się kosztowną klapą.

OLGA TOKARCZUK
O SIOSTRZE TATIANIE

Zdarza się, że obserwując siostrę, mogę niektóre rzeczy dostrzec u siebie, takie, których nie byłam świadoma.

GRAŻYNA WOLSZCZAK
O PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Odkryłam ją w sobie, kiedy w III klasie liceum z przyjaciółką zatrudniłyśmy się jako sprzątaczki w Poczcie Polskiej.

JERZY STUHR O PASJI

Idźcie za pasją. Całe życie tak robiłem, choć nie było łatwo.

ADAM BODNAR
O PLANACH

Jeśli dojdzie do zmiany władzy, to jestem do wzięcia. Ale na moich zasadach. Nie chcę uczestniczyć w polityce partyjnej.

MARTA MANOWSKA
O PROSTYCH PYTANIACH

Jak u Szymborskiej: „Nie ma pytań pilniejszych od pytań naiwnych".

URSZULA
O „KONIKU NA BIEGUNACH"

To był wielki hit, żadne wesele nie mogło bez niego się obejść.

PAULINA KRUPIŃSKA
O CELEBROWANIU RODZINNOŚCI

Uwielbiam słuchać i opowiadać przy stole anegdoty, choćby i te same, co zawsze.

eprasa.pl 28ebe4ac71

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Aspirancie, spójrz na misia

W Wielkiej Brytanii 18-latek ukrył się przed policją w… pluszowym misiu swojej dziewczyny. Joshua Dodson był poszukiwany za kradzież auta oraz ucieczkę ze stacji benzynowej bez płacenia za paliwo. Funkcjonariusze ustalili, że ladaco znajduje się w domu ukochanej w Manchesterze. Gdy pojawili się tam z wizytą, chłopak wcisnął się do półtorametrowej maskotki, we wnętrzu której chciał doczekać lepszych czasów. Nic z tego – stróże prawa zauważyli, że zabawka oddycha. Złodziejaszek na dziewięć miesięcy trafił za kraty, gdzie będzie mógł przemyśleć pewne sprawy. Na przykład czy w tym wieku wypada bawić się samochodzikami, pluszakami i w chowanego.

Bierz i kop!

Osobliwy sposób na dodatkowe zmotywowanie napastnika swojej drużyny wybrał kibic Dinama Zagrzeb. Po zwycięskim boju z Hajdukiem Split na bieżnię okalającą stadion rzucił… protezę nogi. Gdy udało się ustalić, kto jest właścicielem kończyny, ten wyjaśnił, że jego czyn miał „pomóc Petkoviciowi lepiej grać". Warto dodać, że Bruno Petković w meczu z Hajdukiem zaliczył asystę, a wcześniej w kwalifikacjach do Ligi Mistrzów zdobył dwie bramki. Teraz powinno być mu łatwiej o kolejne zdobycze – w końcu co trzy nogi, to nie dwie!

„Wiadomości"/„Fakty" albo zdrowie

Szpital im. Jana Pawła II w Wadowicach ograniczył pacjentom dostęp do telewizji, m.in. dlatego, że przez ciągłe spory o to, czy kłamie TVP, czy TVN, pozostali chorzy nie mogą spokojnie się kurować. Lecznica konsekwentnie dąży do wyeliminowania ze swojej przestrzeni wspomnianego medium, w związku z tym, gdy zmienił się standard nadawania kanałów naziemnych, nie wymieniła dekoderów i jej telewizory nie łapią już sygnału. Wyjątkiem są stacje z Woronicza, gdyż państwowy nadawca przechodzi na nowszy format dopiero od stycznia 2023 r. To już chyba lepiej patrzeć w, nomen omen, kaczkę…

Do wody po szkody

Specjaliści od biomechaniki z amerykańskiego Uniwersytetu Cornella ustalili maksymalne wysokości, z jakich można skakać do wody bez większego ryzyka wyrządzenia sobie krzywdy. Z eksperymentów, którym przewodził dr Sunghwan Jung, wynika, że w przypadku osoby, która nie przeszła odpowiedniego treningu, uszkodzenia kręgosłupa grożą skaczącym na główkę z wysokości ponad 8 m. Stwierdzono ponadto m.in., że skaczący tak, by pierwsze z wodą zetknęły się dłonie, przy locie z ponad 12 m proszą się o uszkodzenie obojczyka, a skaczący na stopy z ponad 15 m mogą rozwalić sobie kolano. Nam się wydaje, że aby podjąć którego-kolwiek z tych wyczynów, trzeba najpierw upaść na głowę.

Pociąg do sprawiedliwości

Po ponad dwóch dekadach sądowych batalii prawnik z Indii wygrał sprawę o zawyżoną cenę dwóch podróży koleją. W 1999 r. Tungnath Chaturvedi zapłacił 100 rupii za dwa bilety po 35 rupii każdy i dostał jedynie 10 rupii reszty, mimo zwrócenia kasjerowi uwagi, że to za mało. Pasażer postanowił spotkać się z przewoźnikiem w sądzie konsumenckim. Ze względu na nierychliwość Temidy w największej demokracji świata wyrok po niezliczonych rozprawach zapadł dopiero teraz. Sąd nakazał kolejom zwrot 20 rupii (ok. 1 zł) wraz z odsetkami. Chaturvedi skomentował,

eprasa.pl 28ebe4ac71

Mały uczestnik spotkania „Zew ludu Sudanu". Inicjatywa wspierana jest przez szefa armii Abd al-Fattaha Abd ar-Rahmana al-Burhana, który dowodził zeszłorocznym puczem.

że mizerny efekt finansowy jego wieloletnich wysiłków nie ma dla niego znaczenia, gdyż „zawsze chodziło o sprawiedliwość i walkę z korupcją". Sami oceńcie, czy zasługuje na oklaski, czy ma nie po kolei w głowie.

Normalny czy z mięsem?

Sieć barów szybkiej obsługi Burger King przeprowadziła w jednym ze swoich lokali w Wiedniu ciekawy eksperyment. Pracownicy przyjmujący zamówienia zadawali klientom pytanie, jakiego burgera sobie życzą: „normalnego czy z mięsem". Udostępniony w internecie film, na którym uwieczniono reakcje konsumentów, zgodnie z deklaracją marki ma stanowić zaproszenie do debaty na temat roślinnych alternatyw dla produktów zwierzęcych. Firma tłumaczy, że mięso nie jest już dla wszystkich naturalnym wyborem, i podkreśla, że prawie wszystkie pozycje z jej menu można zamawiać w wersji wege. Jarosze się cieszą, rogacizna się cieszy i tylko rośliny dziwnie smutne…

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, KWEJK.PL (3), AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 28ebe4ac71

Alicja Pakosz, Pomnik niedoczekania się

Martina Drozd Smutná, Relaxation

Odszkolnić!

Konflikty na uczelniach artystycznych w Europie Środkowo-Wschodniej wynikają z jednej strony z odziedziczonych przez nie feudalnych i patriarchalnych struktur, a z drugiej – z potransformacyjnej ofensywy praktyk neoliberalnych. Dodatkowo autorytaryzujące się rządy próbują ograniczać autonomię uniwersytetów i akademii. Stajemy więc coraz częściej przed pytaniem nie tylko o to, czy warto bronić hierarchicznych struktur przed komercjalizacją, ale też czy wobec autorytarnych zapędów władzy jesteśmy skazani na walkę o zachowanie status quo. Czy inne instytucje edukacyjne są możliwe? A jeśli nie, jak mogłyby wyglądać alternatywne modele kształcenia artystycznego?

Galeria Arsenał w Białymstoku
ul. Adama Mickiewicza 2
do 28 sierpnia

Martina Drozd Smutná, Pokój dla nas obu

Odszkolnić! – widok wystawy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 28ebe4ac71

ERICA WASSELS ROBYN SCOTT SVEN RUYGROK

Greckie wakacje

są bliżej niż myślisz!

Best Feature Film BERLIN INDIE FILM FESTIVAL 2021

WINNER Toronto Independent Film Festival 2021

Award Winner Across the Globe Film Festival 2021

OFFICIAL SELECTION GLOBAL FILM FESTIVAL AWARDS LOS ANGELES

Semi Finalist Madrid Film Awards 2021

Best Actress Good Life

TYLKO W KINACH

4 party wprost polki.pl KOBIETA.PL FACETPO40.pl FILMARG.PL STYLOWIE DEMOTYWATORY.PL GLOS KULTURY AKTIVIST Platform Channel meloradio

eprasa.pl 28ebe4ac71

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE ◆ GWIAZDORSKIE OBSADY ◆ PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

Pożegnaj lato razem z nami!

"Skok w bok"
czwartek, 25 sierpnia g. 19:00

"Akt Równoległy"
piątek, 26 sierpnia g. 19:00

"Klimakterium II"
piątek, 26 sierpnia g. 19:30

"Kochane Pieniążki"
sobota, 27 sierpnia g. 19:00

"Przekręt (nie) doskonały"
sobota, 27 sierpnia g. 19:30

"Orzechwa"
niedziela, 28 sierpnia g. 11:00

"A mi to rybka!"
niedziela, 28 sierpnia g. 18:00

Piątkowa Potańcówka!

"O co biega?"
piątek, 2 września g. 19:00

◆ KUP BILET TEATR CAPITOL 2002 ◆ www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni: MAXXX, Tele Tydzień, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, Obag.pl, Wejściówki, Aktywna Warszawa, Pabiel Cukier

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl